

Karolina Wilczyńska



PO NITCE DO SZCZĘŚCIA



STACJA JAGODNO



PO NITCE DO SZCZĘŚCIA

Karolina Wilczyńska

PO NITCE DO SZCZĘŚCIA

STACJA JAGODNO

*Tę część cyklu „Stacja Jagodno” dedykuję mojej Mamie,
bo wiem, jak bardzo chciała ją przeczytać.*

Autorka



Marzena szła asfaltową drogą i z każdą chwilą coraz lepiej rozumiała Tamarę. Wystarczyło kilkanaście minut, żeby docenić panujący tu spokój, piękno sosnowego lasu, ciszę przerywaną tylko ptasimi trelami. Powietrze też było zupełnie inne niż w mieście. Aż chciało się głębiej odetchnąć. Co też Marzena uczyniła. I po kilku takich oddechach poczuła się jakoś inaczej. Jakby lżej, swobodniej. Poruszyła ramionami. Mięśnie karku rozluźniły się. Nawet po najlepszym masażu nie doświadczyła takiego odprężenia. Czary czy co? – pomyślała.

Nie żałowała, że wybrała dłuższą drogę. Zapytała w Jagodnie, jak dojść do Borowej. Chciała się upewnić, bo nawigacja w smartfonie bywała zawodna, ale zagadnięta kobieta wskazała jej nieco inny kierunek.

– Niech pani idzie drogą przy kaplicy. A potem dalej przez las. Tak jest krócej. I wyjdzie pani przy samym zalewie. Bo tędy – machnęła ręką w stronę budynku szkoły – to ze dwa razy tyle jest. Samochodem to można, ale piechotą lepiej przez las.

„Przez las” brzmiało kusząco, lecz Marzena obawiała się, że może coś pomylić albo wybrać złą ścieżkę. W mieście orientację miała znakomitą, jednak nie była pewna, czy w otoczeniu drzew, które na pierwszy rzut oka wyglądają tak samo, poradzi sobie równie dobrze. Poszła więc nie za głosem serca, ale zgodnie z rozsądkiem i nawigacją. Co okazało się dobrym wyborem, bo las był i tak, a dłuższy spacer stał się raczej zaletą niż problemem.

Naprawdę cool – pomyślała, uśmiechając się, bo to określenie bardziej pasowało do weekendowej imprezy w klubie niż do leśnej drogi. Naprawdę przyjemnie – poprawiła samą siebie. Pasowało dużo lepiej.

Pojechała do Borowej zupełnie spontanicznie. Nawet nie zadzwoniła do Tamary. Po prostu obudziła się rano w kiepskim humorze, bo piątkowy wieczór okazał się wielką porażką. Planowała jakieś wieczorne wyjście, ale żadna z koleżanek nie miała czasu. Wszystkie zaplanowały już początek weekendu, najczęściej w męskim lub rodzinnym towarzystwie i Marzena po wykonaniu kilkunastu telefonów zakończyła wieczór w łóżku, w towarzystwie drinków, czekolady, dużej paczki chusteczek i myśli o tym, jak bardzo jest samotna i beznadziejna. Nic więc dziwnego, że sobotni poranek przywitała w wisielczym humorze.

Perspektywa kontynuowania wczorajszych samokrytycznych rozważań zmotywowała ją do działania. Przypomniała sobie, że Tamara, jak zawsze, spędza weekend u swojej babci Róży, więc postanowiła ją odwiedzić. Oczywiście mogła przyjechać samochodem, ale nie miała pewności, że wieczorne drinki już

całkiem wywietrzały z jej głowy i krwioobiegu, więc wybrała pociąg. I nie żałowała. Miała nadzieję, że Tamarze nie będzie przeszkadzała ta niezapowiedziana wizyta, zresztą zawsze mogła po prostu wrócić do domu. A wcześniej pospacerować jeszcze po okolicy. Zwłaszcza że naprawdę spodobało jej się tutaj bardziej, niż mogła przypuszczać.

Cisza w mieście jest nienaturalna i denerwująca – stwierdziła. – Człowiek czuje się wtedy, jakby coś mu umykało, coś tracił, w czymś nie uczestniczył. A tutaj cisza daje spokój, pozwala pomyśleć, odpocząć. I można ją nawet polubić.

Co zresztą chyba już zrobiła, bo dźwięk samochodowego silnika zazgrzytał w jej uszach i przez moment poczuła irytację, że ktoś ośmielił się zepsuć ten idylliczny obrazek, którego od pół godziny była częścią. Jednak tylko przez moment, bo gdy auto zatrzymało się tuż obok niej i odsuwająca się szyba powoli ukazała kierowcę, irytacja szybko ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

– Przepraszam panią bardzo. – Śnieżnobiałe zęby mężczyzny błysnęły w miłym uśmiechu. – Czy ta droga prowadzi do wsi Borowa?

Marzena odruchowo poprawiła koszulkę i przywołała jedno ze swoich zalotnych spojrzeń.

– Mam taką nadzieję. Też tam idę, ale nigdy wcześniej tu nie byłam, więc pewności nie mam.

– Jaki niesamowity przypadek, nie sądzi pani? Obydwoje szukamy tego samego. Jeżeli pani zechce, możemy poszukać razem.

Czy to jest podryw, czy zwykła uprzejmość? – Marzena spojrzała uważniej na mężczyznę. – A może to jakiś zwyrodnialec ukrywający się za maską błękitnych oczu i blond włosów. I śnieżnobiałej koszulki polo. – Facet w takiej koszulce na leśnej drodze? I szuka Borowej?

Jako stała bywalczyni klubów zachowywała czujność wobec nowo poznanych mężczyzn. W końcu nigdy nie wiadomo, czy mają czyste intencje. Tu co prawda nie wchodziło w grę dosypanie czegoś do drinka, ale za to była nieznana okolica, dość odludna zresztą.

Nieznajomy chyba wyczuł jej wahanie, bo wysiadł z samochodu i podszedł do Marzeny.

– Ja rozumiem, że pani mnie nie zna, ale naprawdę chcę tylko pomóc. Kobieta nie powinna samotnie spacerować w dużym lesie. Chciałem... – zawahał się, jakby szukał odpowiedniego słowa – zaopiekować się panią.

Dziwny jakiś – stwierdziła Marzena.

– Mam na imię Jan i szukam wsi Borowa. Przyjechałem z Londynu. Tu mieszkają moje ciotki i ja ich poszukuję...

– Ha! Już wiem! – przerwała mu kobieta. – Pan jest kuzynem hrabianek Leszczyńskich! Tamara mi mówiła. No to wszystko jasne! Możemy jechać!

Mężczyzna wydawał się nieco zaskoczony nagłym wybuchem entuzjazmu, ale nadal zachowywał się ujmująco grzecznie.

– Czy dobrze rozumiem, że pani wie, gdzie mieszkają moje ciotki?

– Ja nie, ale moja koleżanka wie. Pojedziemy do niej, a ona już pana dalej poprowadzi. Jestem Marzena – wyciągnęła rękę, którą mężczyzna z galanterią pocałował.

– Nie wszystko rozumiem, ale chyba przystanę na pani propozycję – powiedział i otworzył drzwi samochodu.

Marzena wsiadła, poczekała aż kierowca zajmie miejsce i zagadnęła:

– Był pan już kiedyś w Polsce?

– Kilka razy, podczas wakacji.

– Dobrze pan zna język...

– Dziadek bardzo nalegał, żebym nauczył się polskiego. I dużo czytał w tym języku.

– Dziadek... – uśmiechnęła się Marzena. – To wiele wyjaśnia.

– Nie rozumiem?

– Chodzi mi o to, że mówi pan dobrze, ale tak trochę... no, zbyt literacko.

– Jak? – Jan spojrział na kobietę z zaciekawieniem.

– Tak zbyt poprawnie, jak z książki. Normalnie mówi się trochę inaczej.

– To ja mówię nienormalnie? – roześmiał się Jan.

– Przepraszam, nie to miałam na myśli – speszyła się Marzena. – Bo widzi pan, ja często mówię, zanim

pomyślę i potem tak niezręcznie wychodzi...

– Też nienormalnie?

– Na to wygląda.

– To znowu mamy coś wspólnego. Szukamy wsi Borowa i mówimy nienormalnie.

Roześmiali się.

Bardzo sympatyczny człowiek – pomyślała Marzena. – Chociaż trochę zbyt sztywny. Jakiś taki... angielski właśnie. Ile on może mieć lat? Niewiele więcej niż ja. I całuje w rękę, jakbym była jego babcią. Kto tak jeszcze robi? Przecież to jakieś szaleństwo!

Po chwili minęli tabliczkę z napisem „Borowa”. Przy pierwszych zabudowaniach Jan zaproponował:

– Może zapyta pani o drogę?

– Na razie jedźmy dalej. Tamara zawsze mówiła, że domek babci Róży jest na końcu wsi. Na pewno zaparkowała przed nim, więc rozpoznam samochód. Chyba że pojechała gdzieś z Marysią, bo one lubią poznawać okolicę.

– Obawiam się, że nie mogę nadążyć. Nie wiem już, kto jest kim. Tyle imion i pani tak szybko mówi...

– Jan uśmiechnął się przepraszająco.

– Przepraszam, wiem, gaduła ze mnie. Niech pan po prostu jedzie. Do końca wsi.

– Proszę bardzo.

Marzena postanowiła jednak zadzwonić do Tamary. W końcu nie jechała sama, a na dwójkę gości koleżanka jednak powinna być przygotowana. Choćby pięć minut wcześniej. Żeby zdążyła przypudrować nos. Bo przecież co innego znajoma z pracy, a co innego mężczyzna z Londynu.

– Cześć, kochana! – zaczęła z entuzjazmem, gdy tylko usłyszała na linii głos koleżanki. – Niespodzianka! Za trzy minuty u ciebie będziemy!

– My, to znaczy kto?

– Ja i pewien mężczyzna – zerknęła na siedzącego obok Jana.

– Twoja nowa zdobycz?

– Nie moja. Bardziej wasza.

– Nasza?

– Wyjaśnię ci wszystko za chwilę. Już dojeżdżamy. Pa!

Wyobrazila sobie zdziwioną minę Tamary i roześmiała się.

– Koleżanka opowiedziała pani anegdotę?

– Żart, dowcip – poprawiła. – Anegdota opowiadał pański dziadek.

– Tak, rozumiem – uśmiechnął się Jan. – To pierwsza lekcja normalnego języka?

– Bardzo pojętny z pana uczeń. Ale na razie chyba wystarczy tej nauki, bo widzę, że dojechaliśmy – rozpoznała samochód stojący przy drewnianym płocie i wskazała palcem na budynek za ogrodzeniem. – Oto domek babci Róży.

Zaparkowali i wysiedli. Jan otworzył furtkę, przepuścił Marzenę przodem. Nie zdążyli nawet zapukać. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Tamara.

– Witajcie! Zapraszam. Za chwilę będzie herbata. Gdybyście zadzwonili wcześniej, byłaby gotowa, ale jak się informuje w ostatniej chwili...

Przeszli do kuchni.

– Babciu, to moja koleżanka z pracy, o której ci mówiłam. A to... – Tamara zawiesiła głos i spojrzała pytająco.

– To Jan, kuzyn hrabianek Leszczyńskich – triumfalnie oznajmiła Marzena.

– Dzień dobry paniom. – Gość grzecznie skłonił głowę.



Marysia wracała do domku babci Róży. Z samego rana poszła do hrabianek, żeby zabrać Kronosa na dłuższy spacer. Panna Zuzanna nie mogła chodzić zbyt daleko, a pies rósł i potrzebował więcej ruchu. Ani dziewczyna, ani starsze panie nie chciały jednak, żeby sam biegał po lesie.

– Leśniczy nie byłby zadowolony – mówiła panna Julia.

– Poza tym Kronos mógłby kogoś wystraszyć – stwierdziła Marysia, która co prawda niezbyt przejmowała się zdaniem mężczyzny, do którego nigdy nie czuła sympatii, ale za to dobrze pamiętała swój własny strach przed bestiami, którymi groziła jej hrabianka przy pierwszym spotkaniu. Mogła sobie wyobrazić, co czułby ktoś, gdyby nagle spomiędzy drzew wybiegł groźnie wyglądający pies.

– I dobrze. Niech się boją – gderała jak zawsze panna Zuzanna. – Najlepiej jakby jeszcze kogoś ugryzł. Przynajmniej nikt by się już tutaj nie kręcił i nie próbował robić swoich porządków.

Marysia wiedziała, że to aluzja do zmian, które wprowadziła w ogródku przy dworku, ale zdążyła już przyzwyczać się do sposobu bycia staruszki i wiedziała, że to tylko słowa. Nie chciała jednak, żeby pies, za którego czuła się odpowiedzialna, był narażony na niebezpieczeństwo albo stał się przyczyną jakichś niemiłych wydarzeń. Dlatego kiedy tylko przyjeżdżała do Borowej, zawsze starała się zapewnić mu długie i bezpieczne spacerowanie.

Przez wieś przeszła szybkim krokiem, bo nadal nie lubiła chodzenia wzdłuż szpaleru domów. Nie chciała być oceniana, a tutaj ludzie interesowali się wszystkim. Inaczej niż w Kielcach, gdzie mijali się na ulicach i nikt nie zwracał uwagi na innych. W tej anonimowości był pewien rodzaj bezpieczeństwa. A tu, na wsi, za chwilę sąsiedzi będą dyskutować o tym, jak wygląda, i zastanawiać się, gdzie tak spaceruje z samego rana. Wiedziała, że nic na to nie poradzi, ale jeszcze nie potrafiła przestać się tym przejmować.

Już z daleka zobaczyła obcy samochód zaparkowany tuż za toyotą matki. Nie słyszała o żadnych gościach, więc zaciekawiona tym faktem jeszcze przyspieszyła kroku. Przez otwarte okno usłyszała gwar głosów i śmiechy. Firanka nie pozwalała na zerknięcie do wnętrza, ale rozpoznała matkę, babcię Różę i panią Zofię. W tej gamie wysokich tonów na pierwszy plan wybijał się... męski głos. Kto to może być? – zastanawiała się. – Warszawska rejestracja samochodu, mężczyzna... Nic nie przychodziło jej do głowy, pozostało więc przekonać się osobiście.

– Dzień dobry – powiedziała głośno, żeby zauważono jej wejście.

Towarzystwo przy stole umilkło i wszyscy spojrzeli w jej stronę.

– To moja córka, Marysia – Tamara wstała i podeszła do dziewczyny. – A to Marzena – wskazała głową na rudowłosą kobietę w zielonej koszulce z dużym dekoltem, która właśnie wbijała zęby w czekoladową babeczkę. Na widok dziewczyny odłożyła ciastko i rozłożyła ręce, na których brzęczało kilkanaście srebrnych bransoletek.

– Chodź tutaj, niech cię uściskam! – zawołała wesoło. – I nic mnie nie obchodzi, czy tego chcesz. W końcu jesteś mi coś winna za to kino, no wiesz, wtedy...

Marysi spodobała się ta wesoła i bezpośrednia kobieta, więc bez protestu dała się wziąć w objęcia.

– I mów mi po imieniu – usłyszała tuż przy uchu. – Bo jeszcze ktoś pomyśli, że jestem taka stara jak twoja mama.

– No wiesz! – krzyknęła Tamara z udanym oburzeniem. – Wcale nie jestem stara!

– Ja jestem – wtrąciła spokojnie babcia Róża. – I dobrze mi z tym.

Wszyscy się roześmiali. Marysia pokręciła głową z uśmiechem. Czasami trudno jej było uwierzyć, że tutaj, u babci Róży, może być tak miło i szczerze. Nadal jednak nie wiedziała, kim jest siedzący obok matki mężczyzna. Tamara zauważyła jej zaciekawione spojrzenie.

– A to, Marysiu, jest wielka dzisiaj niespodzianka. Kuzyn hrabianek.

– Mam nadzieję, że miła niespodzianka. – Mężczyzna uniósł się z krzesła.

– Jasne! – ucieszyła się dziewczyna. – Strasznie mi miło, że pan przyjechał! Nie wierzyłam, że to możliwe. A jednak! Już widzę, jak panna Zuzanna i panna Julia ucieszą się na pana widok.

– Prawdę mówiąc, dziś od rana wszyscy cieszą się na mój widok – uśmiechnął się mężczyzna. – To mnie trochę dziwi, bo nie jestem przyzwyczajony do takich... dużych... dowodów sympatii. Podobnie jak do tego, że wszyscy się obejmują. Ale staram się dostosować. Możemy też... być na „ty”. Tak to się mówi? – Spojrzał na Marzenę, która pokiwała potwierdzająco głową. – Tak. To dobrze. I to ja pisałem do ciebie e-maile. Jestem Jan, to znaczy Janek.

– A dla mnie Jaś – dodała babcia Róża.

– A dla mnie John – parsknęła Marzena.

Jan rozłożył ręce.

– Muszę się jakoś powoli przyzwyczaić...

Marysia z trudem powstrzymywała śmiech. Mężczyzna zdawał się nieco przyłoczony mnogością nowych znajomych i ich różnorodnych charakterów.

– Domyślam się, że chcesz odwiedzić hrabianki? – zapytała.

– Owszem, właśnie dlatego przyjechałem.

– Na razie to siadaj, Marysiu – wtrąciła się pani Zofia, która właśnie stawiała na stole talerz z kolejną porcją babeczek. – Pewnie zmęczyłaś się tym spacerem. Zjedz, napij się, bo tutaj właśnie trwa narada w tej sprawie.

Dziewczyna szybko zorientowała się, co ustalono dotychczas. Marzena była tak podekscytowana całą sytuacją, że chciała doprowadzić do natychmiastowego spotkania hrabiowskiej rodziny. Natomiast Tamara miała w tej sprawie inne zdanie. Uważała, że lepiej będzie uprzedzić starszki, żeby miały chociaż kilka dni na przygotowanie się do wizyty.

– Przecież one wiedzą, że kuzyn przyjedzie – perorowała Marzena. – To chyba już są przygotowane. A gdyby nie spotkanie ze mną, to John już pewnie byłby u nich. Bez żadnego uprzedzania. Szkoda czasu, prawda, Marysiu?

– Też mi się tak wydaje – przytaknęła dziewczyna. Podzielała emocje kobiety, tym bardziej, że czuła się sprawczynią tego wydarzenia. W końcu to przecież z nią Jan nawiązał kontakt. I bardzo chciała zobaczyć

spotkanie rodziny, która odnalazła się po latach.

– Moi kochani – spokojny ton babci Róży nieco ostudził emocje. – Oczywiście nie ma sensu odwlekać niczego dłużej niż to konieczne, ale wydaje mi się, że hrabianki Leszczyńskie nie powinny być zaskakiwane. Wiecie, że potrzebują trochę czasu, żeby zaakceptować zmiany. Zgodzisz się ze mną, Marysiu?

Dziewczyna pokiwała głową.

– No właśnie. Poza tym z pewnością chciałyby w jakiś specjalny sposób przywitać gościa. Nie zapominajcie, że chociaż mają swoje lata, to nadal są kobietami – uśmiechnęła się i uniosła w górę palec wskazujący. – A kobiety lubią się dobrze zaprezentować. Zwłaszcza przed przystojnym młodzieńcem. Nawet jeżeli jest ich kuzynem.

– Co w takim razie proponujesz, babciu? – zapytała Tamara.

– Jak zawsze – złoty środek. Niech Jaś przyjedzie jutro, a dziś po południu Marysia uprzedzi pannę Julię i pannę Zuzannę.

– A ja zdążę spokojnie upiec ciasto, żeby było do rodzinnej herbatki – klasnęła w dłonie pani Zofia.

– I to chyba jest koronny argument w naszej dyskusji. A co ty o tym sądzisz, Jasiu? – Spojrzała pytająco na mężczyznę.

– Uważam, że to, co pani mówi, jest mądre.

– Wszystko, co mówi babcia Róża jest mądre – prychnęła Marysia. – To każdy wie.

– Marysiu! – zganiła córkę Tamara.

– No co?!

– Tylko bez sprzeczek. – Babcia Róża podniosła się z krzesła. – Widzę, że wszyscy są najedzeni. Pora zatem przejść do ogrodu, bo w taki piękny dzień szkoda siedzieć w czterech ścianach. Babcie będą grzały kości w słońcu, a młodzi mogą iść na spacer albo w ramach spalania kalorii, co się to niby w biodrach odkładają po babeczkach – spojrzała porozumiewawczo na Tamarę – poukładać drewno, co je przedwczoraj leśniczy porąbał.

– Leśniczy? – zdziwiła się Tamara.

– Ano leśniczy. Zachodzi tu czasami, zwłaszcza odkąd Łukasz zniknął.

– Co ja słyszę? – włączył się do rozmowy Jan. – Leśniczy? Łukasz? To żyją tutaj także mężczyźni? A ja już myślałem, że we wsi Borowa tylko panie można spotkać.

– To żadni mężczyźni – powiedziała ze złością Tamara. – Nie warto nawet o nich wspominać.

Jan spojrzał pytająco na Marzenę. Ta wzruszyła ramionami.

– Nie „we wsi Borowa”, tylko „na Borowej”. Tak się tu mówi – dodała Tamara.

Mężczyzna westchnął. Naprawdę trudno mu było zrozumieć wszystko, co się działo, ale chociaż co chwilę czemuś się dziwił, to czuł, że bardzo mu się tutaj podoba. I bez protestów przyjął rolę tragarza czterech ogrodowych krzeseł. W sumie był nawet ciekaw, co jeszcze się wydarzy.



Tamara odetchnęła głęboko. Tak, wieczorny spacer to jest to, czego mi było trzeba – pomyślała. – Po tak intensywnym dniu przyda mi się chwila wytchnienia w samotności.

Powoli zapadał zmrok, ale kobiecie to nie przeszkadzało. Drogę nad zalew oświetlały latarnie, a po

zachodzie słońca mogła liczyć na ciszę, bo weekendowi plażowicze zwinęli już koce, ukryli grille w bagażnikach i odjechali do miasta. Nad wodą nie było nikogo poza kaczkami, które kołysząc się śmiesznie na krótkich nóżkach, przemierzały piaszczysty brzeg w poszukiwaniu resztek jedzenia wśród pozostawionych przez ludzi śmieci.

I kto by pomyślał, że sobota będzie tak pełna niespodzianek – stwierdziła, schodząc z asfaltowej drogi. – Miało być spokojnie, leniwie, a tu niespodzianka za niespodzianką. Ciekawe, jak Jankowi spodobają się nowe ciotki – uśmiechnęła się, bo chociaż nie poznała osobiście hrabianek, to wiedziała z opowiadań córki, że to dość ekscentryczne osoby. – On taki grzeczny, prawdziwy angielski dżentelmen, a tu będzie musiał się zmierzyć z panną Zuzanną postukującą laską. Dobrze, że to dopiero jutro, bo chyba na dziś miał dosyć wrażeń.

Przypomniała sobie twarz Jana, na której przez większą część wizyty malowała się mieszanka zdziwienia, niedowierzania i zaskoczenia. Próbował ukryć emocje, ale czy komukolwiek może się to udać w domku babci Róży? Miała jednak wrażenie, że mimo wszystko był zadowolony. No i naprawdę umiał się zachować – zaproponował Marzenie, że ją odwiezie i ze spokojem przyjął jej spontaniczną i bezpośrednią propozycję wieczornego zwiedzania Kielc. Tamara zastanawiała się, jak znieś kolejne godziny w towarzystwie tryskającej energią koleżanki, bo gdy patrzyła na tę dwójkę – spokojnego mężczyznę, ubranego w nienagannym, choć sportowym stylu i rozgadaną kobietę z mnogością bransoletek, koralików i sterczącymi na wszystkie strony ognistymi włosami – trudno jej było wyobrazić sobie większe przeciwieństwo.

Na pewno Marzena opowie mi w poniedziałek o wszystkim – stwierdziła.

Zdjęła tenisówki i stanęła tuż przy brzegu. Woda raz za razem zbliżała się do palców stóp, a delikatny wietrzyk chłodził policzki i szyję. Ostatnie promienie słońca znikają już za linią lasu na horyzoncie, ustępując miejsca zimnemu światłu księżyca odbijającego się w tafli zalewu. Dzień zmieniał się w noc, nawet ptaki już zamilkły. Zamknęła oczy, rozkoszując się spokojem. Chwilo, trwaj! – pomyślała.

Jednak najwyraźniej tego dnia samotność nie była jej przeznaczona. Nurt swobodnie płynących myśli przerwał krótki, urywany dźwięk. Jak kamyczek wrzucony do leniwie płynącego strumienia. Po chwili wybrzmiał po raz kolejny. I jeszcze raz. Próbowała go zignorować, ale chociaż nie był głośny, to wśród wieczornej ciszy echo zwielokrotniało go i niosło po wodzie.

Co to może być? – zastanawiała się Tamara. – Brzmi jakby... no nie!

Wyrwana z własnych rozmyślań, potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, co słyszy. I już wiedziała. Z całą pewnością. Ktoś był niedaleko. I ten ktoś płakał.

Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, była chęć ucieczki. Cichego odejścia, bez ujawnienia swojej obecności. I kontynuowania własnego pomysłu na spędzenie wieczoru.

Zrobiła ostrożnie kilka kroków w przeciwną stronę. Na szczęście piasek tłumił wszystkie odgłosy. Cieszyła się w duchu, że zdjęła buty. Jeszcze chwila i będzie bezpieczna, poza zasięgiem tego płaczącego kogoś...

Głębokie westchnienie, które dobiegło do jej uszu, było tak przepełnione smutkiem, że Tamara zamarła w bezruchu. A jeśli ten ktoś potrzebuje pomocy? – pomyślała. – Kto wie, w jakim celu tu przyszedł.

Zawahała się. Odejść i zostawić kogoś w potrzebie? Nawet jeżeli ta osoba nie zdaje sobie sprawy z jej obecności, to przecież niczego nie zmienia. Ja o tym wiem – stwierdziła. – I to wystarczy.

Zdecydowanym ruchem rzuciła buty na piasek i wsunęła w nie stopy. Poczekwała na kolejne chlipnięcie, żeby określić, skąd dobiega i rozpoczęła wspinaczkę po stromym zboczu porośniętym krzewami. Nie pomyliła się. Na pnium drzewa położonym przy miejscu, w którym ktoś kiedyś palił ognisko, siedziała

drobna postać z twarzą ukrytą w dłoniach. Kobieta na pewno usłyszała, że ktoś nadchodzi, ale nie podniosła głowy.

Nie boi się? – pomyślała Tamara. – Jest sama, w lesie, już po zmroku. A może jest jej wszystko jedno?

– Dobry wieczór – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. – Czy coś się stało? Potrzebuje pani pomocy?

Nieznajoma nie odpowiedziała. Nawet się nie poruszyła.

Tamara powoli podeszła i usiadła na pniu, tuż obok płaczącej. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie miała też pomysłu na to, co mogłaby zrobić. Nie mogła już teraz odejść i zostawić kobiety samej, ale też nie wyglądało na to, żeby tamta miała ochotę na rozmowę. Nie pozostało więc nic innego, jak po prostu poczekać, co będzie dalej.

Dłuższą chwilę siedziały w milczeniu przerywanym tylko kolejnymi pochlipywaniami i westchnieniami nieznajomej. Tamara obserwowała coraz ciemniejszą taflę zalewu i gwiazdy pojawiające się na bezchmurnym nocnym niebie. Zrobiło się chłodniej, więc otuliła się szczelniej połami swetra.

– Pani też nie ma z kim spędzić sobotniego wieczoru? – usłyszała niespodziewanie głos nieznajomej.

– Nie, przeciwnie, dziś miałam aż za dużo towarzystwa – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Wyszłam, żeby pobyć chwilę sama.

– Niech pani uważa, żeby ta chwila nie zmieniała się w całe życie.

– Wiem.

– Nie sędzę.

– Cóż, ma pani do tego prawo. A jednak wiem, o czym pani mówi. I wiem też, że da się to zmienić. Chociaż pani w to zapewne nie uwierzy.

– Ma pani rację. Nie uwierzę. Już w nic nie wierzę... – i rozplakała się po raz kolejny.

Tamara sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyciągnęła nieco wymiętą paczkę chusteczek. Podała ją kobiecie. Ta wyciągnęła jedną, otarła oczy i popatrzyła na Tamarę

– Dziękuję.

– Nie ma za co. A czy my się przypadkiem gdzieś już nie spotkałyśmy?

– Pewnie widziała mnie pani na jakiejś niezwykle ważnej gminnej imprezie, jak uśmiecham się uczepiona rękawa mojego wspaniałego męża – powiedziała ironicznie kobieta.

– Tak, rzeczywiście! Pani jest żoną wójta!

– Niestety.

Tamara z ciekawością spojrzała na kobietę. Ładną, szczupłą twarz okalały dobrze wycieniowane blond włosy, a w zaczerwienionych od płaczu oczach malował się ogromny smutek. Mogłoby się wydawać, że ma wszystko – dom, męża, który osiągnął sukces, bezpieczeństwo finansowe. Co spowodowało, że ta, która powinna być zadowolona ze swojego życia, siedzi w sobotni wieczór nad brzegiem zalewu i płacze?

Tamara nie chciała zostać uznana za wścibską, ale zaintrygowała ją odpowiedź kobiety. Chętnie zapytałaby wprost, ale uznała, że lepiej zastosować dotychczasową metodę i po prostu poczekać, aż żona wójta sama zdecyduje się powiedzieć coś więcej.

Po kolejnej chwili milczenia blondynka chyba odzyskała nieco równowagę psychiczną, bo starając się uśmiechnąć, zagadnęła:

– Pewnie się pani zastanawia, dlaczego siedzę tutaj z rozmazanym makijażem zamiast robić coś dla społeczeństwa, jak przystało na żonę włodarza gminy?

– Nie – zaprzeczyła Tamara. – Zastanawiam się raczej, dlaczego siedząca obok mnie kobieta płacze.

I nad tym, czy mogę coś zrobić, żeby to zmienić.

Wójtowa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Ja przepraszam, może jestem trochę niesprawiedliwa i nieufna, ale proszę mnie zrozumieć – odgarnęła opadające na twarz włosy. – Żona wójta to jakby część jego wizerunku. A ten musi być idealny, tak mi powtarza każdego dnia mąż. Że PR bardzo się liczy.

– Tak, wiem coś o tym. Sama go tego nauczyłam – uśmiechnęła się Tamara.

– O! Przepraszam, ale nie poznałam pani...

– Nie szkodzi. Przecież widziałyśmy się tylko raz i to przez krótką chwilę.

– Tak, pamiętam. Na parkingu przed sklepem... – ściągnęła brwi i dodała niepewnie. – Mąż chyba nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, co wyprawiam.

– Proszę się nie obawiać, jestem tu prywatnie. Zresztą już nie pracuję dla pana Kamińskiego.

– Fakt, ostatnio wspominał coś na ten temat – przyznała, ale nie wyglądała na przekonaną. Podniosła się i otrzepała spodnie z drobinek kory. – Mimo wszystko powinnam chyba już wracać do domu. Kacper lubi, gdy czekam na niego z kolacją. Miło było panią spotkać. Dobranoc.

Tamara poczuła, że żona wójta obawia się jej. Nawet to rozumiała. Pewnie boi się, że powiem mężowi o jej chwili słabości – pomyślała i zrobiło jej się żal kobiety, która nawet w chwili załamania za wszelką cenę stara się nie zrobić nic, co mogłoby zaszkodzić karierze męża.

– Proszę chwilę zaczekać – zatrzymała odchodzącą kobietę.

– Tak?

– Nie wiem, czy mąż pani wspominał, ale często przyjeżdżam tutaj, na Borową, do babci. Właściwie jestem w każdy weekend. Gdyby pani miała ochotę na kawę albo spacer, to zapraszam. Proszę pytać o dom Róży Marcisz. Wie pani, lubię tu być, ale czasami brakuje mi towarzystwa innego niż nastolatka i starsza pani... – miała nadzieję, że ten wymyślony naprędce argument przekona kobietę.

Żona wójta przez moment przyglądała się Tamarze.

– Pomyślę o tym – powiedziała w końcu. – Tak naprawdę nie mam zbyt wiele czasu...

– Rozumiem – pokiwała głową Tamara. – Moje zaproszenie jest zawsze aktualne. I jak pani widzi, lubię spacerować o różnych porach, więc proszę się zbytnio nie przejmować konwenansami.

Patrzyła, jak kobieta odchodzi w kierunku zaparkowanego przy drodze samochodu. Miała nadzieję, że nie widzą się po raz ostatni, bo poczuła jakąś nić sympatii do żony wójta. Wzruszyło ją to połączenie słabości z wielką siłą, ale też doskonale rozumiała, co czuje ktoś, kto ma ochotę płakać, a musi wziąć się w garść i zmierzyć z tym, co wydaje się bardzo trudne. Chyba miałybyśmy o czym porozmawiać – stwierdziła.

Wracała do domku babci Róży, myśląc o tym, że chociaż nie odpoczęła tak, jak planowała, to jednak nieoczekiwane spotkanie uświadomiło jej jedną ważną rzecz. Jestem prawdziwą szczęściarą – pomyślała. – Za chwilę będę wśród osób, które mnie kochają, akceptują i cieszą się na mój widok. Nie jestem sama i nie jestem samotna. To bardzo miłe uczucie.



– Co mu tak się spieszyło z tym przyjazdem? – Panna Zuzanna nerwowo zastukała laską o podłogę. – Pewnie już myśli o tym, jak nas stąd wyrzucić i wszystko sprzedać.

Panna Julia spokojnie wbiła igłę w kawałek trzymanego w ręku błękitnego materiału i odłożyła robótkę na kolana.

– A kto chciałby kupić taką ruinę w środku lasu? – zapytała. – Myślę, Zuzanno, że jak zawsze przesadzasz.

– Mnie się to wszystko wcale nie podoba. I powiem ci tylko, że jak on się zorientuje, to na nic się nie będzie oglądał. I na stare lata przyjdzie nam pod kościołem żebrać. Może i tutaj nie jest bogato, ale pamiętaj, że to wszystko, co mamy.

– Przypominam ci, Zuzanno, że prawda jest nieco inna...

– Prawda to jest taka, jak na papierze urzędowym – zezłościła się staruszka i wstała z fotela. – Idę do kuchni przygotować kolację. Póki jeszcze mamy kuchnię – dodała swoim burkliwym tonem.

Na Julii nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Poczekała, aż siostra dojdzie do drzwi i powiedziała spokojnie:

– Oprócz papierów jest jeszcze sumienie.

W odpowiedzi usłyszała jedynie mocniejsze uderzenie laski. Pokiwała głową i zamyśliła się. Rozumiała siostrę, po części nawet podzielała jej obawy, ale z każdą kolejną wizytą młodej Marysi coraz bardziej męczyło ją to, co od lat starały się zatrzeć w pamięci. Wiedziała, że mają już niewiele czasu, a ostatnie wydarzenia były jakby sygnałem od losu, że najwyższa pora rozliczyć się ze światem.

– Żeby z czystym sumieniem móc zamknąć oczy – powiedziała cicho.

Na dźwięk jej głosu leżący obok wózka pies uniósł się i spojrzał na staruszkę. Ta uśmiechnęła się do zwierzęcia.

– Widzisz, Kronos, losu nie da się oszukać. Można go co najwyżej na chwilę zmylić. I nawet jeżeli ta chwila trwa wiele lat, to i tak w końcu przychodzi czas na prawdę. Cóż robić? Trzeba znaleźć siłę i stawić temu czoła. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz w życiu. To i tak lepsze niż śmierć w kłamstwie.

Pies patrzył na staruszkę uważnie, jakby rozumiał, co mówi. A gdy skończyła, polizał pomarszczoną dłoń i znowu położył się u stóp Julii. A ona wróciła do haftowania bukietu polnych fiołków.



– I jak ci się podoba nasze miasto?

Szli parkową alejką, wzdłuż stawu. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w kropelkach wody i tworzyły nad fontanną tysiące kryształowych drobinek mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Na trawie przy brzegu odpoczywały łabędzie, a stado kaczek i gołębi oblegało jakiegoś malucha, który piszcząc z uciechy, rzucał ptakom kawałki chleba. Ławeczki o tej porze zajęte były głównie przez zakochanych, a cały park rozbrzmiewał świergotem ptaków, które zlatywały się tutaj, żeby spędzić noc na gałęziach kasztanowców i wierzb.

Marzena pokazała już Janowi centrum miasta – Rynek pełen kawiarnianych ogródków, ulicę Sienkiewicza, plac Artystów, gdzie usiedli przy stoliku przed kawiarnią Bliklego i ochłodzili się malinowym sorbetem. Później weszli na dziedziniec Pałacu Biskupów, obejrzelili ogród włoski i zesli

brukowaną uliczką przy Pałacyku Tomasza Zielińskiego.

Ciepły letni wieczór był idealnym czasem na takie niespieszne wędrowki. Marzena podczas spaceru próbowała spojrzeć na swoje miasto oczami Jana – człowieka, który nigdy wcześniej tu nie był, a przyjechał z dużej europejskiej metropolii. Nie umiała jednak wyobrazić sobie, co może myśleć. Z jednej strony czuła się trochę jak uboga krewna, która z dumą prezentuje swoje skarby komuś, kto posiada dużo więcej, ale z drugiej – lubiła Kielce i chociaż miała świadomość, że nie są może tak atrakcyjne jak Londyn, to jednak mają niepowtarzalny urok. I zadając Janowi pytanie, była gotowa, w przypadku gdyby usłyszała słowa krytyki, na obronę swojego rodzinnego miasta.

– Muszę szczerze przyznać, że nie spodziewałem się czegoś takiego – powiedział Jan.

– Jakiego? – Marzena przyjęła zaczepny ton.

– Myślałem, że Kielce to małe miasteczko. Tak mi się wydawało, kiedy słuchałem opowieści dziadka i czytałem o Kielcach w internecie. Byłem już w Krakowie, w Gdańsku i we Wrocławiu, ale wiedziałem, że to miasto jest dużo mniejsze.

– I co z tego?

– Nic. Po prostu mówię, co wiedziałem. I jeżeli mi pozwolisz, powiem zaraz, co myślę teraz.

Marzena zawstydziała się. W myślach przeklinała swoją impulsywność. Zresztą ten mężczyzna bez przerwy sprawiał, że się peszyła. Był taki spokojny, zrównoważony. Idealny, można powiedzieć. Przy nim wydawało jej się, że jest jeszcze bardziej zwariowana niż normalnie. A na dodatek, chociaż do tej pory uważała to raczej za zaletę, teraz wstydziała się sama za siebie.

– Oczywiście – pokornie wbiła wzrok w alejkę i zamilkła.

– Jak wspominałem, spodziewałem się niewielkiego miasteczka. A widzę, że jest inaczej. To, że Kielce są mniejsze niż te miasta, które dotąd zwiedzałem, niczego im nie ujmuje. Przeciwnie, to urocze miejsce. Pięknie utrzymane zabytki, dużo zieleni. A ludzie spędzają czas zupełnie jak u nas, w Londynie. Są kawiarnie, puby, a w parku widzę dużo... sportu... tych... biegaczy, i na rowerach. Ludzie się śmieją, rozmawiają, wyglądają na zadowolonych. Podobają mi się Kielce. Są takie... – przez chwilę szukał słowa – ...kameralne. Dobrze powiedziałem?

– Może być – uśmiechnęła się Marzena. I w duchu odetchnęła z ulgą, bo było lepiej, niż się spodziewała. – Ale chociaż Kielce są takie małe, to pewnie czujesz już w nogach ten nasz spacer?

– Nie rozumiem?

– Jasne! Czujesz w nogach, to znaczy, że pewnie jesteś zmęczony chodzeniem.

– A! – Jan się uśmiechnął. – Może trochę. Nawet pomyślałem, że moglibyśmy coś zjeść...

– Świetna myśl! – podchwyciła Marzena. – Akurat będziesz miał okazję poznać jedną z lokalnych specjalności. O, tu zaraz – wskazała uliczkę na wprost – mamy takie wyjątkowe miejsce. Nazywa się „ZapieCKanki”, czyli kieleckie zapiekanki. Świetny klimat, stylizacja na PRL, więc poczujesz powiew historii i zapach pieczonej bagietki. Wchodzisz w to? Ja stawiam!

Jan spojrział ze zdziwieniem.

– Będziemy jeść na ulicy?

– A dlaczego nie? W Londynie tak nie jadają? – Marzena poczuła irytację. Dlaczego on jest taki sztywny? – pomyślała.

– Sądziłem, że kolację z kobietą jada się raczej w restauracji.

– Może jak się zaprasza kobietę na randkę, to tak. Ale jeżeli jest się po prostu parą znajomych i to zaledwie od kilkunastu godzin, to można być bardziej swobodnym, nie sądzisz? – Nie potrafiła dłużej ukrywać emocji. Całe to zmieszanie, w które ją wprawiał, poczucie, że ciągle zachowuje się

nieodpowiednio albo mówi coś nie tak jak powinna, wprawiło ją we frustrację, która teraz uzewnętrzniła się i której nie potrafiła dłużej kontrolować.

– Może mógłbym na to przystać, ale na to, żeby kobieta za mnie płaciła, to już nie mogę się zgodzić. Tak nie wypada.

– Człowieku! Ile ty masz lat? Sto? Nie wiem, jak to jest u was, ale my tutaj mamy XXI wiek. Ja pracuję, zarabiam i jestem niezależna. Skoro ty płaciłeś za sorbet, to ja mogę za zapiekanki. I nie ma co z tego robić większego problemu. A jeżeli chcesz wiedzieć, to bardziej nie wypada chodzić tak, jakby się kij połknęło.

Jan przyglądał się mocno gestykułującej dziewczynie.

– Marzeno, mów trochę ciszej – poprosił. – Jesteśmy na ulicy, ludzie patrzają...

– No i co z tego? Niech patrzą – wzruszyła ramionami kobieta. – A może tobie się przyglądają? Może nigdy nie widzieli takiej skamieliny emocjonalnej i obyczajowej?

– Czego?

– Och, szkoda słów! Wiesz, odechciało mi się jedzenia. I dalszego spaceru też. Rozejrzała się dookoła i z ulgą zauważyła taksówkę wyjeżdżającą z ulicy Zamkowej, gdzie zapewne przywiozła klubowych gości. Zatrzymała auto i podeszła do kierowcy.

– Zawiezie pan tego faceta do hotelu? – zapytała, a kiedy taksówkarz skinął głową, odwróciła się w stronę Jana. – Wsiadaj, pan cię zawiezie. Żeby nie było, że zagranicznego gościa zostawiłam na środku ulicy. W hotelu sobie zjesz tę elegancką kolację i sam za nią zapłacisz. Bo chyba o to ci chodziło, prawda? A ja idę gdzieś, gdzie sama zapłacę za swoje drinki. Dobranoc.

I odeszła w stronę „Sienkiewki”, nie oglądając się za siebie. Było jej wszystko jedno, co pomyśli sobie ten angielski przystojniak. Bez jego badawczego spojrzenia znowu mogła być sobą. Co z tego, że nieźle wygląda – pomyślała ze złością. – Za to zimny jak ryba i na dodatek ma poglądy z poprzedniego stulecia. Ja się na angielską damę nie nadaję. Nie czuję tego. Odpuszczam.

Wyciągnęła z torebki smartfona i wybrała numer.

– Hej, Kasiu! Gdzie jesteś? Jak zwykle, „Czerwony Fortepian”? OK, będę za jakiś kwadrans. Już możesz zamówić mi drinka. Pa!

Może wieczór jeszcze nie jest całkiem stracony? – stwierdziła i przeczesła dłonią włosy, żeby nastroszyły się jeszcze bardziej.

Tymczasem Jan jechał taksówką w stronę hotelu, w zamyśleniu obserwując mijane kamienice. Co to jest „skamielina”? – zastanawiał się.



– To powiesz coś, Marysiu, o tym spotkaniu? – Tamara spojrzała na siedzącą obok córkę.

Zatrzymał je zamknięty przejazd kolejowy w Jagodnie, więc zgasiła silnik i spokojnie czekała. Zdążyła już przyzwyczaić się, że tutaj dróżnik opuszcza szlaban nawet kilka minut przed przyjazdem pociągu, a potem wcale nie spieszy się z jego podniesieniem. Jakby nawet pracownicy kolei ulegli temu zupełnie innemu niż w mieście tempu życia.

Wyjechały od babci Róży zaopatrzone w słoiki pełne bigosu, paczuszki ze zrazami i pierogami. Bo chociaż Marysia miała wrócić następnego dnia i zostać w Borowej przez dwa tygodnie, to pani Zofia,

wręczając Tamarze wałówkę, powiedziała:

– Jak dziecka w domu nie ma, to i gotować się nie chce. To będzie akurat na podgrzanie. Zawsze lepsze domowe niż kupione byle gdzie.

Do tego wszystkiego dołożyła jeszcze pudełka z babeczkami, bo ciasteczkowy interes rozkwitał. Kawiarnie prosiły nawet o więcej wypieków i pytały o częstsze dostawy, ale na razie pani Zofia nie do końca mogła uwierzyć w swój talent i nawet nie chciała zastanawiać się nad kolejnymi propozycjami, twierdząc, że na pewno to tylko chwilowe i nie ma co przywiązywać do tego większej wagi. Niestety, Tamarze nie udało się przekonać jej do zmiany zdania, więc babeczki dostępne były jedynie w poniedziałki i to w ograniczonej liczbie, co zasmucało wielu tych, którzy zdążyli zasmakować w tych wyjątkowych słodkościach.

– No, dlaczego milczysz? Nie chcę naciskać, ale wróciłaś od hrabianek sama, Jan nawet nie zajrzał do nas, a ty nic nie mówisz. Nie ukrywam, że jestem ciekawa, ale też trochę się niepokoję. Coś poszło nie tak? – spoglądała na nastolatkę, która uparcie wpatrywała się w okno. – Cóż, jeżeli nie chcesz, to nie mów...

– Chcę. Tylko właściwie sama nie wiem, co powiedzieć. I zastanawiam się właśnie...

Bo to było takie dziwne spotkanie...

– W jakim sensie dziwne?

– Wiesz, myślałam, że na początku będzie wruszająco, hrabianki pochlipią w haftowane chusteczki, wyściskają kuzyna. Rozumiesz?

Tamara pokiwała głową.

– No, właśnie. A potem rodzinna herbatka i takie tam. A było zupełnie inaczej.

– To znaczy jak?

– Nie wiem. Tak jakoś sztywno, poważnie i obco. Jedynie Kronos okazywał radość, bo o mało mu się ogon nie urwał. A reszta towarzystwa to raczej powaga i dystans. Jak na oficjalnej wizycie u królowej angielskiej.

– Może tak właśnie powinno się zachowywać w wyższych sferach – uśmiechnęła się Tamara. – My, prosty lud, nie znamy się na tym.

– Daj spokój, mamó! – Marysia wzruszyła ramionami. – Ty sobie żarty robisz, a ja się czuję jakoś dziwnie. Przecież to rodzina, prawda? I znaleźli się po tylu latach. To chyba powinni się cieszyć? Dziwne to jakieś...

– Pewnie masz rację. Ale widziałas przecież Janka. Do wylewnych nie należy, temperament ma taki, delikatnie mówiąc, mocno stonowany. A hrabianki też znasz nie od dziś i wiesz, że trzeba czasu, żeby się do kogoś przekonały. W sumie to niby rodzina, ale nigdy się nie widzieli, nie znają się. To obcy dla siebie ludzie. Trzeba im dać czas. Tak mi się wydaje.

– Może masz rację – przyznała dziewczyna. – Ale tak, jak mówi pani Zofia, na rozum. Bo serce mi mówi, że powinno być inaczej. – Wskazała na podnoszący się szlaban. – A teraz to już chyba możemy jechać? Bo do jutra się do domu nie dowlecjemy.

– Coś czuję, że serce ci mówi jeszcze jakieś inne rzeczy – roześmiała się kobieta. – Czyżby Kamil czekał na twój powrót, że mnie tak poganiaasz?

– Mamó! – oburzyła się Marysia. – Musisz być złośliwa? Tak, czeka. Obiecałam mu opowiedzieć o spotkaniu. Jak z nim to przegadam, to może jakoś zrozumieć.

– O, jasne, on na pewno lepiej to rozgryzie niż stara matka, prawda?

– Mamó!

– OK, OK, już się nie odzywam.

Resztę drogi przejechały w milczeniu, każda pogrążona w swoich myślach. Tamara zastanawiała się nad tym, co powiedziała córka. Czy rzeczywiście hrabianki nie ucieszyły się ze spotkania z kuzynem? Czy nie zależało im na nawiązaniu bliższych relacji rodzinnych? Po tylu samotnych latach? W gruncie rzeczy zgadzała się z córką – było w tym coś dziwnego. Bo powściągliwość i dobre wychowanie to jedno, ale emocje to zupełnie inna sprawa. Czy naprawdę miały tyle siły, żeby kontrolować swoje zachowanie nawet w takiej chwili? Ciekawe, jak to potoczy się dalej – zastanawiała się. – Czy Jankowi uda się zbliżyć do ciotek? Czy w ogóle spróbuje?

Przed blokiem czekał już Kamil. Poznała z daleka szczupłą, wysoką sylwetkę. Zresztą nawet gdyby nie zauważyła, to wątpliwości nie pozostawiało zachowanie Marysi, która aż podskoczyła na siedzeniu. Ech, młodość – westchnęła w duchu Tamara i zaparkowała na swoim stałym miejscu.

– Tylko nie wracaj zbyt późno! – krzyknęła za wysiadającą córką.

– Może ja pomogę coś zanieść na górę? – Kamil pojawił się tuż obok niej, gdy wysiadła z samochodu.

– Nie trzeba. Poradzę sobie. Idźcie już, bo Marysia za chwilę pęknie od nadmiaru emocji.

– Mamo! – usłyszała po raz trzeci tego dnia.

Machnęła ręką, pokazując młodym kierunek, w którym ich odsyła i otworzyła bagażnik.



– Rozmawiałaś z mamą? – zapytał Kamil, gdy odeszli kawałek od Tamary ustawiającej siatki z wiktuałami na brzegu chodnika.

– Nie było okazji...

– Boisz się?

– Trochę tak. Nie wiem, co powie. No, chyba się zdenerwuje, tak mi się wydaje...

– To może ja z nią porozmawiam? Wolałabyś?

– Nie, najpierw muszę sama – zdecydowała Marysia.

– Jak chcesz. Jakby co, to możemy też razem.

– Wiem, ale wolę sama.

Dziewczyna zamyśliła się. Rozmowę z matką planowała już od kilku dni, ale jakoś brakowało jej odwagi. Jednak zdawała sobie sprawę, że w końcu musi to zrobić. Najlepiej wieczorem, bo przecież jutro wraca do Borowej. A sprawę trzeba załatwić, najwyższy na to czas.



– I jak ci się widzi ten nasz niby-kuzyn? – Panna Zuzanna postawiła na stole koszyczek z chlebem i nałagała do filiżanek herbatę.

Julia spokojnie sięgnęła po kromkę i w milczeniu zaczęła smarować ją masłem.

– Bo na moje oko, on jest taki miły, że to aż dziwne. Myślę, że coś knuje...

– Zuzanno, czy ty zawsze musisz posądzać ludzi o złe intencje? Dobrze wychowany młody człowiek.

Zachowywał się nienagannie. Za to ty miałaś minę, jakbyś chciała, żeby sobie poszedł.

– Bo chciałam – mruknęła staruszka.

– Jest tutaj i nic na to nie poradzimy. Zresztą niedługo wyjedzie. Słyszałaś sama.

– Żeby tylko nie zdążył niczego wywęszyć przed odjazdem. Bo nic nie robi, tylko wypytuje. Jakby śledztwo jakieś prowadził.

– Przesadzasz, Zuzanno. Poza tym to i tak bez znaczenia. Ja już zdecydowałam.

– A mnie o zdanie nie pytasz?

– Nie muszę, znam je przecież.

– Taka pewna jesteś. – Zuzanna stuknęła bojowo laską o dębową podłogę. – A może mi się odmieniło?

– Szkoda czasu na kłótnie. Zwłaszcza że może nie mamy go zbyt wiele. Jan wyjedzie, a my załatwimy wszystko jak należy. Nie można lekceważyć znaków od losu. Pamiętaj, że zawsze słuchałyśmy głosu przeznaczenia, więc i teraz tak zrobimy.

– A po co nam to? Na stare lata takie rewolucje...

– Właśnie dlatego, że na stare lata. I nie dla nas to, ale dla tych, co po nas zostaną. Żeby był porządek i wszystko jak należy.

Zuzanna wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco. Jednak nie zaprotestowała. A Julia wiedziała, że siostra myśli tak samo jak ona, chociaż nigdy się do tego nie przyzna.



– Mamo, masz ochotę na herbatę? – Marysia weszła do pokoju, trzymając w dłoniach dwa kubki z parującym napojem. Zastanawiała się, jak zacząć tę trudną rozmowę i jak ją poprowadzić, żeby osiągnąć zamierzony cel. Rozważała różne opcje i w myślach układała scenariusze, według których miałyby potoczyć się wydarzenia. Żaden nie był idealny, więc postanowiła, że po prostu musi jakoś zacząć, a potem jakoś to będzie.

– Może i mam. To zależy. – Matka podniosła głowę znad książki i popatrzyła uważnie na dziewczynę.

– Od czego?

– Od tego, co chcesz mi powiedzieć. Albo czego ode mnie chcesz.

– A skąd wiesz, że czegoś chcę?

– Marysiu, znam cię od ponad szesnastu lat i kiedy słyszę w twoim głosie te nutki, które zabrzmiały przed chwilą, to więcej mi nie trzeba.

– No rzeczywiście – poddała się dziewczyna. – Mam pewną sprawę, a właściwie prośbę... – wszystko potoczyło się tak szybko i zupełnie inaczej niż w którymkolwiek z wymyślonych scenariuszy, że czuła się trochę oszołomiona.

– To może najpierw postaw tę herbatę i usiądź – zaproponowała Tamara. Patrzyła na drobną postać córki i zastanawiała się, z czym tym razem przyjdzie im się zmierzyć.

– Mamo... – zaczęła Marysia, nerwowo trąc dłońmi o nogawki dzinsów. – Nie wiem, jak to powiedzieć, żebyś się nie zdenerwowała...

– Dziecko, ja cię proszę, mów wprost, bo jak zaczynasz w ten sposób, to ja już się denerwuję. – Kobieta odłożyła książkę na stolik i popatrzyła córce prosto w oczy. – Czy coś się stało?

– Nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie Marysia. – Wszystko w porządku. Tylko... – nabrała powietrza

i wyrzuciła szybko, jednym tchem – chcielibyśmy z Kamilem wyjechać na kilka dni nad morze.

– Sami?

– Tak.

– Nie zgadzam się.

Krótką odmowa zabrzmiała jak wystrzał. I nie zostawiała miejsca na dalszą dyskusję. Marysia, chociaż spodziewała się takiej odpowiedzi, to jednak w głębi duszy miała nadzieję, że zdarzy się cud i matka się zgodzi. I teraz ta nadzieja została brutalnie zabita jednym krótkim zdaniem.

– Dlaczego? – zapytała, starając się zachować spokój, ale czuła narastającą złość.

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie wiem.

– Myślę, że jednak wiesz. Ale skoro chcesz to usłyszeć – proszę bardzo. Uważam, że jesteś za młoda na samodzielny wyjazd.

– Przecież pojedę z Kamilem...

– Wcale mnie to nie pociesza, a nawet przeciwnie – jeszcze bardziej martwi.

– Tak, pewnie, bo jak pojedę, to zaraz zajdę w ciążę, tak? – Marysia nie potrafiła dłużej powstrzymać złości. Ostatnio wydawało jej się, że znalazła z matką wspólny język, że potrafią się dogadać, a tu coś takiego! – Mamo! Ja się z Kamilem tylko przyjaźnię, przecież wiesz!

– Niby wiem, ale się boję. Nie zaprzeczam. – Tamara też starała się zachować spokój, nie chciała kłótni z córką, ale nie spodziewała się takiej rozmowy i sytuacja nieco ją przerosła. Mimo to postanowiła być szczerą. – Ale boję się też o wasze bezpieczeństwo. Tak w ogólności.

– Jasne! Bo zaraz nas porwą, obrabują i zabijają! Bo jestem młoda i głupia. I nie poradzę sobie przez kilka dni bez opieki. Wiesz co?! Myślałam, że masz do mnie trochę zaufania!

– Marysiu!

– Daj mi spokój! Wiedziałam, że tak będzie! Niepotrzebnie w ogóle pytałam!

Trzaśnięcie drzwi od pokoju było jak dodatkowy wykrzyknik po ostatnim zdaniu. Tamara została sama. Wpatrywała się w stojący po drugiej stronie stolika kubek córki i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła. Nie mogłam się przecież zgodzić – myślała. – Marysia nie ma jeszcze nawet siedemnastu lat. Gdybym uległa, byłabym nierozsądna.

Tymczasem dziewczyna, ocierając łzy złości i rozczarowania, wrzucała do torby kolejne ciuchy. Bardzo dobrze, że jutro jadę do babci Róży – myślała. – Nie chcę tu być, nie mogę na nią patrzeć! Co by jej szkodziło pozwolić mi pojechać na te kilka dni? Jak mam coś załatwić albo zostać sama w domu, to jestem wystarczająco dorosła, ale na wyjazd to już nie. To niesprawiedliwe!

Usiadła na łóżku i sięgnęła po telefon. Wybrała numer Kamila.

– Nic z tego – rzuciła krótko do słuchawki. – Nie zgodziła się.

Przez chwilę słuchała odpowiedzi.

– Jasne, wiem, że to nie koniec świata, ale...

Znowu słuchała.

– Kiedy? Pojutrze? Dobrze, wyjdę po ciebie na stację. Ale zostaniesz na cały dzień?

Popatrzyła na gasnący wyświetlacz. Dobrze, że był Kamil. Gdyby nie on, to nie wiem, co bym zrobiła – pomyślała.



– Czy ty sądzisz, że ja jestem jakaś nienormalna? – Marzena zaciągnęła się papierosem i głośno wypuściła dym.

Stały ukryte za rogiem budynku. Po pierwsze dlatego, żeby czujne oko Sexy Doll nie dostrzegło tej nielegalnej przerwy „na dymka”, a po drugie, żeby choć przez chwilę skorzystać z odrobiny cienia i w ten sposób próbować przekonać same siebie, że jest chłodniej. Sierpniowe upały mocno dawały się we znaki i chociaż kamienica, gdzie mieściła się agencja, miała grube mury, które niełatwo się nagrzewały, to jednak brak wentylacji i ostre słońce wpadające przez duże okna sprawiały, że nawet działające bez przerwy wiatraczki nie dawały rady schłodzić powietrza. Trudno było pracować w taki upał, gdy każdy ruch sprawiał, że człowiek się pocił, więc wszyscy myśleli głównie o uzupełnieniu płynów i ucieczce w jakieś chłodne i cieniste miejsce. Tamara i Marzena pozwoliły więc sobie na te kilkuminutowe wagary, mając nadzieję, że sekretarka też nie ma siły na zbyt dużą aktywność w śledzeniu każdego ruchu pracowników.

– Mówię ci, nie podejdzie do okna – przekonywała Marzena. – Będzie się bała, że jej makijaż spłynie.

Tamara dała się namówić, tym bardziej że czuła, że koleżanka chce jej coś powiedzieć i szuka chwili, w której nikt im nie przeszkodzi. Teraz wreszcie zaczęła mówić, ale z jej pytania nic konkretnego na razie nie wynikało.

– W jakim sensie nienormalna? – odpowiedziała więc pytaniem na pytanie koleżanki.

– W każdym – wzruszyła ramionami Marzena.

– A kto powiedział, że nie jesteś?

– Nikt nie powiedział. Dlatego nie wiem i cię pytam.

Nie jest dobrze – pomyślała Tamara. – A na dodatek nie wiadomo, o co jej chodzi. Bo, że o coś chodzi, to pewne.

– Kochana, powiedz mi, tak normalnie, co się stało. I czy to ma związek z naszym Anglikiem?

Koleżanka rzuciła spłoszone spojrzenie, a potem wbiła wzrok w resztki wysychającego trawnika i wybąkała:

– Nie dosłownie, ale w pewnym sensie...

– Marzena, mów wprost, co jest grane, bo w tym upale to ja nie mam siły na zagadki – zirytowała się Tamara. – Co zrobiłaś, że masz moralniaka?

– Nie mam żadnego moralniaka – oburzyła się koleżanka. – I właśnie niczego nie zrobiłam. Dlatego się zastanawiam, czy jestem normalna. Bo wiesz, on się zachowywał nienagannie. Zafundował mi deser, potem chciał zaprosić na kolację...

– To chyba dobrze, prawda?

– Pewnie tak. To znaczy, na pewno tak. Ale ja się uparłam na zapiekankę na ulicy. I że ja zapłacę. A na koniec wsadziłam go do taksówki i odesłałam do hotelu.

– Dlaczego?

– Bo czułam się przy nim jakoś tak... no, że nie sprostam jego wymaganiom. Do dżentelmena powinna być dama, nie? A czy ja jestem damą? Sama powiedz!

– Pojęcia nie mam, bo się na tym nie znam. Ale mogę cię zapewnić, że jesteś świetną kobietą. A skoro on chciał cię zaprosić na kolację, to chyba miał podobne zdanie.

– No to teraz już nie ma – westchnęła Marzena. – Zresztą to i tak bez znaczenia, bo ja się przy nim za bardzo stresuję. I te jego poglądy na temat życia i zachowania kobiet. Jak z innej epoki. Nie dałabym rady na dłuższą metę. Czy ty sobie mnie wyobrażasz taką przykłądną, spokojną i zrównoważoną? I idealną jak angielski trawnik?

Tamara parsknęła śmiechem, słysząc ostatnie porównanie.

– Nie wyobrażam. Nawet nie próbuję.

– I dobrze, bo to bez szans. A z tego prosty wniosek, że John też jest bez szans. I tyle w tym temacie.

– Jesteś pewna?

– Jestem. A nawet gdybym nie była, to on z pewnością jest. Czy ty wiesz, że ja go nazwałam skamieliną?

– Żartujesz?!

– Ani trochę.

– Ty jednak nie jesteś normalna – roześmiała się Tamara.

– No to mam wreszcie odpowiedź na swoje pytanie. – Marzena uśmiechnęła się i zdusiła niedopałek czubkiem sandałka. Jednak Tamara zauważyła, że ten uśmiech nie był do końca szczery.



– I jak ci tam, dziecko, w tym mieście?

– Gorąco, babciu.

Tamara siedziała z babcią Różą pod gruszą i popijała kompot. W Jagodnie też było upalnie, ale wysokie temperatury dokuczały mniej niż w mieście. Drzewa dawały upragniony cień, wokół nie było rozgrzanego betonu, a od czasu do czasu lekki wietrzyk pozwalał głębiej odetchnąć. Tutaj lato było miłe, a nie dokuczliwe. Tamara korzystała więc z tej odmiany i z zamkniętymi oczami wyciągnęła się na leżaku.

– A nie smutno ci tak samej?

– Nie mam czasu na zastanawianie się. Pracuję, a popołudnia spędzam pod prysznicem, żeby się ochłodzić – zażartowała.

– No to dobrze. Bo tak sobie myślałam, że może ci bez Marysi nudno. Ale jeśli sobie radzisz... Bo to czasami ciężko się przyzwyczaić, że dziecko dorasta i zaczyna mieć swoje sprawy.

Tamara otworzyła oczy i uniosła się lekko.

– Coś mi się wydaje, że babcia próbuje mi coś powiedzieć. I chyba nawet wiem co...

– To dobrze, że wiesz. Zresztą byłam pewna, że się domyślisz.

– Na razie domyślałam się, że przez cały tydzień Marysia tu babcię urabiała. I teraz babcia chce urobić mnie. Od razu mówię, że nic z tego.

– Ani mnie nikt, jak to mówisz, nie urabiał, ani ja nie mam takiego zamiaru. Po prostu rozmawiałam z Marysią. Chodziła dziewczyna jak struta, wzdychała tak, że szklanki drżały, to zapytałam, co jej jest.

– Nic jej nie jest. Po prostu nie dostała tego, co chce i nie potrafi się z tym pogodzić. Jak to nastolatka.

– Jej nie o to chodzi. Bo wiedziała, że się nie zgodzisz.

– No to w czym problem?

– Ano w tym, że nie chciałaś jej wysłuchać.

– Jak to? Tak powiedziała? – oburzyła się Tamara. – To nieprawda!

Staruszka, jak to miała w zwyczaju, pozostała niewzruszona. Spokojnie wachlowała się chusteczką i patrzyła na poruszane wiatrem łany zboża rosnącego pod lasem.

– Marysia tego nie powiedziała. Ona tylko mówiła o waszej rozmowie. I potem jeszcze o tym, że chcieli jechać do ciotki Kamila do Gdańska. I o tym, że nigdy nie widziała pomnika Neptuna i że dzięki darmowym noclegom mogłaby ze swoich oszczędności kupić ci wisiołek z bursztynem, bo zawsze mówiłaś, że takie ci się podobają.

– Nie wspominała, że chcą jechać do jakiejś ciotki.

– A zapytałaś?

– Babciu!

– Słucham cię, dziecko?

– No nie zapytałam – przyznała Tamara. – Myślałam, że chcą sami, gdzieś na pole namiotowe...

– I co jeszcze myślałaś?

– Szkoda gadać. – Kobieta opadła z powrotem na leżak. Było jej głupio. Znowu nie dała szansy własnemu dziecku.

– Wystraszyłam się – powiedziała po chwili, nie patrząc na babcię. – Bo ja się, babciu, bardzo boję o Marysię. To przecież jeszcze dziecko, daleko jej do dorosłości... A tu wyjazd z chłopakiem. No to miałam się ucieszyć?

– Może nie ucieszyć, ale przynajmniej wysłuchać.

– Łatwo babci mówić. Jak sobie przypomniałam o tym, co ją niedawno spotkało i pomyślałam, że kolejny raz mogłoby ją spotkać coś podobnego, to naprawdę byłam bliska paniki. Babcia tego nie rozumie...

– Rozumiem czy nie, to nie jest najważniejsze. – Babcia Róża poprawiła się na fotelu i sięgnęła po dzbanek z kompotem. – Za to powiem ci, że ten chłopak jest bardzo rozsądnym młodzieńcem.

– A skąd to babcia może wiedzieć? Nigdy nie wiadomo, co u takiego nastolatka w głowie siedzi.

– Może i masz rację, ale u tego raczej jest dobrze poukładane.

– Tak? Podziwiam babci wiarę w jego rozsądek, naprawdę. – Tamara nie mogła powstrzymać ironii.

– To nie wiara, dziecko. To wiedza. Czy ty wiesz, że Marysia miała taki pomysł, żeby pojechać do tego Gdańska bez twojego pozwolenia? Na złość. Powiedziała, że skoro i tak uważasz, że jest nieodpowiedzialna, to może taka być. Tylko Kamil się nie zgodził. Nawet była o to na niego zła.

– Chciała uciec z domu? – Tamara była zdruzgotana tym, co usłyszała.

– Można to i tak nazwać.

– A ja jej tak ufałam!

– A ona o tym wie?

Babcia podniosła się powoli z fotela.

– Odpoczywaj, dziecko, a ja pójdę zobaczyć, co Zofia w kuchni robi. Miała uczyć Marysię smażenia racuchów. Ciekawa jestem, jak im idzie.

– Poczekaj chwilkę, babciu. – Tamara poderwała się z leżaka i stanęła naprzeciwko staruszki. – Czy ty uważasz, że ja źle zrobiłam, że się nie zgodziłam na ten wyjazd?

– Zrobiłaś, jak uważałaś. To prawo matki. Ja z tym nie dyskutuję.

– A babcia by się zgodziła?

– Ja bym wysłuchała. A potem zdecydowała.

– Dziękuję, że mi babcia to wszystko powiedziała. Pomyślę nad tym...

– Ale to chyba później – uśmiechnęła się Róża.

– Dlaczego później?

– Bo teraz to zajmiesz się gościem. Dzień dobry, Janku! – Przywitała mężczyznę nadchodzącego od strony domu. – Zwalniam ci fotel, bo dla mnie już za dużo tego słońca. Idę do domu, do chłodu, a wy tu sobie porozmawiajcie.

– Dzień dobry, to ja może pomogę i odprowadzę panią – zadeklarował się gość.

– Taka niedołączna to ja jeszcze nie jestem – uśmiechnęła się gospodyni i wskazała na stolik. – Kompotu się napij. Najlepszy na upały.

I odeszła powoli.

Tamara nie miała ochoty na rozmowę z Janem. Nadal brzmiały jej w głowie słowa babci: „Ja bym wysłuchała. A potem zdecydowała”. Czy naprawdę nie potrafiła wysłuchać własnej córki? Przecież starała się, żeby między nimi było jak najlepiej. I miała w sobie gotowość do rozmów. Jak widać, tylko teoretycznie – stwierdziła. – Nie ma się co oszukiwać, babcia ma rację. O nic nie zapytałam, nie dałam Marysi powiedzieć wszystkiego. Po prostu jej zabroniłam. Ale z drugiej strony, żeby zaraz chcieć uciekać z domu... – złościła się w myślach na córkę. – Też byłam w jej wieku i jakoś nie przychodziły mi do głowy takie pomysły!

Czy naprawdę? Sięgnęła pamięcią do czasów, gdy miała szesnaście lat. Doskonale pamiętała zachowanie własnej matki. Zakazy i brak zgody na cokolwiek, co nie było związane z nauką. I jedną odpowiedź na jej pytanie: „Dlaczego?”. Ta odpowiedź brzmiała krótko: „Bo nie”. Na samo wspomnienie tamtych chwil wracała ogromna złość, rozczarowanie, bunt. I chęć ucieczki. Co prawda nigdy nie odważyła się na taki krok, ale z ulgą przyjęła wyjazd na studia i możliwość decydowania o sobie. Czy tak teraz czuła się Marysia?

Jednak wspominając zdarzenia sprzed ponad dwudziestu lat, inaczej teraz oceniała postępowanie matki. Rozumiała, z czego wynikały jej decyzje, bo sama znalazła się w tej roli. Ogromna obawa o dziecko sprawiała, że z trudem przychodziło jej nawet myślenie o tym, co mogłoby przytrafić się córce. Gdyby stało się coś złego, nigdy nie wybaczyłaby sobie, że temu nie zapobiegła. Albo że nie wykazała dość rozsądku, żeby do tego nie dopuścić. Przecież była matką, była odpowiedzialna za swoje dziecko.

„Ciężko się przyzwyczaić, że dziecko dorasta i zaczyna mieć swoje sprawy” – zadzwięczało jej w głowie. Westchnęła. No lekko nie jest – pomyślała.

– Wydaje mi się, że coś cię dręczy. – Głos Jana wyrwał ją z zamyślenia.

– Rzeczywiście – przyznała, bo nie było sensu zaprzeczać.

– Może mógłbym jakoś pomóc?

– Dziękuję, ale raczej nie. I przepraszam, bo chyba nie spisuję się dziś zbyt dobrze jako gospodyni – uśmiechnęła się do gościa przepraszająco.

– Ależ to żaden problem. W taki słoneczny dzień miło posiedzieć w towarzystwie pięknej kobiety, nawet w milczeniu. Czy napijesz się... tego... – starał się przypomnieć sobie nowe słowo.

– Kompotu – podpowiedziała Tamara. – Bardzo chętnie, poproszę.

Jak też towarzystwo takiego grzecznego człowieka wpływa na innych – pomyślała. – Normalnie powiedziałabym zwyczajnie: „Nalej”. A tu: „Bardzo proszę, chętnie”. Nic dziwnego, że Marzena była nieco zdezorientowana. Uśmiechnęła się na wspomnienie relacji koleżanki.

– Czyżby jakaś lepsza myśl przyszła ci do głowy? – zapytał mężczyzna, zauważywszy uśmiech.

– Rzeczywiście, przypomniało mi się coś zabawnego – potwierdziła.

– Cokolwiek to było, najbardziej ważne, że poprawiło ci humor.

– Najbardziej ważne jest teraz to, że nas odwiedziłeś – powieliła błąd gościa Tamara. – Byłeś

u ciotek?

– Owszem, poszedłem z wizytą, zanim przyjechałem tutaj.

– I co u nich słyszeć? Poznaliście się lepiej?

– Ciocie są bardzo eleganckie, ale niezbyt wylewne. Mnie to nie przeszkadza, nie chcę mówić, że to źle, ale...

– Janku, rozumiem, nie musisz się tłumaczyć. Słyszałyśmy już, jakie są hrabianki. Właściwie tylko Marysia nawiązała z nimi bliższy kontakt. Sama nie wiem, jak jej się to udało...

– Twoja córka to bardzo mądra młoda osoba. Widać, że ciocie bardzo ją polubiły. Nawet ciocia Zuzanna nie stuka laską, kiedy ją widzi.

– Jak to możliwe, że wszyscy uważają moją córkę za mądrą i rozsądną, a ja jakoś tego nie zauważam?

Jan spojrzał uważnie na swoją rozmówczynię, nieco zaskoczony agresywnymi nutkami w jej głosie.

– Ja się nie znam na dzieciach.

– Ale widzisz, że Marysia jest rozsądna. A ja, jej matka, jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Wiesz, moja mama też ciągle się o mnie martwi. I mówi, że dla niej zawsze będę małym synkiem. Mnie to złości, tłumaczę, że mam już więcej niż czterdzieści lat, a ona na to, że nic się na to nie da poradzić. Może ty myślisz tak samo jak moja mama?

– Może... – westchnęła Tamara. I poczuła, że coś w tym jest. I że musi się nad tym wszystkim jeszcze zastanowić. Na razie jednak miała mętlik w głowie. Może wieczorem, gdy się ochłodzi i będzie spokojniej...

– Co powiesz na spacer? – Jan najwyraźniej nie zapomniał o zasadach dobrego wychowania i postanowił zabawić ją rozmową. – Może nad zalew?

– O tej porze? W sobotę? Przy tak pięknej pogodzie? – roześmiała się Tamara. – Czy ty wiesz, co tam się teraz dzieje? Gwar większy niż na targu, a tłum taki, że nie ma gdzie stopy postawić. Nawet kaczkę chowają się w zaroślach i nie wychodzą do wieczora.

– To chyba rzeczywiście niezbyt mądrze wymyśliłem – zgodził się Jan. – To co proponujesz?

– Proponuję zajrzeć do domu i sprawdzić co z racuchami.

– Z czym?

– Z racuchami. To takie drożdżowe placuszki. Pycha! Zresztą sam się przekonasz. Na pewno będą ci smakowały.

– Ale nie byłem zaproszony na obiad. To nie wypada.

– Janku, proszę cię, nie przesadzaj. Tu nie Wersal. U nas zaproszeń nie trzeba. Przychodzisz i jesz. Zawsze się znajdzie porcja dla gościa. A jak ci tak bardzo głupio, to przy obiedzie opowiesz babci Róży o swojej londyńskiej rodzinie. Wspominała, że chciałyby coś więcej wiedzieć. Wiesz, pewnie jest ciekawa sekretów z życia wyższych sfer – mrugnęła okiem do Jana.

– Chętnie opowiem, chociaż nie wiem, co w tym może być ciekawego.

– Ja też nie – znowu mrugnęła. – Ale jak babcia chce, to się nie odmawia. Weź, proszę, dzbanek, a ja zabiorę szklanki.

Zebrali naczynia i ruszyli w stronę domu.

– Tamaro, czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Tylko nie wiem, czy to nie będzie zbyt... czy mogę o takie rzeczy pytać...

O co też on chce zapytać? – zdziwiła się Tamara.

– Po prostu zapytaj. Jeżeli nie zechcę, to najwyżej nie odpowiem – zdecydowała.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, czy ja jestem naprawdę taki... sztywny?

Kobieta zatrzymała się i popatrzyła Janowi w oczy. Zobaczyła w nich niepewność i obawę.

– Jak by ci to powiedzieć... U nas ludzie zachowują się trochę inaczej, mniejszą wagę przywiązują do konwenansów i formalnych zasad. Są bardziej spontaniczni. Ale żeby zaraz sztywny? Tak bym tego nie nazwała.

– To dobrze. – Jan przyjął odpowiedź z wyraźną ulgą. – Myślisz, że kiedyś będę potrafił tak, jak wy?

– Jestem pewna.

I rzeczywiście była. A jeszcze większą pewnością zyskała, kiedy jakiś czas później obserwowała Jana jedzącego racuchy bez użycia sztuczków i z zapalem opowiadającego babci Róży anegdoty z życia jego rodziny. A kiedy po raz pierwszy usłyszała jego głośny śmiech, stwierdziła, że Marzena nie miała racji – ten mężczyzna nie jest żadną skamieliną. Kilka razy w ciągu popołudnia wymienili spojrzenia i Tamara widziała w oczach mężczyzny zadowolenie i radość.



– Coś ten nasz Janek często na Tamarę spogląda – powiedziała Zofia, siadając do kolacji.

– Co pani opowiada! – obruszyła się Tamara. – Nic takiego nie zauważyłam.

– A ja zauważyłam – upierała się przy swoim staruszka. – I tak się zasiedziało, że już go miałam kolacją częstować.

– Naprawdę chyba pani przesadza. Wpadł, bo mu po drodze od hrabianek było, rozmawialiśmy trochę w sadzie, to wszystko.

– Tak, bardzo mu było po drodze – zachichotała Zofia. – Przez Kaniów miałby prosto, a przez Borową w drugą stronę. Ale po drodze. Widać wszystko zależy od tego, jaka komu droga miła.

– Teraz to już sobie pani ze mnie żarty stroi. – Tamara udała, że się obraża. – Nie uważasz, Marysiu, że pani Zofia przesadza? – po raz pierwszy od przyjazdu zwróciła się do córki z nadzieją, że wciągnie ją do rozmowy.

Ta jednak tylko wzruszyła ramionami. Cały dzień spędziła z Kamilem u hrabianek, gdzie kończyli porządkowanie ogrodu. Wróciła dopiero na kolację, już po odjeździe Jana.

– Babciu, może ty mnie obronisz?

– A trzeba ci obrony? – Róża nałożyła sobie na talerzyk kilka plasterków pomidora. – Ktoś cię atakuje? Bo ja oprócz drobnego żartu jakoś nic innego nie widzę – uśmiechnęła się do kobiety.

– No to chyba babcia się zaraziła od naszego gościa słynnym angielskim poczuciem humoru – odcięła się Tamara.

– Nie ma co się tak denerwować – wtrąciła Zofia znad kanapki z wędliną. – Czy to źle, że się taki mężczyzna Tamarą zainteresował? Poważny, a i urody mu nie brakuje. Przecież to żadna ujma dla Tamary.

– Pewnie, że żadna, ale problem w tym, że to nieprawda – skwitowała Tamara. Ale zastanowiło ją to, co mówiła Zofia. Czy rzeczywiście Jan patrzył na nią w jakiś specjalny sposób? Czy okazywał zainteresowanie? Naprawdę tego nie zauważyła, ale i przecież nie zwracała szczególnej uwagi. Jakoś w ogóle nie patrzyła na Jana w kategorii mężczyzny, z którym mogłoby ją coś łączyć. Może dlatego, że cały czas pamiętała o jego spotkaniu z Marzeną? Połączyła ich w podświadomości i nawet do głowy jej nie przyszło, że mogłoby być inaczej.

- Dziękuję za pyszną kolację – powiedziała. – Marysiu, czy posprzątasz dziś sama? Bo ja chyba muszę się przejść.
- Córka pokiwała głową. Czy kiedyś w ogóle się do mnie odezwie? – przyszło Tamarze do głowy i poczuła, że naprawdę ma wiele do przemyślenia.
- Wrócę niedługo – oznajmiła.
- Coś nie tak powiedziałam? – Zofia, widząc nagłe wyjście Tamary, poczuła się winna.
- Nie, Zofio, nie przejmuj się – uspokoiła ją Róża. – Po prostu czasami w głowie kłębią się myśli i powstaje mętlik. Trzeba spokoju, żeby wszystko się ułożyło i chwili na wyciągnięcie wniosków.
- Jak z tym ciastem na racuchy dzisiaj – stwierdziła Marysia, zbierając talerzyki ze stołu. – Najpierw zacznij, potem musi spokojnie wyrosnąć i dopiero można zagnieść ciasto.
- Mądre dziecko z ciebie – klasnęła w dłonie Zofia.
- Nie jestem żadne dziecko – oburzyła się dziewczyna.
- Jakże nie – uśmiechnęła się Zofia. – Dziecko jeszcze. Ale mądre.
- Babciu, powiedz coś!
- Powiem, że mi się to racuchowe porównanie podoba. I że mądre z ciebie dziecko.
- Naprawdę jesteście dzisiaj wyjątkowo złośliwe. – Marysia udała obrażoną.
- Wygląda na to, że się starzejemy. Prawda, Zofio? – zapytała Róża. – Jeszcze chwila i staniemy się konkurencją dla hrabianek.
- Hrabianki nie mają konkurencji – stwierdziła z przekonaniem Marysia. – Są nie do podrobienia.
- Róża nic nie powiedziała. Pogrzeżyła się w myślach i zapatrzyła gdzieś w dal.



Tamara szła wzdłuż tamy zalewu i patrzyła na nieregularną linię brzegu. Jak w mojej głowie – myślała. – Żadnego porządku, wszystko robi, co chce i zapanować nad tym się nie da. I nawet jeżeli ma to jakiś urok, to czasami trudno się przedrzeć przez ten gąszcz. Ale z drugiej strony, gdybym miała do wyboru ten brzeg i tamten drugi – równy, z chodnikiem z kostki brukowej, to jednak wybrałabym pierwszy. Przynajmniej nie jest nudny. Zawsze to jakaś pociecha.

Doszła do miniamfiteatru i usiadła na jednej z ławeczek. Miała dużo do przemyślenia. Chciała spokojnie zastanowić się nad tym, jak porozmawiać z Marysią. Bo że musi to zrobić, była pewna. I to uznała za priorytet. Wyrzucała sobie, że poddała się emocjom, że nie dała Marysi szansy na przedstawienie wszystkich argumentów. I nawet jeżeli matczyne obawy mogły być jakimś usprawiedliwieniem, to przecież w całej sprawie nie chodzi o to, żeby pozbyć się poczucia winy, ale o to, aby mieć dobre relacje z córką. To najważniejsze i musi zrobić wszystko, by tak się stało.

Druga sprawa, może mniej ważna, ale za to intrygująca, to sugestie Zofii dotyczące Jana. Czuła, że powinna rzecz rozważyć. Na to jednak był czas. Czyli najpierw Marysia – zdecydowała i dla podkreślenia nieodwołalności decyzji kopnęła leżącą tuż obok jej nogi sosnową szyszkę.

– Nie wiem, czy zakwalifikować to jako próbę kłusownictwa, czy atak na funkcjonariusza państwowego – najpierw usłyszała głos, a potem zza krzaków wyszedł Szymon.

Jeszcze tego tylko brakowało! – pomyślała ze złością Tamara. Nie zamierzała rozmawiać z tym człowiekiem, więc po prostu go zignorowała.

Mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał zrezygnować. Podszedł i usiadł obok Tamary.

– Widzę, że nie masz nastroju do żartów – stwierdził.

Jak on śmie w ogóle się do mnie odzywać? Czy sądzi, że po tym, co się stało wtedy w lesie, będę z nim normalnie rozmawiać i udawać, że jesteśmy dobrymi znajomymi? Powinien się cieszyć, że nie spotkaliśmy się w sądzie. Bezczelny typ! – Kobieta aż zacisnęła pięści ze złości.

– Cieszę się, że cię widzę. Zaglądałem do pani Róży, ale jakoś nie miałem szczęścia na ciebie trafić.

Ja za to miałam szczęście, że nie trafiłeś – pomyślała. Nie chciała dłużej przebywać w jego towarzystwie. Zwłaszcza że zapadał zmrok, nikogo nie było w pobliżu, a ostatnie sam na sam z Szymonem pozostawiło bardzo niemiłe wrażenia. Gdyby wtedy nie było w pobliżu Łukasza... – Na samo wspomnienie poczuła lęk. Teraz nie mogła liczyć nawet na nielubianego faworyta babci Róży. Nie ma na co czekać – stwierdziła i wstała z ławeczki. Ruszyła w górę, w kierunku oświetlonej latarniami drogi. Usłyszała, że leśniczy wstaje i idzie za nią. Przyspieszyła, a strach stawał się coraz większy.

– Tamara, nie uciekaj! – usłyszała. – Zatrzymaj się!

– Ani myślę!

– Tamara! – Mężczyzna chwycił ją za rękę. Wyrwała się i przyspieszyła kroku. Już prawie biegła. Na drodze wcale nie poczuła się bezpieczniej. Chciała jak najszybciej znaleźć się we wsi, ale od pierwszych domów dzielił ją jeszcze spory kawałek drogi.

– Chciałem cię przeprosić. Wiesz, za tamto. Nie zapanowałem nad sobą, ale ty tak na mnie działasz, że nie mogłem się powstrzymać. Chyba to rozumiesz? – Bez trudu za nią nadązał, wiedziała, że na ucieczkę nie ma szans. Postanowiła więc stawić czoła niebezpieczeństwu.

– Nie rozumiem. I nigdy nie zrozumiem. – Zatrzymała się i spojrzała mężczyźnie w oczy. – I nie chcę twoich przeprosin. Co więcej, nie chcę cię też nigdy więcej widzieć. Odczep się i daj mi spokój! – Czują, że drży ze zdenerwowania i lęku.

Szymonowi najwyraźniej nie spodobało się to, co powiedziała. Przestał się uśmiechać i patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

– Dobrze się zastanów nad tym, co mówisz – powiedział. – Bo ja drugi raz nie będę się upokarzał... – Po raz kolejny chwycił ją za nadgarstek i zacisnął dłoń tak mocno, że poczuła ból. Dlatego z ogromną ulgą przyjęła dźwięk samochodowego silnika. Ktoś nadjeżdżał od strony Kaniowa.

Szarpnęła rękę i wyrwała się z żelaznego uchwytu leśniczego.

– Zastanowiłam się bardzo dobrze. Nie chcę cię widzieć. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze!

Zrobiła krok w stronę środka drogi, żeby nadjeżdżający samochód musiał przynajmniej zwolnić. Widziała, że Szymon jest wściekły i czuła, że jeśli kierowca jej nie uratuje, to sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna.

Ten człowiek jest szalony! – pomyślała.

– Dobry wieczór, pani Tamaro! – usłyszała i tuż obok niej zatrzymało się duże, czarne auto. – To ja, Małgorzata Kamińska. Widzę, że mam szczęście, bo właśnie do pani jadę. Zapraszam, podwiozę panią!

Już dawno Tamara nie ucieszyła się tak bardzo na widok kogoś znajomego.

– Oczywiście, z przyjemnością skorzystam.

Kiedy zatrzasnęła drzwiczki i samochód ruszył, nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi.

– Czy się pomyłę, jeśli powiem, że nie miała pani ochoty na rozmowę z tym mężczyzną? – zapytała żona wójta, skręcając w stronę Borowej.

– Nic a nic się pani nie pomyli. A że nie miałam ochoty, to bardzo delikatnie powiedziane.

– Tak to właśnie z daleka wyglądało. Nie wiedziałam na początku, kto stoi na drodze, ale miałam

wrażenie, że nic dobrego się nie dzieje. Czy to był ten leśniczy? Dobrze poznałam?

– Tak, to on. Zna go pani?

– Nie osobiście – pokręciła głową. – Ale słyszałam o nim różne opowieści... – urwała w pół zdania i Tamara zrozumiała, że nie były to dobre historie, a wójtowa nie bardzo chce o nich mówić.

– Czy naprawdę jechała pani do mnie? – zmieniła temat.

– Naprawdę. Chociaż sama nie wiem dlaczego... – Małgorzata nerwowo odgarnęła grzywkę.

– A czy od razu musi być jakiś powód? Odwiedzić znajomą można ot tak, po prostu. Może to było jakieś przecucie? Uratowała mnie pani z nieprzyjemnej sytuacji, więc jestem pani dłużniczką. A to oznacza co najmniej kawę i ciasto.

Podjechały pod domek babci Róży.

– Tylko... – zawahała się żona wójta – czy to nie zbyt późna pora na wizyty? Nie będę przeszkadzała?

– W tym domu goście nigdy nie przeszkadzają. Sama po raz pierwszy przyjechałam tu bez zapowiedzi, więc wiem, o czym mówię.

Otworzyła drzwi białego domku i krzyknęła w stronę kuchni:

– Mamy gościa! Można wstawiać wodę na herbatę!



Małgorzata podeszła do samochodu i położyła dłoń na klamce. Wiedzona nagłym impulsem cofnęła jednak rękę i odwróciła się w stronę Tamary, która odprowadziła gościa i stała teraz przy furtce.

– Dawno nie spędziłam tak miło wieczoru – powiedziała żona wójta. – Prawdę mówiąc, to nie spodziewałam się, że można tak... – Nie umiała znaleźć słowa.

– Normalnie? – podpowiedziała Tamara i widząc, że rozmówczyni potakuje, dodała:

– Wcale mnie to nie dziwi. Ja też kiedyś nie wiedziałam. I nie mogłam w to uwierzyć. Trochę to trwało, zanim zaufałam i przestałam wietrzyć podstęp. Potem potrzebowałam jeszcze chwili, żeby się oswoić, ale babcia Róża jest cierpliwa i daje każdemu tyle czasu, ile mu potrzeba – roześmiała się.

– Coś mi się wydaje, że mój przypadek jest szczególnie – wzruszyła ramionami Małgorzata. – Będę szczerą: ja się niełatwo oswajam.

– Szczerść za szczerść – odpowiedziała Tamara. – To widać. Ale uprzedzam, że ja nie znam osoby, która oparłaby się magii białego domku.

– Cóż, sama nie wiem... – Wójtowa zawahała się i spojrzała na Tamarę tak, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w ułamku sekundy zmieniła zdanie, wyprostowała się i dodała swoim oficjalnym tonem:

– W każdym razie jeszcze raz dziękuję za gościnę i poczęstunek.

– Zapraszam ponownie. Będę też w kolejny weekend.

Małgorzata nie odpowiedziała. Trzasnęły drzwiczki samochodu i po chwili jedynym wspomnieniem po gościu były oddalające się światła.

Tamara stała, wpatrując się w ciemną linię drzew widoczną na horyzoncie. Sierpniowe niebo usiane było gwiazdami, co zwiastowało kolejny słoneczny dzień. Tak mówiła babcia Róża i nigdy się nie pomyliła.

Ileż ich jest! – zachwyciła się kobieta. – Nie sposób policzyć. W mieście nie zwraca się uwagi na takie rzeczy. Zamiast prawdziwych gwiazd i pni drzew, mamy uliczne latarnie i ich sztuczne światło. Co

prawda jest zawsze, bez względu na pogodę, przewidywalne, stałe i spełniające swoją funkcję, ale czy w ogóle można to porównać do naturalnie rozgwieżdżonego nieba świecącego własnym, może słabszym, ale ciepłym blaskiem?

Pomyślała o Małgorzacie. Ona właśnie taka była. Taka jak te latarnie. Spełniała swoją funkcję. Bez zarzutu i perfekcyjnie, ale jej blask był zimny i sztuczny. Siedziała przy kuchennym stole w białym domku, uśmiechała się, rozmawiała, a jednak gdyby kazać dziecku zabawić się w grę „Co nie pasuje do obrazka”, na pewno bez wahania wskazałoby na nią. Niby niczego nie można było jej zarzucić – zadbana, elegancko wyprostowana, z delikatnym makijażem i ubrana odpowiednio do okoliczności – lekki sweterek, sportowe rybaczkę, a jednak oficjalna, kontrolująca każde słowo. Tamarze wydawało się, że poświęca wiele energii na obserwowanie towarzyszących jej osób i nawet wyraz twarzy stara się dostosować do nastroju innych. Wszystko idealnie – pomyślała – ale jest w tym jakaś nienaturalność. Dlaczego w ogóle przyjechała? Z ciekawości? A może powiedziała mężowi o naszym spotkaniu i ten wysłał ją w jakimś tylko sobie znanym celu? Nie, tę hipotezę Tamara odrzuciła. Nie sądziła, żeby Małgorzata zwierzyła się wójtowi z nocnej wyprawy nad zalew. Sama przecież mówiła, że nie byłby z tego zadowolony. W takim razie jaki był cel jej wizyty?

Żona wójta intrygowała Tamarę. Czuła, że ta kobieta ma jakąś tajemnicę, coś, co ją dręczy i z czym nie może sobie poradzić. Intuicja podpowiadała, że ma to związek z mężem kobiety i właśnie lojalność wobec niego powstrzymuje Małgorzatę przed otwartością.

Nie uda ci się, moja droga – uśmiechnęła się Tamara. – Kto raz znalazł się u babci Róży, ten prędzej czy później wróci. I powie wszystko, co mu leży na sercu. To tylko kwestia czasu.

Popatrzyła jeszcze przez chwilę w niebo. Ciekawe, która z tych gwiazd jest tą moją, tą szczęśliwą? – pomyślała. – I czy jest tam, gdzieś, druga do pary?



Marzena szła ulicą Sienkiewicza. Bez strachu mijała grupki mężczyzn stojących przed klubami i pubami. Wiedziała, że samotna kobieta wzbudza ich zainteresowanie, a wypity alkohol dodaje im odwagi, jednak jasno oświetlony deptak i miejski monitoring dawały poczucie bezpieczeństwa.

Jak zawsze w sobotę spotkała się z koleżankami, ale dziś jakoś nie miała nastroju do zabawy. Sama nie wiedziała dlaczego. Starła się, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie tej szaleńczej energii, z której była znana. Tego wieczoru denerwował ją gwar rozmów i głośna muzyka. Nawet ulubione drinki nie smakowały. Wreszcie, zmęczona i znużona, pożegnała towarzystwo i wyszła jeszcze przed północą.

– Nie ma problemu, dam sobie radę – uspokoiła dziewczyny. – Po prostu mam ochotę się przejść.

Szła więc. Niby do domu, ale i tam jej nie ciągnęło. Bo niby co? Puste pokoje? Zimna kawa w dzbanku ekspresu? Jutrzejsza pobudka w zbyt szerokim jak dla jednej osoby łóżku i samotne śniadanie? Westchnęła głośno.

– Coś ty taka smutna, kobieto? – usłyszała męski głos tuż obok. – Noc taka piękna, nie ma sensu się martwić. Lepiej się zabawić, co?

Zmierzyła nieznajomego spojrzeniem i poczuła, że robi jej się niedobrze. Przecież wypiałam tylko dwa drinki – pomyślała zdziwiona.

– No to co? Dasz się zaprosić na jakieś szaleństwo sobotniej nocy? – Mężczyzna najwyraźniej uznał, że

brak protestu można uznać za przyzwolenie do zawarcia bliższej znajomości.

Marzena przełknęła ślinę i opanowała skurcz żołądka.

– Spadaj, ale już! – powiedziała stanowczo. – Bo zadzwonię po policję.

– Dobra, dobra, po co te nerwy! Jaka księżniczka, myślałby kto! – oburzył się nieznajomy, ale posłusznie odszedł w drugą stronę.

Kobieta wyjęła z torebki telefon i wybrała numer.

– Poproszę taksówkę na róg Sienkiewicza i Paderewskiego – powiedziała.

Czekała na samochód, wpatrując się w uliczną latarnię. I nagle przyszło jej do głowy, że chętnie zjadłaby kolację w spokojnej restauracji, a potem pospacerowała po parku i porozmawiała z kimś, kto nie myśli tylko o szaleństwach sobotniej nocy. Szybko jednak zepchnęła ten pomysł na samo dno umysłu.



– Już jesteś? Mówiłeś, że wrócisz późno. – Małgorzata nie potrafiła ukryć zaskoczenia, widząc męża siedzącego w fotelu przed telewizorem.

– Tak mówiłem, ale wróciłem wcześniej. Nie jesteś zadowolona?

– Ależ jestem, nawet bardzo. – Kobieta doskonale знаła męża i wiedziała, że ten ton nie wróżył niczego dobrego. – Zaraz przygotuję coś do zjedzenia.

– To dobrze. Bo już myślałem, że nie mam co liczyć na kolację we własnym domu.

– Co ty opowiadasz! Jesteś niesprawiedliwy. – Postanowiła zastosować sposób, który zawsze działał. Przysiadła na oparciu fotela, wsunęła dłoń pomiędzy guziki mężowskiej koszuli i starała się nadać głosowi lekko uwodzicielski ton. – Przecież wiesz, że czekam na ciebie i tęsknię...

Kacper Kamiński oderwał wzrok od ekranu i popatrzył żonie prosto w oczy.

– Doprawdy? To bardzo ciekawe...

Małgorzata zrozumiała, że mąż jest w złym humorze. Do tego ten wcześniejszy powrót...

– Masz jakiś kłopot? Coś poszło nie tak? – zapytała z troską.

– Daj spokój, przecież nie będę ci tłumaczył. I tak nie wiesz, o co chodzi – zbył ją mężczyzna. – Zresztą to sprawy nie na twoją głowę. Zamiast takich pytań naprawdę wolałbym kolację.

– Oczywiście. – Małgorzata wiedziała, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Właściwie nie spodziewała się niczego innego. Mąż nie wtajemniczał ją w szczegóły swoich spraw, mówił tyle, ile chciał i kiedy chciał. A jeżeli nie miał na to ochoty, nie było sensu nalegać. Już nie raz słyszała, że do niczego jej ta wiedza niepotrzebna i powinna się cieszyć, że dobrze jej się żyje.

Niby przyznawała mu rację, bo przecież nie znała się na wodociągach, kanalizacji, budowie dróg i interesach, ale z drugiej strony chciała być dla Kacpra nie tylko kucharką i osobą, która towarzyszy mu w oficjalnych sytuacjach, ale też przyjaciółką i partnerką do rozmowy. Może nie umiałaby mu fachowo poradzić, ale mogłaby wesprzeć dobrym słowem. On jednak tego nie chciał i chyba nie potrzebował. Sam powiedział – wolał kolację.

Szybko przygotowała sałatkę, pokroiła wędlinę i ser, włożyła świeży chleb do wiklinowego koszyczka wyłożonego białą serwetką i nakryła do stołu. Zapaliła nawet świece, bo wiedziała, że Kacper to lubi.

Jedli w milczeniu. Małgorzata obserwowała męża i zastanawiała się, jak spędzą resztę wieczoru.

– Może obejrzymy jakiś film? – zaproponowała z nadzieją. – Albo po prostu poleżymy w łóżku

i poczytamy? Tak rzadko trafia nam się wolny wieczór...

– A kto ci powiedział, że mamy wolny wieczór? Zaraz wychodzę.

– Dokąd? Naprawdę musisz? – Nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– Moja droga, gdybym nie musiał, to pewnie bym nie szedł, prawda? A tak w ogóle, to czy ja się ciebie pytam, gdzie ty byłaś dziś wieczorem?

– Kacper, no co ty! – Małgorzata była zaskoczona wypowiedzią męża. Chciała się wytłumaczyć, ale poczuła, że nie byłby zadowolony, gdyby dowiedział się prawdy. W panice próbowała wymyślić jakieś drobne kłamstwo. Na szczęście Kacper wcale nie czekał na wyjaśnienia. Odłożył serwetkę, którą otarł usta, machnął ręką i wstał.

– Małgosiu, przecież możesz robić, co chcesz. Czy ja ci czegoś zabraniam? Wiesz, że mam do ciebie zaufanie. To podstawa dobrego związku, prawda? I oczywiście nie mam żadnych tajemnic. Jadę do Marka, musimy omówić kilka spraw przed poniedziałkową sesją rady. Nie czekaj na mnie, bo pewnie zejdzie do późna. Może sama obejrzyj ten film i jutro przy śniadaniu mi opowiesz? – Podszedł do siedzącej żony i pocałował ją w czubek głowy. – Dobranoc, moja droga. Wiesz, że chętnie zostałbym z tobą, ale rozumiesz, obowiązki... Odpocznij chociaż ty, bo pamiętasz, że jutro mamy wpaść na festyn nad zalewem w Umrze? Powinnaś pięknie wyglądać.

Małgorzata pokiwała głową. Pamiętała o festynie i o tym, że ma pięknie wyglądać. Nie pamiętała tylko, kiedy spędziła chociaż kilka godzin sam na sam z własnym mężem. Słyszała, jak wyszedł i gdy odgłos samochodowego silnika ucichł, poszła prosto do sypialni. Posprzątam później – pomyślała.

Wysunęła najniższą szufladę komody i z samego jej końca wyciągnęła puszysty szalik w intensywnie czerwonym kolorze. Przysiadła na brzegu łóżka i wpatrywała się w trzymany materiał. Znalazła go wczesną wiosną pod siedzeniem samochodu Kacpra. Nie był jej, choć z całą pewnością należał do kobiety. Pachniał jakimiś mocno kwiatowymi perfumami, których zapach nadal można było wyczuć. Szukała później tego zapachu na ubraniach męża, ale nigdy nie była pewna. Zresztą Kacper bywał w tylu różnych miejscach...

Nie odważyła się zapytać wprost. Bała się odpowiedzi, nie chciała jej znać. Nie wiedziała, co zrobiłaby, gdyby usłyszała tę najgorszą. A może to jednak przypadek? – Po raz kolejny zadała sobie to samo pytanie. – Może się mylę? Nie powinnam go oskarżać, to w końcu żaden dowód. A skoro nie mam pewności, to nie powinnam wątpić. Przecież o mnie dba, stara się, ciężko pracuje, żeby dobrze nam się żyło... Nie mam powodu, żeby mu nie ufać. Żadnego. Oprócz tego czerwonego szalika.

Gwałtownie wstała i wepchnęła znalezione tam, skąd je wyciągnęła. A potem położyła się i leżała, patrząc na kawałek rozgwieżdżonego nieba widoczny w dachowym oknie.



– Przepraszam, panno Julio, ale chciałam o coś zapytać. – Marysia weszła do dworkowego salonu i stanęła zaraz przy drzwiach.

Staruszka zakręciła kołami wózka i odwróciła się od okna w kierunku dziewczyny.

– Chodź bliżej, Marysiu, usiądź – wskazała na fotel. – Chyba mamy dzisiaj kolejny dzień pięknej pogody.

– Ja właśnie w tej sprawie. Tylko nie wiem, czy...

– Powiedz po prostu, o co chodzi – uśmiechnęła się Julia, widząc zakłopotaną minę nastolatki.

– Pomyślałam, że może chciałaby pani posiedzieć na zewnątrz. Bo tak ciągle w tych murach, to chyba musi być nudno i w ogóle... – zamilkła, bo poczuła, że zaczyna mówić niezbyt składnie.

– Proponujesz mi spacer? To dobry pomysł, tylko chyba trudny do wykonania. Tym pojazdem – poklepała oparcie wózka – niełatwo jechać po lesie. Obawiam się, że nie dasz rady, dziecino. Ale dziękuję za dobre chęci.

– Panno Julio, pomyślałam o tym. Jest ktoś, kto sobie da radę. No i nie musimy jechać daleko. Jeżeli tylko pani się zgodzi...

– Czy ten ktoś to ten młody człowiek, który od wiosny dzielnie macha w ogrodzie łopata i nosi różne ciężkie rzeczy, żeby zdobyć względy pewnej młodej damy?

– Panno Julio... – Marysia zaczerwieniła się.

– Rozumiem, że zgadłam. Zuzanna mówiła, że dobrze sobie radzi, a jej opiniom można zaufać. Nieczęsto mówi o kimś dobrze, ale jeśli to robi, to z pewnością musi być prawdą. – Popatrzyła porozumiewawczo na dziewczynę. – Dobrze więc, spróbujmy. Zawołaj tego młodzieńca. Domyślam się, że czeka za drzwiami.

Marysia bardzo się ucieszyła, słysząc zgodę panny Julii. Planowali to z Kamilem od kilku tygodni. Chcieli doprowadzić do porządku „rózańą ścianę”. Tak nazwali tylną część dworku, gdzie rosły odkryte przez nich wiosną krzewy róż. Wspólnie czytali porady dotyczące pielęgnacji tych kwiatów zamieszczane na różnych portalach internetowych, ale prawdziwą skarbnicą wiedzy w tym zakresie okazał się wujek Kamila. Wielbiciel róż i zapalony działkowiec służył im radą. Na podstawie zdjęć bezbłędnie rozpoznał wszystkie gatunki, a podczas telefonicznych konsultacji cierpliwie tłumaczył, co i gdzie uciąć, jak przywiązać i czym podlewać. Efekt okazał się zaskakująco dobry. Róże zakwitły obficie i pachniały wprost zniewalająco.

Kamil uporządkował teren przy ścianie, ułożył z kamieni z resztek muru spory okrąg. Zuzanna zaglądała od czasu do czasu na tyły dworku i chociaż nic nie mówiła, to młodzi czuli, że akceptuje ich działania. Wreszcie nadszedł czas, żeby wtajemniczyć ją w szczegóły planu. Tym razem Kamil uparł się, że on załatwi to z mrukliwą staruszką. Marysia powątpiewała w sukces tej misji, ale ku jej zaskoczeniu chłopak wrócił zadowolony.

– Chodź, pomożesz mi przynieść kilka rzeczy.

Okazało się, że panna Zuzanna otworzyła jeden z dworkowych pokoi i pokazała im prawdziwy skarb – żeliwny komplet ogrodowy składający się ze stolika i czterech krzesel. Wszystko co prawda mocno nadgryzione zębem czasu, ale naprawdę piękne.

– Co ty jej powiedziałaś? – zastanawiała się Marysia, ale chłopak tylko uśmiechał się tajemniczo.

Spędził kilka dni na czyszczeniu i malowaniu. Nie było to łatwe zadanie, ale trud się opłacił, bo pomalowane na biało meble na tle kwitnących różanych krzewów wyglądały po prostu pięknie.

– Jak w bajce – zachwyciła się Marysia, a panna Zuzanna nawet z akceptacją pokiwała głową.

A dziś Kamil przywiózł pożyczony od rodziców ogrodowy namiot. Ich dzieło zostało ukończone i bardzo chcieli pokazać go pannie Julii. Obawiali się tylko, czy staruszka zgodzi się na opuszczenie dworku. Teraz, kiedy ostatnia przeszkoda została pokonana, mogli już cieszyć się ze swojego sukcesu. Z niecierpliwością oczekiwali jeszcze reakcji tej, dla której to wszystko przygotowali.

Kamil ostrożnie prowadził wózek po pełnym szyszek i wystających korzeni poszyciu.

– Dokąd jedziemy? – zapytała panna Julia, widząc, że nie kierują się na żadną leśną ścieżkę.

– To niespodzianka. – Marysia z trudem panowała nad głosem. Była bardzo podekscytowana,

a jednocześnie niepewna. – Panno Julio, czy może pani zamknąć oczy? Bardzo proszę.

– Ale dlaczego? O co chodzi? – dopytywała staruszka.

– Nie psuj dzieciom zabawy – wtrąciła nieoczekiwanie panna Zuzanna, która do tej pory w milczeniu kroczyła tuż przy wózku siostry. – Musisz zawsze wszystko wiedzieć?

Julia spojrzała na nią zaskoczona, ale nic nie powiedziała. Przymknęła powieki i zacisnęła pomarszczone dłonie na oparciach wózka.

Kamil ustawił wózek pod płóciennym dachem, tuż przy białym stoliku, na wprost kwitnących róż. Sam stanął kilka kroków dalej, przy Marysi. Dziewczyna odnalazła jego dłoń i ścisnęła ją mocno.

– Teraz patrz, jak taka jesteś ciekawa – burknęła panna Zuzanna.

Jednak Julia nie podniosła powiek. Siedziała z zamkniętymi oczami i oddychała głęboko. Raz za razem wciągała powietrze. Nikt nic nie mówił, słysząc było tylko śpiew ptaków i bzyczenie owadów. Po chwili panna Julia podniosła rękę i przycisnęła ją sobie do piersi. Marysia dostrzegła, że spod cienkiej niczym papier powieki wypłynęła łza i stoczyła się po pomarszczonym policzku.

– Wiem już, gdzie jestem – usłyszeli cichy głos.

Wreszcie panna Julia otworzyła oczy. Przez chwilę siedziała nieruchomo, patrząc na widok przed sobą.

– Podejdźcie tutaj, dzieci – powiedziała wreszcie.

Stanęli przed staruszką. Niepewni, oczekujący. Błękitne spojrzenie objęło dwójkę młodych ludzi i zatrzymało się na wysokości ich twarzy.

– To, co zrobiliście... To miejsce.... Bardzo wam dziękuję. Nawet nie wiecie, co to dla mnie znaczy...

– otarła kolejną łzę. – Czy możecie się pochylić?

Spełnili jej prośbę, a ona pogłaskała policzek Marysi i pogładziła chłopaka po ramieniu.

– Dobrze z was dzieci, naprawdę dobre... Dziękuję...

– Nie ma za co – bąknęła dziewczyna.

– Jest. Zapewniam, że jest.

Marysia też już miała łzy w oczach. Za chwilę będę płakać – pomyślała.

– Może dosyć już tych czułości? – Do akcji wkroczyła Zuzanna. Zastukała końcem laski w blat stolika.

– Tak przy pustym będziemy siedzieć? Niech idzie – zwróciła się do Marysi – i przyniesie tacę z herbatą. Jest tam, gdzie zawsze. A on – pokazała na Kamila – niech Julię bliżej podwiezie, bo nie sięgnie. A mnie też fotel trzeba przestawić, bo ciężkie to cholerstwo.

– Zuzanno, jak ty zawsze wiesz, co powiedzieć – uśmiechnęła się panna Julia.

– Ja wiem, co trzeba zrobić, a nie mówić.

– Tak, Zuzanno, od początku o tym wiedziałam – pokiwała głową Julia.

Marysia popatrzyła pytająco na Kamila, a ten wzruszył ramionami na znak, że też nie rozumie, o czym mówią staruszki. Ta wymiana spojrzeń nie uszła uwadze Zuzanny.

– Co tak stoją? Zamurowało ich, czy co? Przecież wiedzą, co mają robić. Mnie już nogi bolą od tego stania. I pora na herbatę już najwyższa, bo zaraz będzie za gorąco i Julia będzie musiała do środka wracać.

– Tak, oczywiście. – Kamil ruszył w stronę żeliwnego krzesła, a Marysia skierowała się w stronę dworku.

– Niech mi poduszkę jeszcze z salonu przyniesie. Tę granatową, z frędzlami – zawołała za nią Zuzanna.

– Dziś jest naprawdę piękny dzień – powiedziała Julia i znowu przymknęła powieki. Siedziała, wdychając zapach róż, pogrążona we wspomnieniach i rozmyślaniach.



– I powiem ci, że w końcu się zgodziłam. Marysia jest oczywiście ucieszona, roześmiana, ale ja ciągle mam wątpliwości. – Tamara relacjonowała koleżance weekendowy pobyt w Borowej, wachlując się folderem firmy produkującej filtry do wody.

– Ale jakieś konkretne te wątpliwości, czy to tylko matczyne niepokój? – chciała wiedzieć Marzena.

– Sama już nie wiem. Trochę się boję, czy nie ucierpi mój autorytet. Bo wiesz, konsekwencja w wychowaniu to podobno podstawa. I jak raz podejmiesz decyzję, to nie należy jej zmieniać.

– Tak, pewnie. – Z udaną powagą pokiwała głową koleżanka. – Piszą o tym we wszystkich poradnikach dla rodziców, więc to musi być prawda.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Naprawdę nie chciałabym potem żałować. Ale z drugiej strony chyba zrobiłam wszystko, co mogłam, nie sądzisz?

– Sądzę – przytaknęła Marzena. – A jaka jest ta matka Kamila? Sensowna osoba?

– Wygląda na rozsądną. I nawet się ucieszyła, kiedy zadzwoniłam. Okazuje się, że wiedziała o tych planach, ale powiedziała synowi, że nie będzie mnie namawiać, bo szanuje moje decyzje.

– No i to jest bardzo w porządku, nie uważasz?

– Owszem. Ustaliłyśmy wszystko, podała mi adres i telefon swojej siostry, umówiłyśmy się, że będziemy w kontakcie. Wiesz, takie informacje, że dojechali, że wszystko w porządku...

– Biedne dzieciaki, będą pod ciągłą kontrolą – roześmiała się Marzena.

– Łatwo ci się śmiać. Tylko to nie twoja córka kilka miesięcy temu o mało co nie została zgwałcona, a potem próbowała się zabić.

– No, nie gniewaj się, ja naprawdę rozumiem twoje obawy. Tylko z tego, co opowiadasz, to widzę, że ten Kamil to chyba chłopak całkiem w porządku i Marysi z nim też dobrze.

– I tylko dlatego pozwalałam na to wszystko – westchnęła Tamara. – No i nie ukrywam, że babcia Róża też ma w tym swój udział. Ale ostatecznie przekonał mnie Janek, kiedy powiedział, jakie to męczące, że jego matka ciągle uważa go za dziecko. A przecież to dorosły mężczyzna i naprawdę trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej rozsądnego i godnego zaufania.

– O, to John was odwiedził?

– Tak, przyjechał w sobotę na chwilę. Wracał od hrabianek i zajrzał do babci Róży.

– To miło z jego strony.

– Przecież wiesz, że on jest prawdziwym angielskim dżentelmenem – uśmiechnęła się Tamara. – Przyjechał, bo jest uprzejmy, chociaż pani Zofia ma na ten temat nieco inne zdanie.

– Na temat jego uprzejmości? – Marzena nagle z zapalem zaczęła czyścić komputerowy monitor.

– Nie, na temat jego odwiedzin. Sugerowała, że Janek przyjechał do mnie, masz pojęcie?

– A tak nie jest?

– Nie wydaje mi się. Chociaż nie ukrywam, że ta sugestia mnie zastanowiła. Myślałam o tym, ale nie zauważyłam jakichś szczególnych oznak zainteresowania z jego strony.

– O, z takimi facetami to trudno wyczuć. I nigdy nie wiadomo, co się kryje pod tą maską uprzejmości. Może on nawet na randce grzecznie najpierw pyta, czy może pocałować...

– Ależ ty jesteś złośliwa – roześmiała się Tamara. – Musiał ci naprawdę zajść za skórę.

– Nie przesadzajmy – wzruszyła ramionami Marzena. – Po prostu dla mnie jest zbyt sztywny. Wolę

bardziej wyluzowanych mężczyzn. Ale jeżeli tobie odpowiada, to przecież nic nie mówię... Co, odpowiada? – popatrzyła koleżance w oczy.

– W ogóle w tych kategoriach nie myślę. Przecież ci tłumaczę, że nie wygląda na zainteresowanego.

– A gdyby wyglądał, to ty też byłabyś?

– Czy ja wiem? – zastanowiła się Tamara. – Raczej nie...

– Ale pewności nie masz, więc może coś z tego będzie.

– Żeby coś z czegoś było, to potrzeba jeszcze uczucia. A w tym przypadku moje serce nie bije mocniej.

– Pożyjemy, zobaczymy – skwitowała Marzena. – Idę do sklepu. Kupić ci coś?



Mieszkanie wydawało się Tamarze dziwnie puste. I ciche. Ta cisza dźwięczała w uszach, wywoływała jakiś dziwny smutek i niepokój. Nie pomogło nawet upieczenie ciasta. Tym bardziej, że po wyjęciu go z piekarnika popatrzyła na blaszkę i stwierdziła:

– Przecież to sernik, który Marysia uwielbia.

O co chodzi? – zastanawiała się. – Przecież nie po raz pierwszy Marysi nie ma w domu. Przez minioną połowę wakacji ciągle wyjeżdżała – a to na obóz, a to do babci Róży. A teraz jej nieobecność tak dokucza. I ciągle się zastanawiam, czy wszystko w porządku.

Matka Kamila zadzwoniła z informacją, że młodzi dotarli szczęśliwie, zresztą Marysia także przysłała SMS-a, a wcześniej kilka z podróży. Nic nie może się stać – kobieta uspokajała w myślach samą siebie. – Popadasz w jakąś obsesję.

W przyływie desperacji wybrała numer matki. Niestety, ta co prawda odebrała, ale wesołym głosem oznajmiła:

– Jestem z Krysią w parku, karmimy kaczki. A potem Józik ma nas zawieźć na Wietrzną. Tak dawno tam nie byłam, a Krysia mówi, że teraz jest na co popatrzeć. A co się stało? Masz do mnie jakąś sprawę?

– Nie, mam, nic. Po prostu chciałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Nie martw się, nic złego się nie dzieje. Ostatnio nie narzekam na brak atrakcji. Krysia z Józikiem o to dbają. Możesz spokojnie zająć się swoimi sprawami.

Tamara odłożyła telefon i poczuła się bardzo stara i bardzo samotna. Jak to możliwe, że siedzi w pustym mieszkaniu, nie ma do kogo otworzyć ust, a jej jedynym zajęciem stało się zamartwianie się o córkę? Za to jej matka szczebiocze do słuchawki i sprawia wrażenie bardzo zadowolonej i szczęśliwej. Poczwała, że do oczu napływają jej łzy i pewnie rozpłakałaby się nad swoim beznadziejnym życiem, gdyby nie przeszkodził jej w tym dzwonek do drzwi.

Spojrzała przez wizjer. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, w to, co zobaczyła. Przekręciła zamek i uchyliła drzwi.

– Czego chcesz? – warknęła, bo nie była w nastroju do przyjmowania gości, a już szczególnie tego gościa.

– Przyjechałem w odwiedziny do córki. – Leszek nie wyglądał na zniechęconego niemiłym powitaniem.

– Mam do tego prawo, więc chyba nie będziesz mi utrudniać...

– Trzeba było najpierw zadzwonić – przerwała wywód byłego męża. – A tak, to sam sobie utrudniłeś. Marysi nie ma. Wyjechała. Nie wiem, czy wiesz, ale są wakacje.

– A kiedy wróci?

– W poniedziałek rano.

Mężczyzna pociągnął nosem i uśmiechnął się.

– Pięknie pachnie. Coś piekłaś? Może zaprosisz mnie na małą degustację?

Kiedyś, dwadzieścia lat temu, ten uśmiech zmiękczał kolana prawie każdej kobiety, Tamary także. Ale teraz... Podstarzały playboy – pomyślała z niesmakiem. – Degustację – ależ żenujące!

– Nie zaproszę.

Nie widziała sensu w kontynuowaniu tej rozmowy. Zauważyła, że Leszek zamierza coś powiedzieć, więc go uprzedziła:

– Zadzwoń do Marysi w przyszłym tygodniu. Do widzenia.

I zamknęła drzwi.

Przyłożyła oko do wizjera. Leszek stał jeszcze przez moment, a potem odwrócił się i zbiegł po schodach.

Sądziła, że odjechał, ale po chwili dzwonek przy drzwiach zabrzmiał ponownie.

– Czego jeszcze chcesz? – zapytała, nie otwierając.

– Tamara, musimy porozmawiać.

– Ja nic nie muszę. I nie zamierzam. Daj mi spokój.

Pukał jeszcze kilkakrotnie. Tamara nadśluchiwała, ale nie odzywała się. Miała nadzieję, że mu się znudzi i sobie pójdzie.

– Tamara, otwórz! Chcę porozmawiać o Marysi.

Takie niespodziewane zainteresowanie córką nie wróżyło niczego dobrego. Nie wierzyła w nagłe przebudzenie się ojcowskiej miłości i czuła nadchodzące problemy. Znała też swojego byłego na tyle, by wiedzieć, że jeżeli coś sobie postanowił, to łatwo nie zrezygnuje. Mógł za chwilę wywołać awanturę. A tego nie chciała. Sąsiedzi jeszcze nie zapomnieli wydarzeń związanych z Marysią i czuła ich taksujące spojrzenia za każdym razem, gdy mijali się na klatce schodowej. Nie chciała dawać im kolejnej pożywki dla plotek i przypuszczeń.

Zrobiła więc to, co pierwsze przyszło jej do głowy. Wrzuciła do podręcznej torby kilka ciuchów i kosmetyczkę, na wierzchu położyła blachę z ciastem.

– Odsuń się – powiedziała krótko, otwierając drzwi. Leszek posłusznie zrobił krok do tyłu. Tamara przekreśliła klucz w zamku, ominęła go i zaczęła szybko schodzić po schodach.

Miała nadzieję, że zanim Leszkowi minie pierwsze zaskoczenie, zdąży dojechać do samochodu. Niestety, mężczyzna dogonił ją w połowie drogi do parkingu.

– Jaja sobie robisz? – Jego głos zdradzał zdenerwowanie. – Co ty, masz dwadzieścia lat, że uciekasz przed rozmową?

– Nie mamy żadnych wspólnych tematów.

– Słuchaj, chcę zabrać Marysię.

Tamara stanęła.

– Jak to: zabrać?

– Sama chciała ze mną mieszkać. Pojawiła się szansa na lokal socjalny, żona kumpla pracuje w urzędzie i obiecała popchnąć sprawę, ale muszę być samotnym ojcem.

– Żarty sobie robisz? Chcesz wziąć dziecko, żeby załatwić sobie mieszkanie? A jak je dostaniesz, to co? Oddasz ją? Jak mebel? Ty jednak jesteś nienormalny!

– Sama chciała.

– A teraz też chce?

– Nie wiem, bo nie rozmawia ze mną. Wcześniej tak mi powiedziała, a teraz już nawet nie odbiera telefonu.

– To sam widzisz, że twój plan nie wypali.

– Tamara, ja mam prawo. Jestem ojcem. Dowiadywałem się u prawnika. To na pewno ty nastawiasz ją przeciwko mnie i ja to udowodnię w sądzie.

– Leszek, żaden sąd nie da ci dziecka. Przede wszystkim dlatego, że ona nie chce. A poza tym, czy ty w ogóle masz jakąś pracę? Jak ty ją utrzymasz? Zastanów się, człowieku!

– Da czy nie da, to się okaże.

Tamarę załapała fala wściekłości i przerażenia. Jeżeli Leszek nie zrezygnuje, to czekają je rozprawy w sądzie, stres i nerwy. Wiedziała, że były mąż doskonale zdaje sobie sprawę z jej odczuć i liczy na to, że pomogą mu dobrowolnie, chcąc uniknąć problemów. I naprawdę wierzy, że córka z nim zamieszka, aby mógł przeprowadzić tę całą kombinację z mieszkaniem. Nie obchodziła go Marysia, tylko własna korzyść. Dlaczego musiałam związać się z kimś takim – pomyślała z rozpaczą. Ale przecież nie mogła się poddać!

– Słuchaj! Nic z tego nie będzie. Przestań nas nachodzić, bo oskarżę cię o nękanie. Najlepiej zniknij raz na zawsze z naszego życia.

– Dopóki dziecko nie zadzwoni po raz kolejny i nie będzie próbowało się zabić przez nieodpowiedzialną matkę? – zapytał ironicznie i Tamara zrozumiała, że wykorzysta wszystkie możliwości, żeby osiągnąć swój cel.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Leszek zamierzał znowu namieszać w jej życiu i wiedziała, że żaden rozsądny argument go nie przekona. Co będzie, to będzie – pomyślała. I ruszyła do samochodu.

Nie poszedł za nią. Widziała we wstecznym lusterku jego triumfalną minę. Co więc miała robić? Wyjechała z parkingu i tak jak zamierzała, ruszyła wprost do białego domku. Wiedziała, że może być pewna dwóch rzeczy: babcia Róża na pewno pomoże w powrocie do równowagi, a Leszek z pewnością jej tam nie znajdzie. Już sama świadomość, że z każdą minutą jest bliżej Borowej, dawała poczucie ulgi.

Tymczasem Leszek, opierając się o swój motocykl, mówił z przekonaniem:

– Tak, Teresko, wszystko jest na dobrej drodze. Mała wyjechała teraz na wakacje, ale za kilka dni wraca i wtedy ją przywiozę. Oczywiście, że będziemy mogli napisać o trudnych warunkach życiowych. Przecież nie mam żadnych dochodów.

Przez chwilę słuchał i dodał z pewnością w głosie:

– Jasne, odstawimy ją do matki, gdy tylko wszystko załatwisz. W końcu to ma być nasze gniazdko, prawda?

I uśmiechnął się, puszczając oczko do przechodzącej obok młodej dziewczyny. Ta zachichotała zachęcająco.

– Muszę kończyć. Tak, oczywiście, że cię kocham, przecież wiesz.

Schował telefon do kieszeni skórzanej kurtki i zawołał w ślad za dziewczyną:

– Może panią gdzieś podwieźć?



Małgorzata miała w perspektywie kolejny dzień bliźniaczo podobny do poprzednich. Kacper wyszedł rano do pracy i od razu zapowiedział, że trudno mu określić, kiedy wróci.

– Może poopalasz się trochę? Ostatnio jakoś blado wyglądasz...

– Niezbyt dobrze się czuję – odpowiedziała, mając nadzieję, że taki komunikat wzbudzi zainteresowanie męża.

– To idź do lekarza i zrób badania – odpowiedział takim tonem, jakby mówił o pójściu do sklepu po bułki. – Żeby się nie okazało, że potem będą problemy.

– Tak, pójdę – obiecała, ale wcale nie zamierzała dotrzymać słowa. Tak naprawdę nie dokuczały jej żadne fizyczne dolegliwości, po prostu miała wrażenie, że nic jej się nie chce. Jednak dobrze wiedziała, czym spowodowany jest ten stan. Nie była chora, a przynajmniej nie w tym sensie, o jakim myślał Kacper. Zresztą badała się regularnie, właśnie po to, żeby nie sprawiać mężowi kłopotów. W ogóle wszystko robię, żeby nie sprawiać mu kłopotów – pomyślała. – Niedługo przestanę się chyba nawet odzywać.

– I dobrze – pokiwał głową Kacper, zadowolony z odpowiedzi żony. – I może kup sobie coś nowego, bo mamy jeszcze kilka wyjść w tym miesiącu. A żona wójta zasługuje na to, żeby nie występować wciąż w tych samych sukienkach – uśmiechnął się, zadowolony z własnego dowcipu i dumny z hojności.

– Może czerwony szalik? – wyrwało się Małgorzacie.

– Szalik? Latem? – Kacper najwyraźniej nie zrozumiał aluzji. – Chyba naprawdę niezbyt dobrze się czujesz. Zadbaj o siebie. Pa! – rzucił z korytarza.

Została sama. Na kolejny długi dzień. Niby mogła wszystko. Gdyby chciała, mogłaby cały dzień spać. Albo opalać się w ogrodzie. Albo pojechać na zakupy, na kawę, mogła czytać, słuchać muzyki, iść na spacer, siedzieć w wannie trzy godziny. Tak, mogła robić, co tylko chciała. Ale sama. I wszystko to już robiła, więc wiedziała doskonale, że radości mieć z tego nie będzie. Może wiele kobiet uznałoby to za przejaw wariactwa, jednak Małgorzata pomyślała, że wolałaby chodzić ciągle w tej samej sukience niż kupować nowe tylko po to, żeby zadawać w nich szyku na oficjalnych imprezach. I wolałaby nie mieć jacuzzi, pracować po dziesięć godzin dziennie, nie mieć pieniędzy na kosmetyczkę, ale za to spędzać popołudnia z mężczyzną, który ją kocha i widzi w niej coś więcej niż ozdobnik przy rękawie swojej marynarki.

Podeszła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie. Dlaczego on mnie nie zauważa? – zastanawiała się. – Czego mi brakuje? Czy nie jestem wystarczająco pociągająca? Nie wyglądam tak dobrze, jak powinnam? Staram się przecież i to chyba z niezłym skutkiem, bo nie raz mówili przecież „piękna żona wójta” albo „żona wójta wyglądała zjawiskowo”, czy „żona wójta wyróżniała się”.

– Żona wójta – powiedziała głośno. – Jestem żoną wójta.

Ze złością odwróciła głowę, żeby nie widzieć własnego smutku wypisanego w spojrzeniu. Była tylko żoną wójta, nikim więcej. I tak ją postrzegano. Gdyby nią być przestała, to czy ktokolwiek wiedziałby, jak ma na imię? Jak by o mnie mówiono? – pomyślała. – Może „była żona wójta”? Albo „żona byłego wójta”?

Sama nie mogła znaleźć określenia dla siebie. Nie była matką, nigdzie nie pracowała, niczym konkretnym się nie zajmowała. Inne kobiety coś robiły. Coś konkretnego, co pozwalało je zdefiniować. Na przykład taka Tamara Sokołowska. Z tego, co Małgorzata zdążyła się zorientować – nie miała męża. Za to miała córkę, pracowała w agencji reklamowej i, co najważniejsze, nie narzekała chyba na samotność. W ogóle w tym domu Róży Marcisz wszyscy robili coś ciekawego albo potrzebnego. Nawet ta starsza pani, pani Zofia – podobno piekła babeczki i sprzedawała je do kieleckich cukierni. Kto by

pomyślał, że w tym wieku można znaleźć tak ciekawy sposób na biznes!

A ja? Co ja potrafię? Siedzę tylko i czekam na powrót męża. To jak można nazwać mnie inaczej niż „żona wójta”? – pomyślała gorzko. – Dlaczego nic nie robię, w nic się nie angażuję?

Małgorzata podczas rozlicznych imprez, na których bywała z Kacprem, dostawała wiele propozycji.

– Zapraszamy do udziału w naszych zajęciach – mówiły kobiety z zespołu folklorystycznego.

– Zawsze chętnie panią widzimy, jeśli zechce pani nam pomóc. Każda para rąk się przyda – deklarowały panie z Koła Gospodyń Wiejskich, gdy podziwiała ogromne stopy ulepionych przez nie pierogów.

– Będzie nam miło, jeżeli pani chciałaby uczestniczyć w akcji głośnego czytania dzieciom – twierdziły bibliotekarki, kiedy chwaliła tę inicjatywę.

Oczywiście dziękowała uprzejmie, ale zawsze traktowała te propozycje jako swego rodzaju grzecznościowe formułki. I nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby naprawdę w coś się zaangażować. Odnosiła wrażenie, że byłaby piątym kołem u wozu, że tak naprawdę nie była tym kobietom do niczego potrzebna. Miały swoje towarzystwo, znały się od lat, a jej status, to nieszczęsne bycie żoną wójta dodatkowo czyniło z niej osobę nie tylko obcą, ale i w pewien sposób niebezpieczną, przy której trzeba uważać na słowa. Komu ktoś taki mógłby być potrzebny? Bo trudno zaufać żonie gminnego włodarza, nie wypada też jej czegokolwiek odmawiać. A to zwiastuje same problemy.

Nie powinnam być dla nikogo problemem – pomyślała Małgorzata. – Zawsze przecież chciałam jak najlepiej. Dla wszystkich.

Czy na pewno? – odezwał się w głowie kobiety jakiś nowy głos. – Czy dla wszystkich, czy tylko dla Kacpra?

Dla niego przede wszystkim – przyznała. – Ale przecież to nic dziwnego. W końcu jesteś jego żoną.

I co z tego masz? – Natrętny głos nie dawał się zbyć. – Co masz tak dla siebie? Tak naprawdę? I co w ogóle zrobiłaś dla kogokolwiek poza mężem?

Małgorzata usiadła na ogrodowym krześle i zamyśliła się. Rzeczywiście, bilans nie wypadł najlepiej. Poczula, że chciałaby coś zmienić, że pragnie spróbować, że chciałaby komuś naprawdę pomóc, przekonać się, że potrafi, zobaczyć efekt i mieć poczucie, że to jej własne dzieło. Dokonać czegoś jako Małgorzata Kamińska, a nie żona wójta.

Bycie żoną wójta też może pomóc – odpowiedział głos. – Sama stwierdziłaś, że żonie wójta się nie odmawia. Wykorzystaj to!

– Tylko co mogłabym zrobić? – zastanawiała się.

A myśli ciągle wracały do białego domku w Borowej. Jeszcze nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że coś ją tam ciągnie.



– Babciu, muszę z tobą porozmawiać! – zaczęła Tamara od progu, ale zamilkła, widząc kobietę siedzącą przy kuchennym stole. – Dobry wieczór, pani Małgorzato – dodała, starając się nadać głosowi normalne brzmienie i ukryć zdenerwowanie.

– Dobry wieczór – odpowiedziała kobieta, odwracając się z uprzejmym uśmiechem w stronę przybyłej. – Dobrze, że pani przyjechała. Liczę na pomoc w przekonaniu pani Zofii do mojego pomysłu.

Tamara nie miała ochoty nawet na słuchanie o pomysłach żony wójta, nie mówiąc już o przekonywaniu kogokolwiek do czegokolwiek. Przyjechała, żeby się wyzalić, chciała usłyszeć kilka ciepłych słów, a zamiast tego czekała ją oficjalna pogawędka. Nie była zadowolona i nawet nie starała się tego ukryć.

– Siadaj, dziecko, złap oddech, bo widzę, że potrzebujesz chwili, żeby zebrać myśli. – Babcia Róża, jak zawsze, umiała rozładować napięcie.

– Dzisiaj niczego nie upiekłam, a tu kolejny gość – zmartwiła się druga staruszka.

– Zofia ma jeden dzień w tygodniu wolny od pieczenia – wyjaśniła babcia Róża z uśmiechem. – Tak postanowiłyśmy. I dlatego w każdą środę mamy czas na odpoczynek i spokojne pogaduszki. Musisz się więc zadowolić herbatą. Kawy nie proponuję – spojrzała znacząco i Tamara zrozumiała, że babcia widzi jej zdenerwowanie.

– To się nawet dobrze składa, bo akurat ja dziś miałam dzień pieczenia. I przywiozłam sernik. Tylko z pośpiechu zostawiłam w samochodzie. Zaraz przyniosę.

– To może ja pani pomogę? – zadeklarowała się Małgorzata.

Tamara zrozumiała, że kobieta chce z nią porozmawiać na osobności. Poczowała, że nie ominie jej dzisiaj wysłuchanie propozycji, o której już wspomniała Kamińska. Zresztą, gdy popatrzyła na nią, zobaczyła w jej oczach coś nowego – jakiś rodzaj zdecydowania połączonego z desperacją. Znała to spojrzenie i kiedy widziała je u klienta, wiedziała, że ten robi tak, jak zaplanował i szkoda czasu na dalsze rozmowy. Kierując się tym doświadczeniem, westchnęła tylko i powiedziała:

– Proszę bardzo.

Wyszły przed dom.

– Pani Tamaro – zaczęła od razu Małgorzata. – Naprawdę zależy mi na pani pomocy. Bardzo proszę...

– Może najpierw powie mi pani, tak w skrócie, o co chodzi? – Naprawdę nie miała nastroju do rozmowy i chociaż chciała być uprzejma, to dzisiaj obecność tej kobiety naprawdę ją irytowała. Miała własny problem i trudno jej było wykrzesać zainteresowanie tym, co wymyśliła idealna Małgorzata.

– Postaram się. Widzi pani, ja często bywam na różnych gminnych imprezach i wiem, przynajmniej teoretycznie, co się dzieje. A kiedy gościłam tutaj, u pani Marcisz, usłyszałam o tych babeczkach pani Zofii. Proszę dać, ja potrzynam. – Odebrała z rąk Tamary blaszkę z ciastem. – No i potem skojarzyłam, że ona jest teściową tego człowieka od firmy budowlanej, z którym czasami współpracuje mój mąż. Staram się nikogo nie oceniać, ale trudno go lubić.

Tamara zamknęła samochód i chociaż chciała wracać, to zmuszona była stanąć i słuchać żony wójta.

– Dowiedziałam się trochę o całej sytuacji i zrobiło mi się żal pani Zofii. Doszłam do wniosku, że mogłabym pomóc. No i wpadłam na pomysł, żeby stworzyć przy Kole Gospodyń Wiejskich taką, sama nie wiem jak to powiedzieć... grupę produkcyjną dla tych babeczek. A te panie mają kontakty z kilkoma stowarzyszeniami, więc można to zalegalizować. Pani Zofia podałyby przepis, panie piekłyby babeczki i sprzedawały przez stowarzyszenie. Część dochodu poszłaby na jakiś szczytny cel, to można ustalić, ale i tak w efekcie pani Zofia zarobiłaby więcej. Pani rozumie, pani Tamaro, takie rozwinięcie produkcji...

– Tak, rozumiem, efekt skali – zgodziła się i zawodowa strona natury podpowiedziała jej, że pomysł wygląda obiecująco.

– Nie wiem, jak to się fachowo nazywa, ale chyba właśnie o to mi chodzi – pokiwała głową Małgorzata. – Tylko że pani Zofia się nie zgadza. Nawet wysłuchać mnie nie chciała do końca. I mówi, że ona ma tyle, ile jej potrzeba, a do biznesu się nie nadaje. Może pani udałoby się ją przekonać?

Tamara w pierwszej chwili chciała zadeklarować pomoc, ale zobaczyła za plecami Małgorzaty rozświetlone okno białego domku. Przez firankę widziała Różę i Zofię. Siedziały przy stole, pochylone ku

sobie i pogrążone w rozmowie. Z obrazka widocznego w kwadratowej ramie okna emanował spokój, bezpieczeństwo, brak pośpiechu. Po to wszystko tutaj przyjeżdżała, to otrzymywała. Czy chciała i czy miała prawo podważać decyzje tych, które prowadziły życie według własnych zasad? Czy to, do czego chciała je przekonywać, naprawdę będzie lepsze od wieczornej rozmowy przy herbacie? Na jakiej podstawie miałyby tak sądzić, skoro to ona potrzebowała rad i wsparcia starszych?

– Pani Małgorzato, będę szczerą – popatrzyła na stojącą przed nią kobietę. – Mnie się ten pomysł nawet podoba i widzę w nim potencjał. Ale to moje zdanie. A ja w tym udziału przecież brać nie będę. I myślę, że skoro pani Zofia nie ma ochoty, to nie należy jej zmuszać. Nie będę więc tego robić.

– Ale przecież... sama pani mówi, że pomysł jest dobry.

– Dobry dla nas. A dla pani Zofii najwyraźniej nie.

– Zarobiłaby więcej, mogłaby lepiej żyć. Czy to źle?

– Może i dobrze. – Tamara odebrała sernik z rąk żony wójta. – Z naszego punktu widzenia. Tyle że nie dla każdego lepsze życie oznacza więcej pieniędzy. I nie każdy chce żyć według pomysłu innych. Niech pani tam spojrzy – wskazała okno białego domku – i sama oceni, czym jest dobre życie.

Ruszyła w stronę domu. Myślała, że Małgorzata za nią pójdzie, ale kobieta została przy samochodzie. Tamara jej nie zawołała.

Żona wójta stała jeszcze chwilę, wpatrując się w okno domu babci Róży. Widziała Tamarę krojącą ciasto i panią Zofię z uśmiechem przyjmującą talerzyk z sernikiem. „Nie dla każdego lepsze życie oznacza więcej pieniędzy. I nie każdy chce żyć według pomysłu innych...” – dźwięczały jej w głowie słowa Tamary. Poczowała, że nie ma tu już nic do roboty.

Siedzące w kuchni kobiety usłyszały odgłos odjeżdżającego samochodu.

– Co ty jej powiedziałaś, dziecko? – Babcia Róża popatrzyła na Tamarę pytająco.

– Powiedziałam to, co myślę.

– Ojej, mam nadzieję, że się na mnie nie pogniewa za to, że nie chciałam pracować w tym jej Kole – zmartwiła się pani Zofia.

– Zofio, nie przejmuj się. – Jedna pomarszczona dłoń przykryła drugą. – Zrobiłaś tak, jak czułaś. I to dobrze. A ona prędzej czy później zrozumie.

– Niedobrze, jakby była zła. To przecież wójtowa żona...

– To przede wszystkim kobieta. – Róża uśmiechnęła się. – I chyba sama zaczyna to powoli rozumieć. A skoro potrzebuje jeszcze czasu, to poczekamy spokojnie. Za to ty, dziecko – zwróciła się do Tamary – czekać już chyba nie możesz. No to nałóż mi jeszcze kawałek sernika i opowiadaj, co się stało.

Tamara spełniła prośbę babci, a potem usiadła przy stole. Barnaba wskoczył jej na kolana. Mądre zwierzę – pomyślała. – Czuje, że potrzebuję wsparcia.

Gładziła miękkie futerko i zastanawiała się, co powiedzieć. Kiedy tu przyjechała, miała ochotę wykrzyknąć całą złość i strach, które czuła po spotkaniu z Leszkiem. Teraz emocje już nieco opadły. Starła się nazwać to, co czuła i ubrać to w słowa. Nie spieszyła się, wiedziała, że starszki dadzą jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała. Tu nikt nie musiał się spieszyć. W ciszy słychać było tylko tykanie zegara i pomrukiwanie zadowolonego kota.

– Przyjechał Leszek i chce zabrać Marysię – powiedziała wreszcie. Tak po prostu. Prościej się nie dało.

– I co ty teraz zrobisz?! – zatrwożyła się pani Zofia.

– Właśnie nie wiem. – Tamara patrzyła na blat stołu. – Najgorsze, że straszy sądem i chce wywlekać wszystkie brudy. To wszystko, co się działo z Marysią... – Łzy płynęły same i spadały na kocie futerko. –

Nie chcę, żeby musiała to jeszcze raz przeżywać, ale przecież jej nie oddam ot tak...

– A co na to Marysia? – zapytała babcia Róża.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale wiem od Leszka, że nie odbiera od niego telefonów.

– To z nią porozmawiaj.

– Taki mam zamiar. Tylko bardzo się boję, czy uda mi się ją ochronić.

– Nie musisz jej chronić.

– Przecież to moje dziecko! – Tamara spojrzała na babcię ze zdumieniem. – Co innego miałabym zrobić?

– Wystarczy, że będziesz przy niej. Przy niej i z nią. Razem stawicie temu czoła i cokolwiek się stanie, będzie wiedziała, że jesteś. – Babcia Róża wstała i podeszła do kredensu. – Matka nie jest po to, żeby uchronić dziecko przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Tego nie da się zrobić. Każdy musi popełnić błędy, a potem ponosić ich konsekwencje. Nawet te, których się nie spodziewa. Takie jest życie. Ale to wszystko jest potrzebne właśnie po to, żeby nauczyć się żyć jak najlepiej. A matka ma towarzyszyć i wspierać. Pomagać, a nie tworzyć sztuczny świat. Dawać poczucie bezpieczeństwa, być tą, do której zawsze można przyjść, a nie tą, która do siebie przywiązuje i od siebie uzależnia.

Na stole pojawiły się talerzyki i słoiczek fiołkowych konfitur.

– Marysia to mądra dziewczyna. Z twoim wsparciem da sobie radę.

– Babciu, ja to wszystko rozumiem, tylko dlaczego ona ma ponosić konsekwencje moich błędów? Przecież gdybym związała się z kimś innym, to...

– To Marysia nie byłaby Marysią – wtrąciła nieoczekiwanie pani Zofia. – Ja tam za swoim zięciem nie przepadam, ale wnuki kocham. I tak myślę, że gdyby zięć był inny, to one może nie byłyby takie, jak są? To niech on już sobie będzie, jaki chce, najważniejsze, że dzieci takie kochane...

Tamara pomyślała, że pani Zofia ma rację. Co było, to było, może nie najlepiej wybrała, ale Marysię kocha nad życie i nie chciałaby innej córki. Na samą myśl o dziewczynie nie mogła powstrzymać uśmiechu. I wiedziała, że robi wszystko, że znajdzie siłę, żeby jej pomagać. Zawsze.

– Nie wiem, co ja bym bez was zrobiła! – Spojrzała na staruszki z wdzięcznością. – Przy was każdy problem wydaje się łatwy do rozwiązania. Jak wy to robicie?

– Samo się robi – powiedziała babcia Róża. – Nie znasz tego powiedzenia, że smutek podzielony z kimś to pół smutku, a podzielona z kimś radość to podwójna radość? A nas jest tu aż dwie.

– A do tego konfitura z fiołków – uśmiechnęła się Tamara.

– No to zjadaj i kładź się spać. Bo pewnie jutro do pracy?

– Tak – westchnęła Tamara. – I w ogóle to przepraszam, że ja tu wpadłam tak nieoczekiwanie.

– A co my tu mamy do roboty – machnęła ręką pani Zofia. – Tylko wypatrujemy, żeby kto przyjechał i ze starymi trochę czasu spędził.

– Poza tym przyjazdu do domu zapowiadać nie trzeba – dodała babcia Róża. – A jak już bardzo chcesz się odwdzięczać, to możesz pozmywać.

– Niech już nie zmywa. – Zofia podniosła się z krzesła. – Bo się nie wyśpi. Ja to zrobię, kości rozruszam, bo po tych niby wolnych dniach to mnie bardziej wszystko boli. Nieprzyzwyczajona jestem do siedzenia.

– To ja w weekend odrobinę – zaproponowała Tamara, bo teraz, gdy emocje opadły, poczuła, jak bardzo zmęczył ją ten nerwowy dzień. Marzyła o tym, żeby przytulić się do poduszki i zasnąć.

I rzeczywiście, gdy tylko okryła się kołdrą, natychmiast zapadła w sen. Przez uchylone drzwi wsunął się Barnaba i ułożył w nogach posłania. Babcia Róża, widząc, gdzie poszło zwierzę, powiedziała:

– On tam wie, komu ciepła potrzeba.

A Zofia tylko pokiwała głową, odstawiając wytarte talerzyki na półkę. W białym domku kończył się kolejny dzień, a okrągły księżyc objął nocną straż nad jego mieszkańcami.



– Dzień dobry, Tamaro. Czy nie przeszkadzam?

– Witaj, Janku! Cieszę się, że cię słyszę. – Tamara uśmiechała się do słuchawki, jednocześnie gestami próbując zwrócić uwagę koleżanki. Marzena jednak uparcie wpatrywała się w monitor i nie reagowała na jej machanie.

– Jeszcze jesteś w Polsce? To świetnie! Nie odzywałeś się, Marysia wyjechała, więc nie bywa u hrabianek i nie wiedziałam co u ciebie.

– Jeszcze jestem. Postanowiłem trochę przedłużyć pobyt. Chciałbym lepiej poznać ciotki, no i rodzinne strony. Dzisiaj wybieram się do Oblęgorka.

– Zazdroszczę. Piękna pogoda, w sam raz na zwiedzanie. A ja muszę siedzieć w pracy. Obok mnie jest Marzena, pamiętasz?

– Tak, oczywiście.

– Udaje, że pracuje, ale tak naprawdę to ciężko o coś twórczego w taki dzień.

– Pozdrów ją ode mnie serdecznie.

– Marzena! – Tamara podeszła do koleżanki i położyła jej rękę na ramieniu. – Janek cię pozdrawia. Serdecznie – uśmiechnęła się porozumiewawczo, ale koleżanka nie odwzajemniła uśmiechu.

– Janku, ale skoro jesteś nadal w Kielcach, to może przyjedziesz w sobotę do białego domku? Zapraszam w imieniu swoim i gospodyni.

– Bardzo chętnie. Będziesz sama, czy spodziewacie się jeszcze innych gości?

– Wiesz, teoretycznie będę tylko ja, ale w praktyce to różnie z tym u babci Róży bywa. Przyjedziesz, to się okaże. A dlaczego pytasz?

– Dobrze wiedzieć, czy będzie się brało udział w kameralnym spotkaniu, czy w dużym przyjęciu. – Głos po drugiej stronie linii brzmiał bardzo serio.

– Janku, nie przesadzaj. Wiesz, jak u nas jest. Nie przejmuj się niczym, tylko przyjeźdź. A jak bardzo chcesz przyjęcia, to zaraz zaproszę Marzenę. Może być?

– Z przyjemnością się z nią zobaczę.

– W takim razie czekam w sobotę.

– Jeżeli tak mówisz, to oczywiście będę. Czy o dziesiątej nie będzie zbyt wcześnie?

– Nie będzie.

Rozłączyła się i odłożyła telefon.

– Słyszałaś?! Zapraszam cię w sobotę do Jagodna – zwróciła się do koleżanki.

– Raczej nie dam rady. – Marzena pokręciła przecząco głową. – Umówiłam się z dziewczynami na piątek, więc w sobotę będę dochodzić do siebie. Mam w planie szaleństwo na całego.

– Szkoda – zmartwiła się Tamara. – Janek się ucieszył, kiedy mu powiedziałam, że będziesz.

– Naprawdę? A co takiego powiedział? – zainteresowała się Marzena.

– Że z przyjemnością cię zobaczy.

– O, cóż za entuzjazm – skomentowała kobieta ironicznie. – Z przyjemnością to można zobaczyć obraz w muzeum.

– Chyba przesadzasz. – Tamara była zaskoczona. – Za co ty go tak nie lubisz?

– Już ci mówiłam. Dla mnie ta jego poza jest nie do przyjęcia. Ale nie przejmuj się. Z tego, co słyszałam, to jemu raczej bardziej zależy na twoim towarzystwie.

– Nie zauważyłam.

– No z tego, co zrozumiałam, pytał, czy będziesz sama...

– Marzena, daj spokój! Zaczynasz mówić jak pani Zofia. Zapytał grzecznie, bo pewnie chciał się przygotować czy coś. Wiesz, jaką on wagę przykładają do konwenansów.

– Ja się w konwenansach nie czuję zbyt dobrze, więc nawet lepiej, jeżeli mnie nie będzie.

– Może się jeszcze namyślisz? Przecież podobało ci się na Borowej.

– Kiedyś jeszcze przyjadę, nie martw się.

– No mam nadzieję. A teraz może wyskoczymy nielegalnie po lody od Bliklego?

– I na papieroska? – Marzena wreszcie się uśmiechnęła.

– Może być.



Małgorzata leżała w łóżku i czytała książkę. Jej kolano dotykało pod kołdrą kolana męża, który ten wieczór spędzał w domu. Jednak obecny był tylko ciałem, bo jego uwagę w całości pochłaniał stos dokumentów, które ułożył na nocnej szafce po swojej stronie łóżka. Na kolanach położył laptop i cały czas coś pisał.

Starła się nie przeszkadzać Kacprowi i cieszyć się przynajmniej samą jego obecnością. Próbowwała skupić się na lekturze, ale nie mogła zaangażować się w losy bohaterki, bo myśli wciąż wracały do wieczornej rozmowy z Tamarą.

– Kacper, czy możemy porozmawiać? – zapytała wreszcie.

– To coś ważnego? – Oderwał wzrok od monitora zaledwie na ułamek sekundy. – Bo wiesz, że muszę to wszystko dzisiaj przejrzeć.

– Chciałam cię o coś prosić...

– Koniecznie teraz?

– Koniecznie. Nie możesz sobie zrobić chwili przerwy? Przyniosę coś do picia, może po kieliszku wina...

Kacper spojrzał uważnie na żonę.

– Jeżeli myślisz o dłuższej przerwie... – zawiesił głos i zmierzył leżącą przy nim postać, po czym dokończył – ...to dzisiaj wykluczone.

Małgorzata poczuła dziwny ból w sercu. Nie miała na myśli łóżkowych igraszek, właściwie od dawna już przestała na to nalegać, zdając się na inicjatywę męża, ale ten taksujący wzrok i ta odmowa... To zabolalo. Miała ochotę nakryć się kołdrą, a najlepiej zniknąć.

Nie – pomyślała. – Muszę spróbować. Żeby potem nie mieć pretensji do samej siebie.

– Nic z tych rzeczy, kochanie – powiedziała przymilnym tonem. – Mam prośbę i tyle.

– Słucham. – Poprawił się na poduszce i popatrzył na nią tak, że poczuła się jak petentka w urzędzie.

Słumiła westchnienie, nabrała powietrza i powiedziała:

– Chciałabym zacząć pracować. Może mógłbyś mi pomóc coś znaleźć?

– Pracować? – Kacper nie potrafił ukryć zdziwienia. – Po co?

– Bo ludzie pracują.

– Owszem, pracują. Ale dlatego, że muszą zarobić na swoje utrzymanie. Gdyby nie to, z pewnością nie robiliby nic. A ty przecież nie musisz.

– Ty też pracujesz, bo musisz? Wydawało mi się, że lubisz swoje zajęcia...

– Tak, lubię. Ale przede wszystkim, jak może zauważyłaś, zarabiam, żebyśmy mogli dobrze żyć. I żebyś ty nie musiała się męczyć. Szkoda, że tego nie doceniasz.

– Doceniam i widzę, jak się męczysz. Chciałabym ci pomóc. – Małgorzata miała nadzieję, że może w ten sposób uda jej się podejść męża.

– Najbardziej pomożesz mi, jeżeli przestaniesz wymyślać bzdury. Zawsze ci mówiłem, że moja żona nie będzie musiała pracować. I słowa dotrzymałem.

– Tak, wiem. Tylko że ja chciałabym coś robić. Mieć jakieś zajęcie, widzieć jego sens i cel, coś osiągnąć...

– Kochanie, ty naprawdę chyba się nudzisz – pokręcił głową z dezaprobatą. – Może zaproszę kilka osób na sobotę, to będziesz miała trochę rozrywki. I przygotowania też cię jakoś zajmą. Co o tym myślisz?

Małgorzata poczuła złość. Dlaczego on niczego nie rozumie? Dlaczego nie słucha tego, co do niego mówi?

– Kacper, ja chcę normalnie żyć. Chcę pracować, zarabiać, mieć własne pieniądze i własne sprawy, chcę...

Wójt zacisnął szczęki. Nie pozwolił jej dokończyć. Zimne spojrzenie zamknęło Małgorzacie usta.

– Własne sprawy i własne pieniądze? O to więc chodzi. Rozumiem. – Odłożył laptop i wstał. – Mówisz, że chcesz pracować. Jako kto? Proszę bardzo, chętnie posłucham o twoich kwalifikacjach i doświadczeniu. Każdy pracodawca chce to wiedzieć. No, słucham uważnie? Nie masz nic do powiedzenia? Na co więc liczyłaś? Że zatrudnię cię w gminie? To by dopiero było gadania! Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

Nerwowo chodził między łóżkiem a lustrzanymi drzwiami szafy. Wreszcie zatrzymał się tuż obok Małgorzaty.

– Wiesz, że nie lubię ci sprawiać przykrości, ale sama mnie do tego zmusiłaś. Otóż, moja droga, prawda jest taka, że nie masz szans na pracę. Lepiej więc wybij to sobie z głowy i ciesz się, że masz to, co masz. I w ramach pomocy mężowi przygotuj to sobotnie przyjęcie. Jutro powiem ci, ile będzie osób. Dzięki temu zrobisz coś, co ma sens i cel, bo pomoże nam zachować pozycję i załatwić kilka spraw, dzięki którym będziesz miała pieniądze. Może nie wyłącznie swoje, ale jednak. A teraz idę się napić tego wina. Sam.

I wyszedł z sypialni.

Małgorzata czuła, jakby ktoś dał jej w twarz. Po raz pierwszy usłyszała wprost o tym, jak mało jest warta i co o niej sądzi własny mąż. A co dopiero inni, obcy? Co za upokorzenie – pomyślała. – Czy naprawdę nadaję się tylko do bycia żoną przy mężu? I to na dodatek taką, której nawet on nie ceni?

Ukryła twarz w poduszce i płakała cicho. Nad sobą, nad swoim życiem, z bezsilności, żalu i poczucia, że jest nikim. Zasnęła wtulona w mokry materiał, marząc, że następnego dnia się nie obudzi.



Tamara cieszyła się już piątkowym popołudniem. Nie tylko dlatego, że za kilka godzin miała być w Borowej, lecz także dlatego, a może przede wszystkim dlatego, że ostatni samotny wieczór w domu byłby dla niej trudny. Chodziła po mieszkaniu na palcach, starała się jak najpóźniej zapalać światło, a wszystkie czynności wykonywała najciszej, jak się da. Zrozumiała, że po prostu boi się kolejnej wizyty Leszka. Nie chciała z nim rozmawiać, nie chciała go widzieć.

Z drugiej strony fakt, że się nie pojawiał, wcale jej nie pocieszał. Głowę miała pełną najczarniejszych myśli. Gdyby chciał coś osiągnąć kłótniami czy groźbami, to z pewnością nachodziłby mnie ciągle – rozważała. – Jeżeli z tego zrezygnował, to oznacza tylko jedno. Oddał sprawę w ręce prawnika. Bo przecież na pewno nie odpuści. Ja go znam. Jeśli to, co mówił o mieszkaniu, jest prawdą, to tym bardziej nie da za wygraną. Pewnie teraz ustala plan i kombinuje, jak mi zabrać Marysię. Biedne dziecko, co ja jej powiem? Że ma ojca łajdaka?

Tamara prawie nie spała, nie pomogło ani ciepłe mleko, ani tabletki. Sen nie przychodził, zamiast niego pojawiły się tylko te nieprzyjemne myśli i lęk o przyszłość. Dlatego z radością i ulgą pakowała torbę. Mało brakowało, a nie usłyszałyby telefonu. Wrzuciła go do torebki, wychodząc z pracy i w domu zapomniała wyjąć. Teraz, gdyby przypadkiem akurat nie przechodziła do łazienki, z pewnością nie odebrałyby.

Spojrzała na wyświetlacz. Nieznany numer. Leszek – pomyślała wystraszona, ale postanowiła odebrać.

– Słucham – powiedziała oficjalnie.

– Czy rozmawiam z Tamarą Sokołowską? – usłyszała głos Janka i odetchnęła z ulgą.

– Janek! To ty! Co za szczęście! Nie zapisałam ostatnio twojego numeru i nie wiedziałam, kto dzwoni.

– Nie sądziłem, że tak się ucieszysz – powiedział Jan. – Bardzo mi miło. Dzięki temu mogę mieć nadzieję, że mi wybaczysz.

– Co niby mam ci wybaczać? – zdziwiła się.

– Nie będę mógł jutro przyjechać. Wybrałem się dziś do Krakowa, bo przyjechał tu mój znajomy z Londynu. I muszę przyznać, że dałem się namówić na drinka po obiedzie. Muszę więc zostać do jutra, sama rozumiesz.

– Jasne, nie ma problemu – roześmiała się Tamara. – Jak to ładnie brzmi: drinka po obiedzie. Już to widzę! Słyszałam wiele o imprezach Anglików w Polsce. Uważaj na siebie!

– Tamaro, ja mam ponad czterdzieści lat...

– Dobra, dobra. – Autentyczne oburzenie w głosie Janka jeszcze bardziej ją rozbawiło. – Baw się jak najlepiej, jutro dojdiesz do siebie i wrócisz. A do nas możesz zajrzeć w niedzielę. Co ty na to?

– Z przyjemnością. I bardzo się cieszę, że się nie gniewasz. Jeszcze raz przepraszam za kłopot.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia pojutrze.

Ciekawe, czy kiedy więcej wypije, to też będzie się tak idealnie zachowywał – pomyślała. – A może po kilku drinkach pęknie trochę ta, jak to ładnie ujęła Marzena, skamielina.

Nie zdążyła odłożyć telefonu, kiedy melodyjka zabrzmiała po raz drugi. Tym razem dzwoniła matka.

– Słucham, mammo?

– Dzień dobry, Tamaro. Jesteś jeszcze w Kielcach?

– Tak, ale już kończę się pakować. A dlaczego pytasz? Potrzebujesz czegoś? Bo jeżeli tak, to ja

przecież nie jestem umówiona na godzinę, mogę podjechać do ciebie po drodze.

– Nie, nie trzeba. Właściwie to nie wiem, dlaczego zapytałam. Chyba chciałam się upewnić, czy jedziesz do Róży.

– Coś jej przekazać?

– Tak naprawdę to miałam ochotę ją odwiedzić. I pomyślałam, że mogłabym przyjechać jutro.

– Świetny pomysł. – Tamara naprawdę się ucieszyła. Od czasu imienin babci Róży jej matka była w Borowej jeszcze raz. Długo rozmawiała z babcią i obie nie kryły wzruszenia. Tamara domyślała się, że miały sobie wiele do powiedzenia, chciały wszystko wyjaśnić i starały się nadrobić stracone lata. Matce najwyraźniej bardzo posłużyło ujawnienie dawnej tajemnicy, bo poweselała, stała się miłsza, mniej apodyktyczna, po prostu bardziej ludzka. Dzięki temu poprawiły się też jej stosunki z córką. Ich rozmowy były teraz mniej oficjalne i chociaż do pełnej ciepła bliskości było jeszcze daleko, to przynajmniej telefon od matki przestał sprawiać, że Tamara sztywniała i zaczynała się denerwować.

– W takim razie przyjadę po ciebie około dziesiątej – zaproponowała. – Będziesz gotowa?

– Nie ma potrzeby, żebyś jeździła w tę i z powrotem. Przyjadę pociągiem. Sprawdziłam, jest taki po dziewiątej.

– Ależ mam, po co masz się męczyć? Samochodem do Kielc jadę kwadrans.

– Czy uważasz, że twoja matka jest tak stara, że nie poradzi sobie z taką podróżą? No to powiem ci tylko, że w ubiegłym tygodniu przeszłam z kijkami ponad pięć kilometrów. Sama więc widzisz, że mogłabym nawet dojść ze stacji do Borowej.

Tamara była zdziwiona tym, co usłyszała, ale starała się tego nie okazać. Matka ostatnio nieustannie ją zaskakiwała. A to oznajmiła, że bierze udział w organizacji akcji charytatywnej na rzecz schroniska dla bezdomnych zwierząt, potem znowu wykupiła karnet do kieleckiego teatru, a teraz zaczęła uprawiać nordic walking. Niedługo okaże się, że jest bardziej aktywna niż ja – pomyślała. – O ile to już się nie stało.

– Skoro tak, to rzeczywiście nic na siłę. Sprawdzę ten pociąg i będę czekała przed stacją.

– I zapowiedz, żeby pani Zofia niczego nie szykowała. Mam pyszne leczo i zamierzam je przywieźć. A do tego jabłecznik.

– Oczywiście powiem, ale nie wiem, czy to coś da. Mama wie, jak to jest z panią Zofią.

– A Marysia już wróciła?

– Jeszcze nie. Będzie w poniedziałek rano.

– To dobrze, bo już się za nią stęskniłam. Wiem już wszystko, jesteście umówione, więc dłużej cię nie zatrzymuję. Do zobaczenia jutro.

– Pa, mam!

Kończyła pakowanie, myśląc o ostatnich słowach matki. Nie pamiętała, żeby ta kiedyś mówiła o uczuciach, nawet do niej, do córki. A teraz tak po prostu powiedziała, że tęskni za Marysią. Tamara sama nie wiedziała, jak to się stało i kiedy, ale stosunki babci z wnuczką bardzo się zacieśniły. Całkiem przypadkiem dowiedziała się od Marysi, że często dzwoni do babci i rozmawia z nią. Nie miała pretensji, przeciwnie, cieszyła się z tego, ale nie potrafiła ukryć lekkiego rozzalenia.

– A dlaczego ja o tym nie wiem? – zapytała wtedy Marysię.

– Nie wiedziałam, że powinnam cię jakoś specjalnie informować – odpowiedziała córka z autentycznym zdziwieniem. – To chyba normalne, że wnuczka dzwoni do babci.

Do tej pory jakoś normalne nie było, chociaż powinno. Ale skoro takie się stało, to przecież Tamara mogła się tylko cieszyć. Może kiedyś i ona będzie tak zupełnie normalnie wybierać numer matki. Na razie

wystarczało to, że dwie najbliższe jej osoby najwyraźniej znalazły wspólny język.



Ewa nadal czuła wzruszenie, gdy wchodziła do białego domku. Tutaj czas jakby się zatrzymał, wciąż było tak samo jak prawie pół wieku wcześniej. Kiedy patrzyła na twarz Róży, nie widziała zmarszczek. Najważniejsze były oczy – tak samo błękitne, tak samo pełne dobra, życzliwości, miłości i zrozumienia. Patrząc w nie, czuła wyrzuty sumienia i wstyd, że tak długo nosiła w sercu zapiekłą złość, niesprawiedliwą ocenę i nieuzasadniony żal.

Ostatnia rozmowa z Różą bardzo jej pomogła. Nie było łatwo, polało się wiele łez, padło dużo trudnych słów, ale kiedy poczuła dotyk sękaty dłoni na policzku, taki sam jak ten, który pamiętała z dzieciństwa, zrozumiała, że otrzymała rozgrzeszenie. Jej grzechy zostały wybaczone, a ta, którą skrzywdziła, nie ma żalu. To przyniosło ulgę, pozwoliło odetchnąć pełną piersią i dało siłę do działania.

Jednak po tej rozmowie znowu nie mogła się zdecydować na przyjazd. Potrzebowała trochę czasu, żeby poukładać się z tym nowym stanem ducha. Wiedziała, że Róża to zrozumie. Jednak wiedziała też, że straciły wiele lat, a tych, które przed nimi, nie jest tak znowu wiele. Nie oszukujmy się – myślała. – Obie nie jesteśmy już młode. Nie wiadomo, co nam pisane. Nie mamy więcej czasu do stracenia.

Dlatego zdecydowała, że pora na odwiedziny. I wysiadła teraz z pociągu pełna radosnego oczekiwania, zachwycona letnim dniem jak nastolatka. Nie czuła ciężaru torby, którą dźwigała, nogi w wygodnych sandałkach same ją niosły, a kwiecista sukienka powiewała lekko wokół bioder. Jak ponad pięćdziesiąt lat temu – pomyślała. – Jakby cofnął się czas. Może dzisiaj jest taki magiczny dzień, może los podarował mi powrót do młodości? Kilkanaście godzin w czasie, gdy byłam taka beztroska i szczęśliwa?

A jednak przed budynkiem czekał samochód, a w nim jej dorosła córka. Nie, nie zasmuciło jej to, kochała Tamarę, cieszyła się, że jest, ale tych kilka minut na pustym peronie, gdy czuła się tak młodo, schowała na dnie serca jak sekretny, cudowny podarunek, który wyjmie wieczorem i będzie oglądać przed snem.

– Witaj, Tamaro! Widzę, że jesteś punktualna – uśmiechnęła się i przyjęła pocałunek córki.
– Dzień dobry, mamó. Sama mnie tego nauczyłaś, więc się nie dziw.
– To akurat jedna z tych dobrych rzeczy – podała córce torbę. – I mam cichą nadzieję, że w ogólnym rozrachunku tych dobrych było więcej. Oczywiście nie musisz się do tego w żaden sposób odnosić – poklepała Tamarę po ramieniu. – To tylko takie refleksje starzejącej się matki. No, jedźmy, bo nam tu do obiadu zejdzie!

Przez chwilę jechały w milczeniu. Wreszcie Ewa postanowiła przerwać ciszę.

– Co słyhać w Borowej, czy jak to wy mówicie, na Borowej? Opowiadaj, bo od wyjazdu Marysi nie mam żadnych wiadomości.

– Właściwie nie ma o czym opowiadać. Takie codzienne życie. A, może tylko to, że panią Zofię odwiedziła córka.

– Naprawdę? To chyba dobrze?

– Chyba tak. Przyszła poskarżyć się na męża. A pani Zofia znowu wypatrzyła u niej kilka nowych siniaków. I teraz się martwi.

– To ten zięć bije żonę? Przecież to karalne – oburzyła się Ewa. – Trzeba gdzieś zgłosić całą sprawę.

Koniecznie.

– Problem w tym, że ta Kasia nie chce. A i pani Zofia, chociaż ręce załamuje, to też policji woli nie mieszać w całą sprawę. Wiesz, mamó, często tak bywa.

– Niestety – westchnęła Ewa.

– Za to Kasia zgodziła się Nikolkę do pani Zofii przyprowadzać. No i mała ma teraz dwie babcie. Jest zachwycona. Oczywiście zięć nic nie wie.

– Przecież to nienormalne. Takie sekrety w rodzinie. Tylko dzieci cierpią.

– Też tak uważam. Dzieci w takich sytuacjach cierpią najbardziej.

Tamara wypowiedziała ostatnie zdanie i zrozumiała, jak niezręcznie to zabrzmiało. Cholera! Że też nie mogę zwyczajnie rozmawiać z własną matką – pomyślała. – Tylko ciągle muszę uważać na to, co mówię. A jak tylko się na chwilę zapomnę, to zaraz wychodzi tak, że szkoda gadać.

Ewa zerknęła na córkę. Widziała, jakie uczucia odmalowują się na jej twarzy. Chciała jakoś jej powiedzieć, że rozumie i że się nie gniewa, ale nie potrafiła. Trudno budować nowe relacje z dzieckiem, które stało się już dorosłą kobietą. Gdyby to była przyjaciółka, ktoś bardziej obcy, to byłoby prościej. Ale przepraszać własną córkę, tłumaczyć się jej, prosić o wybaczenie? Na to nie czuła się jeszcze gotowa, chociaż wiedziała, że powinna to zrobić. Cóż, kiedy na razie nie potrafiła. Żadne ze słów, które przychodziły jej do głowy, gdy myślała o tym, siedząc w ulubionym fotelu, teraz, w obecności Tamary, nie chciały jej przejść przez usta. Nie wszystko na raz – przypomniała sobie słowa Krysi. – Powoli, poczekaj, przyjdzie odpowiednia pora i wtedy sobie poradzisz.

– A co powiesz na lody? – zaproponowała więc pierwsze, co przyszło jej do głowy, żeby jakoś rozładować sytuację.

– Mogą być lody – zgodziła się Tamara. – W takim razie skręcamy do Lewiatana. Tylko ostrzegam, że mogą być kolejki. Dzisiaj sobota, zakupowy szczyt.

– Wszystko tutaj jest – zauważyła Ewa, obserwując mijane sklepiki. – Właściwie wcale nie trzeba jeździć do Kielc.

– Też to zauważyłam – przytaknęła córka. – I zaopatrzenie nie gorsze niż w mieście. Niestety, ci co tu zamieszkali, też o tym wiedzą – roześmiała się i wskazała na parking przed sklepem, wypełniony samochodami. – Pierwszą walkę musimy stoczyć o miejsce.

Udało się nawet dosyć szybko, najwyraźniej trafiły na chwilową przerwę między falami zakupowiczów. Tamara zauważyła żonę wójta, która pakowała do samochodowego bagażnika pokaźne torby pełne zakupów. Małgorzata nie dostrzegła jej, co Tamara przyjęła z ulgą, bo po ostatnim spotkaniu miała lekkie wyrzuty sumienia. W końcu nie była wobec nowej znajomej zbyt uprzejma. Wolała odwlec nieco kolejną rozmowę, poza tym chciała jak najszybciej dojechać do białego domku, bo temperatura rosła i lody wymagały szybkiego umieszczenia w lodówce.

– Jesteśmy – oznajmiła, wchodząc do kuchni. – Troszkę zeszło, bo wpadłyśmy jeszcze na drobne zakupy. Lodówka potrzebna pilnie, bo nam się deser topi.

– No to się dobrze składa, bo będziemy mieć gościa na obiedzie – poinformowała szeptem pani Zofia. Dopiero teraz zauważyły, że Zofia jest w kuchni sama.

– A gdzie Róża? – zapytała Ewa.

Zofia położyła palec na ustach i wskazała uchylone drzwi od pokoju.

– Rozmawia.

– A kto przyjechał? – zainteresowała się Tamara.

– Nie wiem. Jakiś pan. Nie widziałam, bo byłam w kurniku. Przyjechał zaraz, jak Tamara wyjechała –

wyjaśniała szeptem Zofia. – Jak wróciłam, to Róża tylko do mnie wyszła i powiedziała, że musi porozmawiać i żeby nie przeszkadzać. No to nie przeszkadzam. A że to mężczyzna, to z głosu rozpoznałam.

Rzeczywiście, zza drzwi słychać było niski męski głos, ale nie można było zrozumieć, co mówi.

– To może my pójdziemy do sadu? – zaproponowała Ewa. – A Róża dołączy do nas później.

– Dobra myśl – przytaknęła Tamara. – Zabiorę kompot i szklanki. Pani Zofio, pani oczywiście idzie z nami?

Spędziły miłe pół godziny na pogawędce w cieniu drzew. Ewa wypytywała Zofię o wnuczkę i cierpliwie słuchała zachwyty nad zdolnościami i mądrością małej. Tamara czytała i od czasu do czasu spoglądała na matkę. Cieszyła się z czasu, który razem spędzają, nawet jeżeli nie prowadziły bezpośredniej rozmowy. Nie pamiętała zbyt wielu takich chwil, bo matka zawsze była zapracowana – w szpitalu albo zajęta domowymi obowiązkami. A miło tak po prostu siedzieć i wiedzieć, że matka jest niedaleko. To było dla Tamary nowe odkrycie – radość z samego przebywania z Ewą. I zastanawiała się, czy dla Marysi jej obecność jest równie ważna. Miała nadzieję, że tak i obiecała sobie, że postara się dać swojej córce jak najwięcej takich chwil.

– Zostało jeszcze coś zimnego do picia? – usłyszały głos babci Róży. – Bo nam od tego gadania całkiem w ustach zaschło.

– Oczywiście, Różo. Zaraz... – Ewa wstała, odwróciła się i urwała w pół zdania. Znieruchomiała, wpatrzona w stojącego obok Róży mężczyznę. Ten także przystanął i uśmiech zamarł mu na ustach.

Stali tak, kilka kroków od siebie, i patrzyli bez słowa.

– To Adam Galiński, ojciec Łukasza – przedstawiła gościa babcia Róża. – To Zofia, razem tu sobie mieszkamy. A to Ewa Dobrosz i jej córka – Tamara Sokołowska – moja rodzina. Poznajcie się i może usiądziemy?

Mężczyzna jakby ocknął się, zamrugał szybko powiekami i spróbował się uśmiechnąć.

– Witam panie – powiedział.

Pocałował w rękę panią Zofię, a potem podszedł do Ewy, która nadal stała w bezruchu.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta drżącym głosem.

– Mamo, źle się czujesz? – zapytała zaniepokojona Tamara.

– Rzeczywiście, niezbyt dobrze. Słońce musiało mi zaszkodzić. Rozboliła mnie głowa – powiedziała Ewa, nerwowo przełykając ślinę. – Chyba muszę się położyć, przepraszam.

– Może cię odprowadzę? – zaproponowała Tamara.

– Nie trzeba – rzuciła matka i szybko odeszła w stronę domu.

– Przepraszam, nie wiem, co się stało – tłumaczyła matkę Tamara. – Przed chwilą wszystko było w porządku...

– To ja nie będę przeszkadzał – powiedział Adam Galiński. – Zresztą i tak powinienem już jechać, jeżeli chcę zdążyć przed wieczorem.

– Miał pan zostać na obiad – wyrwało się Zofii.

– To chyba nie najlepszy moment. – Mężczyzna zacisnął szczęki i popatrzył na Tamarę. Ta poczuła, jakby jego wzrok przeszywał ją na wylot. W ogóle cała sytuacja wydała jej się dziwna. Czowała, że coś się stało, ale nie wiedziała co. I że znowu ma to związek z jej matką.

– Odwiedzi nas pan jeszcze? – zapytała babcia Róża, patrząc w oczy mężczyźnie.

Wytrzymał uważne spojrzenie błękitnych oczu, ale szczęki nadal miał zaciśnięte. Po chwili

odpowiedział:

- Nie jestem pewien. Może...
- Zapraszam. Kolejna wizyta sprawiłaby nam przyjemność.
- Jest pani pewna? – zapytał Adam.
- A czy w życiu można być czegoś pewnym? Nie jestem więc, ale mam taką nadzieję. A pan?
- Pomyślę o tym – odpowiedział i jeszcze raz spojrział na Tamarę. – Do widzenia. Miło było panie poznać.
- Babciu, o co tu chodzi? Po co przyjechał ojciec Łukasza? I co się mamie stało? – zapytała Tamara, gdy tylko mężczyzna zniknął z pola widzenia.
- Czy ja się doczekam tego kompotu? – Staruszka zajęła fotelik, na którym wcześniej siedziała Ewa. – Czy raczej pozwolisz, żeby ci babcia z pragnienia umarła? – mówiąc to, uśmiechnęła się, ale Tamara zrozumiała, że nie chce odpowiadać na żadne z zadanych pytań. Nalała więc napoju do szklanki i podała staruszce.
- To ja może pójde i sprawdzę, czy mamie czegoś nie potrzeba – stwierdziła.
- Na moje oko, to teraz najbardziej potrzeba jej chwili spokoju – zatrzymała ją gestem babcia Róża.
- Czyli babcia wie, o co chodzi?
- Nie wiem. Ale się dowiem. Jak przyjdzie czas. I ty pewnie też. Czasami cierpliwość jest ważniejsza od ciekawości.
- No to co ja mam robić? – zirytowała się Tamara.
- Usiądź i poczytaj – uśmiechnęła się Róża.



Wszystko było przygotowane. Tak jak chciał Kacper. W części jadalnej salonu królował stół zastawiony na dwanaście osób. Biały obrus, mosiężne lichterze ze świecami, przy każdym nakryciu misternie złożona serwetka, lśniące kieliszki i szklanki, porcelanowe talerze ze złotą obwódką. Najlepsza zastawa, bo i goście mieli być, jak mawiał Kacper, z górnej półki.

Nie zapomniała o wazonach ze świeżymi kwiatami, a w części wypoczynkowej przygotowała barek w kształcie globusa i odpowiednie do jego zawartości kieliszki i szklaneczki.

W myślach robiła ostatnie podsumowanie, żeby upewnić się, że niczego nie przeoczyła. Lód jest – wyliczała – napoje także, i pomarańcze, bo żona Majewskiego pije tylko świeżo wyciskany sok. Śledzik na przystawkę zrobiony, półmiski z wędlinami czekają w lodówce, pieczeń wystarczy wstawić do piekarnika. Do tego ogóreczki, marynowane grzybki, sałatka jarzynowa. Potem szarlotka i tort śmietankowy.

Co prawda chętnie przygotowałabym coś bardziej wykwintnego, ale zaproszeni panowie byli w tej kwestii tradycjonalistami i na pamięć znała ich powiedzonka w stylu:

– Rybka lubi pływać.

Albo:

– Najlepiej wchodzi pod kwaśnego ogóreczka.

Nawet kulinarnie nie miała swobody, musiała dostosować się do wymagań i gustu gości. Kiedyś zrobiła dyniową zupę krem i przystawkę z łososia ze szpinakiem. Do dziś pamięta te komentarze, że takie

papki to dobre dla dzieci. I wściekłego Kacpra, który wtedy zrobił jej awanturę i zapowiedział, że na przyszłość ma się trzymać „kuchni tradycyjnej”. Czyli najlepiej rosół i schabowy. Ewentualnie właśnie pieczeń. Nawet nie próbowała protestować, wiedziała, że to bez sensu. I zaprzestała kuchennych eksperymentów. Tylko dla pań starała się zawsze zrobić coś nietypowego, bo chociaż w większości podzielały upodobania dietetyczne mężów, to były bardziej otwarte na kulinarne nowinki. Dzisiaj miała sałatkę z kozim serem, szynką szwarcwaldzką i koktajlowymi pomidorkami. Miała nadzieję, że będzie smakowała.

Wygląda na to, że wszystko gotowe – pomyślała. – Nawet ja.

Spojrzała w lustro. Brzoskwiniowa sukienka o klasycznym kroju, niezbyt krótka, żeby panie nie miały powodu do plotek, i niezbyt długa, żeby panowie mieli na co popatrzeć, do tego beżowe czółenka na niewielkim obcasie i dyskretny makijaż – wyglądała dobrze. Miała nadzieję, że Kacper będzie zadowolony. O, właśnie dzwoni – stwierdziła, patrząc na wyświetlacz telefonu. – Pewnie chce sprawdzić, czy już jestem gotowa.

– Tak, kochanie?

– Małgosiu, mamy nieprzewidzianą zmianę planów – usłyszała głos męża.

Skoro mówił „Małgosiu”, to znaczyło, że nie jest sam. A zmiana planów nie wróżyła niczego dobrego. Więcej gości? Ilu? Czy wystarczy pieczeni? – zastanawiała się w panice.

– Widzisz, kilka osób w ostatniej chwili odwołało przyście, a do tego zadzwonił inwestor z Pomorza, że będzie przejazdem w Kielcach i chciałby się spotkać. Więc jedziemy do niego i pewnie trzeba go będzie ugościć tam, na miejscu. – Kacper mówił wesołym głosem, ale Małgorzata czuła, że to tylko pozór. – W tej sytuacji trzeba przełożyć spotkanie u nas na przyszły tydzień. No i nie czekaj na mnie, bo pewnie wrócę późno. Jakoś ci to potem wynagrodzę, Małgosiu.

– Oczywiście, rozumiem – wiedziała, że Kacper nie oczekuje niczego więcej, a cała ta przemowa nie jest tak naprawdę przeznaczona dla niej, ale dla tych, którzy są świadkami ich rozmowy.

Popatrzyła na zastawiony stół, raz jeszcze zerknęła na swoje odbicie i poczuła, że wzbiera w niej ogromna złość. Niewiele myśląc, chwyciła stojący na stoliku pod lustrem wazon z kwiatami i rzuciła nim o podłogę. Szkło rozprysło się na wszystkie strony, a plama wody zaczęła rozplýwać się po dębowych klepkach ułożonych w misterny wzór.

O, Boże! Parkiet! – pomyślała i pobiegła do kuchni po ścierkę. Zbierała kawałki szkła i ścierała mokre ślady z całych sił, wyładowując w ten sposób wściekłość na męża. To jednak nie pomogło. Nie tym razem. Złość, chociaż może mniejsza niż w pierwszym momencie, nadal w niej była. Tyle pracy, zakupów, stania przy kuchni – myślała. – I teraz, w ostatniej chwili, wszystko odwołuje. Za kogo on mnie ma? Za służącą? Za kucharkę? Ciekawe, czy inni też pojedą do Kielc sami, czy może jednak zabiorą żony? A ja będę tu siedziała, przy pustym stole nakrytym na dwanaście osób. I zasypiała sama, bo druga połowa łóżka znowu będzie pusta.

Małgorzata pomyślała o całym przygotowanym jedzeniu, o pieczeni do podgrzania, o owocach, przystawkach, sałatkach. Mam to wyrzucić? – zastanawiała się. – Przecież nie będę sama jadła.

Poczuła, że nie zniesie kolejnej samotnej kolacji. Że jeśli nie znajdzie towarzystwa, to zwariuje, nie wytrzyma dłużej tego wszystkiego. Musi, po prostu musi z kimś porozmawiać.

I nieoczekiwanie przyszedł jej do głowy biały domek w Borowej. Co prawda po ostatniej wizycie obiecała sobie, że więcej jej noga tam nie postanie, że nie będzie się narzucać i skoro nie chcą i nie doceniają jej dobrych chęci, to ona łaski nie potrzebuje, ale teraz, patrząc na swoje piękne rzeźbione meble, na drogi dywan i skórzaną kanapę przed ogromnym telewizorem, poczuła, że chciałaby usiąść przy

prostym stole, na zwyczajnym krześle, w kuchni z piecem, wypić herbatę i po prostu porozmawiać.

Pakowała wszystko najszybciej, jak się dało. Plastikowe pudełeczka i różnej wielkości słoiki pomieściły wszystkie przygotowane wiktuały. Kilka półmisek po prostu przykryła folią, a salaterki z sałatkami zabezpieczyła pokrywkami. Krążyła między kuchnią a samochodem, jakby bała się, że nie zdąży, że ktoś ją nakryje i uniemożliwi jej realizację planu. A tak naprawdę bała się, że sama zrezygnuje, że zabraknie jej odwagi, żeby pojechać i zastukać do drzwi domu Marciszowej. Musiała to zrobić, zanim znowu uniesie się chorą ambicją, zanim górę weźmie urażona duma.

Wreszcie wszystko zostało zapakowane i Małgorzata z ulgą opadła na fotel za kierownicą. Samochód zamruczał spokojnie, jakby dając do zrozumienia, że jest gotów zawieźć ją tam, gdzie pragnie się znaleźć. Kobieta jeszcze nie wiedziała, jak to się skończy, ale czuła, że robi to, co podpowiada jej intuicja.

Kacper będzie wściekły, kiedy się dowie – przyszło jej do głowy. Ale natychmiast stwierdziła: To niech będzie. Nic mnie to nie obchodzi. Dokładnie tak samo, jak jego nie obchodzę ja.

I nacisnęła pedał gazu. No to w drogę – pomyślała. – Na razie na jej końcu jest Borowa, a co dalej, to pomyślę potem. Przynajmniej zjem kolację w miłym towarzystwie. To chyba nie żadne przestępstwo. Ciekawe, czy sałatka z kozim serem będzie im smakować?



Tamara odwiozła Ewę na stację. Co prawda martwiła się o matkę i zaproponowała, że pojedzie z nią do Kielc, ale tamta stanowczo odmówiła.

– Nic mi nie jest. Widocznie zbyt szybko wstałam, tam, w sędzie, i spadło mi ciśnienie. W moim wieku to się zdarza. Chwilę poleżałam i wróciło do normy. Przecież jestem lekarzem, więc chyba najlepiej wiem, czy dzieje się coś niepokojącego.

Jakoś nie przekonywały jej te wyjaśnienia, ale z matką trudno było dyskutować. Wiedziała, że jeżeli się na coś uprze, to żaden argument nie sprawi, że zmieni zdanie. Wymogła więc tylko obietnicę, że z dworca w Kielcach pojedzie do domu taksówką. I że zadzwoni, gdy już będzie na miejscu.

– Jeżeli nie dasz znaku w ciągu godziny, to zorganizuję ekspedycję ratunkową – zażartowała, gdy pociąg wjeżdżał na peron.

– Już ty mnie nie strasz – uśmiechnęła się Ewa. – Wiesz, że niełatwo mnie wyprowadzić z równowagi. Właśnie tego nie jestem pewna – pomyślała Tamara. – Temu Adamowi Galińskiemu jakoś dziwnie łatwo dzisiaj poszło. Bo to nie żadne ciśnienie, tylko jego widok, jestem pewna.

Oczywiście nie powiedziała głośno o swoich przypuszczeniach. Pomachała matce, która już zajęła miejsce w wagonie, poczekała aż pociąg odjedzie i wróciła do samochodu.

Kiedy przed białym domkiem zobaczyła samochód żony wójta, była nieco zaskoczona. Nie sądziła, że Małgorzata będzie chciała jeszcze odwiedzać babcię Różę. Czyżby znowu próbowała namawiać panią Zofię na fabrykę babeczek? A może wpadła na kolejny pomysł? Nie wyglądała na taką upartą.

A może jednak macza w tym palce jej mąż? – zastanawiała się Tamara, zamykając samochód. – I wysyła ją tutaj. Tylko jaki miałby w tym cel? Albo musi widzieć w poczynaniach pani Zofii jakąś korzyść dla siebie, a to mało prawdopodobne, albo chce namieszać. I raczej to drugie – stwierdziła. – Trzeba zachować czujność, bo babcie są za dobre i mogą nie wyczuć podstępów. Na szczęście jestem ja.

– Chodź, Barnaba, do domu – zgarnęła pod pachę siedzącego przy płocie kota. – Dopilnujemy, żeby

babciom nie stała się krzywda.

W takim bojowym nastroju weszła do kuchni. Szykowała się na dyskretne, ale stanowcze wybadanie intencji Małgorzaty i nie w głowie jej były jakiegokolwiek poufałości. Jednak to, co zobaczyła, zmieniło jej plany. Drewniany stół i blat kredensu zastawione były pojemniczkami, słoiczkami i półmiskami. Wśród tego wszystkiego kręciła się pani Zofia, próbując najwyraźniej zaprowadzić jakiś porządek. Natomiast babcia Róża głaskała po ręce Małgorzatę. Jak ona wygląda! – pomyślała Tamara.

Tym razem stwierdzenie, że żona wójta prezentuje się idealnie byłoby grubą przesadą. Tusz do rzęs znaczył na policzkach ciemnymi paskami drogę, którą zapewne przed chwilą spływały łzy. Na pastelowej sukience widać było kilka mokrych plam, a na dłoni zaschniętą krew.

– Co się stało?! – zapytała z przerażeniem.

Babcia Róża podniosła wzrok i popatrzyła na Tamarę.

– Małgorzata przywiozła nam kolację – odpowiedziała spokojnie. – Za chwilę razem zjemy.

– Jasne, nie ma sprawy. A ta krew? Może potrzebny jest lekarz?

Małgorzata popatrzyła na swoją dłoń takim wzrokiem, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Musiałam się skaleczyć, zbierając szkło. Rozbiłam wazon – powiedziała beznamiętnym tonem. – Ze złości rozbiłam – dodała.

Tamara jeszcze niewiele rozumiała, ale widok załamanej kobiety jasno sygnalizował, że pytania o szczegóły trzeba odłożyć na później. Teraz najważniejsze było doprowadzenie jej do względnej normalności. A skoro pocieszaniem zajmuje się babcia Róża, nie należało jej przeszkadzać. W końcu w tym nie miała sobie równych, Tamara wiedziała to z własnego doświadczenia.

– Widzę, że potrzebna tu szybka pomoc szafiarki – zażartowała. – Zaraz znajdziemy jakiś wygodniejszy ciuch, żeby na luzie usiąść do stołu.

– A kto to jest szafiarka? – zainteresowała się pani Zofia, jednocześnie otwierając jedno z plastikowych pudełek i oglądając jego zawartość.

– To taka osoba, która się zna na modzie – wyjaśniła Małgorzata. – A tam jest mozzarella z pomidorami. Zrobiłam, bo Kacper lubi... – zawiesiła głos i dokończyła po chwili – ...I zrobiłam niepotrzebnie.

– To co? Przebierze się pani? – zapytała Tamara. – Tylko ostrzegam, że ja do Jagodna zabieram wyłącznie sportowe ciuchy, więc na wieczorowe kreacje nie ma co liczyć.

– Idź, Małgosiu – zachęciła babcia Róża. – A my z Zofią tymczasem trochę tutaj posprzątamy. I przygotowujemy kolację.

Małgorzata na dźwięk słów „przygotujemy kolację” jakby nieco oprzytomniała. Rozejrzała się po kuchni, wstała i powiedziała:

– Tak, rzeczywiście chętnie się przebiorę. Wieczorowe kreacje mi się znudziły. A kolację przygotowuję sama. W końcu przyjechałam tutaj, żeby panie poczęstować, prawda? Może zbyt wiele nie umiem, ale na organizowaniu poczęstunków to akurat chyba znam się całkiem nieźle. Proszę niczego nie ruszać – zwróciła się do pani Zofii. – Zaraz wracam i wszystko zrobię.

– Dobrze, dziecko, jak chcesz – pokiwała głową gospodyni. – Ale herbatę to w tym domu parzę tylko ja.

W pokoiku urządzonego przez babcię dla Marysi żona wójta szybko zamieniła sukienkę na T-shirt i rybaczkę. Dłońmi przyglądała potargane włosy i uśmiechnęła się nieśmiało do Tamary.

– Chyba lepiej? – zapytała.

– Jeszcze wizyta w łazience i wszystko będzie OK.

– Pani Tamaro, ja przepraszam, że to wszystko tak wyszło..., że znowu tu jestem..., ale naprawdę nie miałam do kogo pójść. Wiem, nie powinnam, nie wypada tak nachodzić obcych ludzi, ale widzi pani, są takie chwile w życiu...

– Dla mnie to żaden problem. Zresztą to dom babci Róży, a skoro ona nie ma nic przeciwko temu, to tym bardziej ja. Zresztą sama trafiłam tutaj w trudnej chwili i kiedy dziś panią zobaczyłam... – Nie wiedziała, czy powinna zwierzyć się tej kobiecie, ale coś podpowiadało jej, że może to zrobić, więc dokończyła – ...to przypomniałam sobie siebie sprzed niespełna roku. Też taką...

– ...zaryczaną? – zapytała Małgorzata i obie wybuchły śmiechem.

– Skoro więc obie zalewałyśmy się łzami w tej samej kuchni, to może mówmy sobie po imieniu – zaproponowała Tamara.

– Z przyjemnością.

Małgorzata z energią zabrała się do przygotowania kolacji. Rzeczywiście szło jej sprawnie i wkrótce mogły usiąść do stołu.

– Przecież tu tego na tydzień chyba – oceniła pani Zofia. – Kto to wszystko zje?

– Jakoś panie zagospodarujecie – odpowiedziała Małgorzata. – I to z pewnością z większym pożytkiem niż koledzy mojego męża.

Z każdą chwilą czuła się lepiej w domu Róży Marcisz. Zastanawiała się, jak jej tutaj jest i najbardziej odpowiednim słowem wydawało się... wygodnie. Nie tylko w sensie stroju, ale nawet bardziej duchowo – stwierdziła. – Nie czuję się skępowana, wsadzona w niepasującą rolę. Mogę mówić to, co chcę, nikt mnie nie ocenia. Tak, jest mi po prostu wygodnie.

Opowiadała staruszkom o różnych zabawnych wydarzeniach, które zdarzały się podczas gminnych imprez, wymieniła z Tamarą kilka uwag na temat butów, które, jak się okazało, obie uwielbiają i nigdy nie mają dość. I w ogóle bardzo dobrze jej się z tą kobietą rozmawiało. Nie odnajdywała w niej tego, o czym opowiadał Kacper – sztywności, zarozumiałstwa, przesadnej pewności siebie. Widziała rówieśniczkę o podobnych zainteresowaniach, wesołą, otwartą i inteligentną. Miłe było to, że o nic nie pytała, przyjęła jej obecność naturalnie i życzliwie, chociaż przecież ich dotychczasowe kontakty można określić raczej jako mało udane. Dzisiaj było inaczej – swobodnie, przyjacielsko, jakby znały się od lat. Chętnie rozmawiałyby z nią bez końca, ale rozsądek podpowiadał, że najwyższa pora zakończyć wizytę.

– To ja może jednak resztę zapakuję? – pani Zofia wskazała na stół. – Zabierze pani dla męża.

– Mój mąż na to nie zasłużył, skoro nie miał czasu, żeby ze mną zjeść – odpowiedziała.

– Bardzo słusznie – poparła ją Tamara. – Faceci są niewdzięczni i nie ma co się dla nich poświęcać. Niech sobie pan wójt sam ugotuje.

Zostawiły babcie przy kubkach z herbatą i wyszły przed dom. Patrzyły na oświetlone okna domów, wsłuchując się w szczekanie psów.

– Jeżeli nie chcesz, to nie odpowiadaj, ale z twoich ostatnich słów domyśliłam się, że też niezbyt ci się układa z facetami? – odważyła się zapytać Małgorzata.

– A ja z twojego „też” wnioskuję, że są problemy z wójtem? Jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj – uśmiechnęła się Tamara.

Małgorzata poczuła, że ta kobieta ją rozumie. Że w jakiś sposób, jeszcze nie wiedziała jaki, ale są podobne. I że właśnie Tamara mogłaby pojąć to, co tak ją dręczy, umiałaby to przyjąć, nie zdziwiłaby się i nie potępiła.

– Czy masz jeszcze trochę siły? – zapytała.

– Zależy na co – odpowiedziała Tamara.

- Chciałabym ci coś pokazać. Tylko że to jest u mnie w domu. Oczywiście jeżeli nie masz ochoty... – Trochę się zawstydziła tej spontaniczności.
- To jedziemy twoim czy na dwa samochody? – usłyszała.
- Może na dwa? Bo nie wiem, o której wróci Kacper...
- Dopiero będzie, jak mnie u ciebie zastanie – roześmiała się Tamara. – Taka niespodzianka, chyba niezbyt miła, co?
- Jakoś to zniesie, tak myślę. Nie powiem, będzie afera, ale co tam! Raz się żyje!
- No to jedziemy? Tylko wezmę kluczyki i babciom powiem, żeby się nie martwiły, że ktoś mnie porwał.



- I po co ta nasza Tamarka gdzieś się po nocach tłucze? – Pani Zofia jak zawsze martwiła się o wszystkich. – Żeby jej się coś nie stało, nie daj Boże.
- Nie martw się, Zofio, nie jedzie daleko.
- Aż dziw, jak one się szybko dogadały z tą wójtową żoną.
- Mnie to wcale nie dziwi. Byłam pewna, że tak będzie. Są młode, mądre, wrażliwe, to i znalazły wspólny język. I obu potrzebna przyjaźń.
- Ale ta pani Małgosia to lekko nie ma – stwierdziła pani Zofia. – A nie wygląda.
- Sama wiesz, że często inaczej wygląda, a inaczej jest.
- Ano wiem. To niech tam sobie pogadają, może im od tego lepiej się zrobi.
- Od gadania to nie – uśmiechnęła się Róża. – Ale jeśli po tym gadaniu coś zrobią, to kto wie...



Tamara rozglądała się dyskretnie po salonie. W tym jednym pomieszczeniu zmieściłby się z pewnością cały domek babci Róży. Jej kieleckie mieszkanie zresztą także. Ogromna przestrzeń mieściła część jadalną i wypoczynkową, kącik z kominkiem, ogromną skórzaną sofę i fotele oraz mnóstwo mebli, luster i dywanów. A przecież w tym domu są jeszcze inne pokoje – pomyślała. – Ciekawe, jak wygląda sypialnia?

- Jakby zgadując jej myśli, Małgorzata zaproponowała:
- Może wejdziemy na górę? Tam jest nieco przytulniej. Ten salon zawsze mnie przytłacza, czuję się tu jeszcze bardziej samotna. Chyba, że wolisz tu zostać, to nie ma sprawy.
 - Właściwie to wolę mniejsze przestrzenie – uśmiechnęła się. – Najwyraźniej nie jestem przyzwyczajona do luksusów, bo czuję się nieco onieśmielona. Co nieczęsto mi się zdarza.
 - Żadne luksusy. Po prostu mnóstwo pieniędzy. Taka prawda – wzruszyła ramionami Małgorzata. – Poczekaj, wezmę coś do picia. – Sięgnęła do barku i wyjęła wino. – Może być czerwone?
 - Dla mnie to raczej żadne. Muszę przecież wrócić.
 - Racja. W takim razie dla mnie wino, a dla ciebie sok. Może świeżo wyciskany? Jak dla żony

sekretarza gminy?

– Och, niestety żaden sekretarz mi się jeszcze nie trafił, więc może być z kartonu.

Popatrzyły na siebie i parsknęły śmiechem. Małgorzacie zrobiło się jakoś lżej na duszy. Wreszcie w tym domu coś się działo, ktoś się śmiał, było jakieś prawdziwe życie.

Wprowadziła Tamarę na piętro i otworzyła drzwi sypialni.

– Oto łóżce, w którym wysypia się włodarz gminy, aby mieć siłę do codziennej wyteżonej pracy na rzecz swoich wyborców. Dobrze to ujęłam promocyjnie?

– Nieźle, chociaż takie łóżce budzi zupełnie inne skojarzenia – zachichotała Tamara. – I wcale nie ze snem związane, raczej przeciwnie.

– Tu bym się na twoim miejscu nie rozpędzała z fantazjami. – Małgorzata roześmiała się, ale oczy miała smutne i Tamara zrozumiała, że to trudny dla niej temat. Postanowiła więc go zmienić.

– Mówiłaś, że chcesz mi coś pokazać – przypomniała.

Małgorzata podała jej wysoką szklanke z sokiem, w którym pływały kawałki lodu. Sama nalała sobie pełen kieliszek wina i wypila go duszkiem. A potem kolejny. Dopiero wtedy podeszła do komody i wyjęła coś z szuflady. Rzuciła wyciągniętą rzecz na kolana Tamary.

– To szalik – oznajmiła.

– Widzę. Jakiś specjalny?

– Właśnie nie wiem. Znalazłam go kilka miesięcy temu w samochodzie Kacpra. I boję się go zapytać. To znaczy, boję się odpowiedzi. Wiesz – że dowiem się właśnie, że on jest specjalny. No, a konkretniej, że specjalna jest właścicielka.

– Podejrzewasz tylko, czy wiesz coś bardziej konkretnego? – Tamara oglądała puszystą materię i oczywiście powąchała ją. – Ładne – oceniła. – Nie znam się, ale przypuszczam, że drogie, skoro zapach tak długo się trzyma. Gdzieś już taki czułam... – zastanawiała się, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Małgorzata pokiwała głową.

– Ja się znam. Drogie. I nie moje – upiła łyk wina i potarła dłonią czoło.

Tamara zamyśliła się.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – stwierdziła po chwili. – Ale ja chyba chciałabym wiedzieć. Zawsze byłam zdania, że prawda, nawet bolesna, jest lepsza od kłamstwa. Zresztą sama tego doświadczyłam.

– I to doświadczenie skończyło się rozwodem?

– Tak – potwierdziła, bo uznała, że powinna być szczerą.

– A ja Kacpra kocham. I nie chcę rozwodu.

– Nawet jeśli cię zdradza?

– Tamara, to nie takie proste... Myślałam o tym. Nawet jeśli mnie zdradza, to dlatego, że przestałam być dla niego atrakcyjna. Wiesz, jakie on spotyka kobiety?

– No jakie? Ładniejsze, zgrabniejsze? Co ty pleciesz! – oburzyła się Tamara.

– Nie w tym rzecz. Myślę, że chodzi o coś innego. One są atrakcyjne, bo coś robią, mają władzę, odnoszą sukcesy, są wyzwaniem dla mężczyzny. A ja? Ty wiesz, co ja robię? Gdybyś wiedziała, to pewnie wyśmiałybyś mnie...

– Nie sądzę.

– A ja sądzę. Zresztą pokażę ci. Niech już będzie, jak szczerze, to do końca.

Podeszła do szafy i wyjęła dużą plastikową reklamówkę.

– Sama zobacz.

Tamara otworzyła foliowy woreczek i wyjęła jego zawartość. Z początku nie wiedziała, co to jest.

Miała w rękach coś bardzo kolorowego. Zaczęła rozkładać tę płataninę i zrozumiała, że to bardzo długi i bardzo kolorowy... szalik. Mimo niespotykanej długości nie był skończony, bo z jednej strony robótki tkwiły druty i nabity na nie kłębek pomarańczowej włóczki. Spojrzała pytająco na Małgorzatę. Ta znowu sięgnęła po kieliszek. Dopiero po drugim łyku wyjaśniła:

– W ubiegłym roku, pod koniec lata, wpadłam na pomysł, że zrobię Kacprowi szalik na zimę. Kiedyś mama uczyła mnie robić na drutach, z pomocą internetu przypomniałam sobie co i jak. Stwierdziłam, że dam radę. Wymyśliłam, że podaruję mu go podczas pierwszego wspólnego wieczoru po wygranych wyborach. Bo ja byłam pewna, że wygra. Zawsze w niego wierzyłam. Siedziałam więc i dłubałam w sekrecie. Miałam czas, bo sama wiesz, że kampania wyborcza go pochłonęła. Rzadko bywał w domu, ale ja łudziłam się, że gdy wygra, będzie lepiej.

– Rozumiem, że nie dostał prezentu?

– Nie dostał. Ja zdążyłam, on wygrał, tylko jakoś nie było tego wspólnego wieczoru. No to pomyślałam, że zrobię trochę dłuższy. A przy okazji nie będę się nudziła, czekając na niego. Dokupiłam włóczkę i robiłam dalej.

Małgorzata pociągnęła nosem i spojrzała na Tamarę.

– Zaraz znowu się rozpłaczę.

– To płacz. Jeżeli ci to pomaga...

– Nie wiem, czy pomaga. Zobaczmy. – Sięgnęła po kolorowy szalik i pogładziła go. – Po pewnym czasie zrozumiałam, że trudno będzie znaleźć okazję do wręczenia Kacprowi prezentu. A jeszcze później doszłam do wniosku, że chyba nigdy się to nie uda. Miałam go spruć, ale nie mogłam. Chyba ciągle miałam nadzieję, że może jednak... chociaż z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że to się nie uda. No ale nie mogłam przestać go robić. Za każdym razem, kiedy jechałam do Kielc, kupowałam nowe motki, ale kolor już był nieważny. Brałam to, co akurat mi się podobało. I tak robiłam i robiłam. Ty wiesz, ile tego już jest?

– Pojęcia nie mam, ale chyba kilka metrów.

– Cztery metry i trzydzieści siedem centymetrów. Dokładnie. A każdy centymetr to godzina mojego czekania na Kacpra. Tak to wygląda. Jestem żoną wójta, która zaczyna wariować. Kiedyś znajdą mnie całkiem oszalałą, owiniętą w wielometrowy szalik. Wyobrażasz to sobie? – Śmiała się i płakała jednocześnie.

Tamara zrobiła to, co poczuła, że chce zrobić. Przytuliła Małgorzatę i zaczęła uspokajająco gładzić po plecach.

– Sama powiedz – szlochała tamta – czy to nie ironia losu? Szalik, czujesz to? Ja mu robię szalik, a jakaś obca baba zostawia swój w jego aucie. Żaden scenarzysta by tego nie wymyślił. No, powiedz, mam rację?

Co mam jej powiedzieć? – myślała Tamara. – Jak jej pomóc? Jak wyrwać ją z tego dołka? Przecież tylko patrzeć, a wpadnie w depresję. Szkoda jej, bo naprawdę fajna z niej kobieta.

– I tamta pewnie nie dzierga szalików, tylko kupuje je facetowi w drogim butik w drodze z jednego spotkania biznesowego na drugie. A jemu to się podoba, bo taka przedsiębiorcza i zaradna. Nie to, co ja – gospodyni domowa bez kwalifikacji i doświadczenia. – Małgorzata popadała w coraz bardziej ponury nastrój. Znowu sięgnęła po butelkę i naląła resztkę wina do kieliszka.

– Wydaje mi się, że za bardzo się starasz. Robisz wszystko tylko dla niego, a nic dla siebie. A może ty też powinnaś stać się przedsiębiorczą i zaradną? Skoro takie mu się podobają...

– Ale jak? No jak, powiedz? Chciałam pracować, ale Kacper nie chce mi tego ułatwić. Chciałam

– pomóc pani Zofii, ale ona się nie zgadza. Nic mi się nie udaje. Mogę tylko nadal to dziergać. – Wydmuchała nos w brzeg kolorowego szalika. – Jestem pijana – stwierdziła rozbrajająco.

– Chyba tak – zgodziła się Tamara. – I najlepiej zrobisz, jak się położysz i zaśniesz. A jutro po obiedzie podjedź do mnie, to może coś wymyślimy. – Nie miała co prawda żadnego pomysłu, ale doszła do wniosku, że w tym momencie najlepiej będzie ułożyć ją do snu.

– Kochana jesteś – powiedziała Małgorzata. – I Kacper nie miał racji, wcale nie jesteś wstrętnym, zarozumiałym babskiem. Jutro mu to powiem.

– Dobrze, powiesz – zgodziła się Tamara. – A teraz postaraj się zasnąć.

Położyła Małgorzatę na poduszce, pomogła uwolnić się z rybaczek i nakryła ją kołdrą. Poczekala, aż kobieta zaśnie, a potem schowała jej robótkę i czerwony szalik do szafy. Lepiej, żeby wójt się na to nie natknął – stwierdziła.

Po drodze odniosła szklanke, kieliszek i pustą butelkę do salonu.

Naprawdę mi jej żal – pomyślała o Małgorzacie. – Przecież to inteligentna kobieta. Jak to się stało, że całkiem straciła wiarę w siebie? Co ten Kamiński z niej zrobił? Bezwolną służącą czekającą na powrót pana i władcy? – Myśląc o całej sytuacji, aż kipiała ze złości. – To już lepiej nie mieć żadnego faceta niż spędzać życie u boku kogoś takiego. Tak nie może być! Trzeba dziewczynie pomóc. I to jak najszybciej.

Już wiedziała, że będzie miała o czym myśleć przed zaśnięciem.



Malowanie znalezionej w piwnicy u matki starej półki na czerwono absolutnie nie przeszkadzało Tamarze w urzędzeniu Jankowi małego przesłuchania.

– Widziałeś coś jeszcze w tym Krakowie oprócz pubów?

– Oczywiście. Chociaż akurat nie tym razem. – Mężczyzna uśmiechnął się czarująco, czego akurat Tamara widzieć nie mogła, bo uważnie smarowała pędzlem po rzeźbionej podpórce górnej półki. Chciała zrobić Marysi niespodziankę i powiesić ją w malutkim pokoiku w domku babci.

– Byłem w Krakowie już wcześniej, więc naprawdę zobaczyłem to, co powinno się obejrzeć. Teraz to było tylko towarzyskie spotkanie.

– Jasne. Szkoda, że mnie tam nie było. Bardzo jestem ciekawa, jak wyglądasz po kilku drinkach – zażartowała.

– Nie zauważyłem, żeby po alkoholu wyrastał mi ogon czy coś podobnego – odciął się Jan. – Więc chyba nie byłabyś usatysfakcjonowana.

– A potrafisz wbijać gwoździe? Tylko równo i tak, żeby nie rozwalić od razu całej ściany.

– Oczywiście. Przecież wiesz, że odebrałem staranne angielskie wykształcenie – roześmiał się. – A dżentelmen powinien umieć także wbić gwóźdź, gdy kobieta tego potrzebuje.

Jednak poczucie humoru ma – stwierdziła Tamara. – I dystans do siebie też. Naprawdę zyskuje przy bliższym poznaniu.

– To co jeszcze potrafi dżentelmen?

– Na przykład rąbać drewno albo napalić w kominku. Ewentualnie zmienić koło lub usmażyć omlet.

– To całkiem sporo. A co w zamian powinna umieć robić dama?

– Siedzieć cicho, nie protestować i podziwiać dżentelmena rąbiącego drewno – usłyszeli za plecami

głos Marzeny. – Tak sądzę, ale pewności nie mam, bo nie znam się na byciu damą.

– Skoro mamy gościa, to ja przyniosę jeszcze jedną szklankę. Czy chcesz cytrynę do wody? – zwrócił się Jan do Marzeny, zupełnie ignorując jej złośliwą uwagę.

– Nie, dziękuję. Potrafię być wystarczająco kwaśna bez wspomagaczy – powiedziała, a gdy tylko odszedł, zwróciła się do Tamary: – Co on tutaj robi? Miał być wczoraj.

– Ale jest dzisiaj – wzruszyła ramionami kobieta. – W piątek zaszalał w Krakowie i wczoraj leczył kaca. No to przyjechał dzisiaj. Dla nas to żaden problem.

– Właśnie widzę. On chyba też czuje się już jak u siebie. Skoro mamy gościa – przedrzeźniała Jana, podkreślając słowo „mamy”.

– Daj spokój, Marzena! Lepiej powiedz, co cię sprowadza?

– Sama mnie zapraszałaś, o ile dobrze pamiętam.

– Dobrze pamiętasz i cieszę się, że przyjechałaś. Siadaj po prostu i ciesz się słońcem. Ja zaraz skończę, to odeślę Jana do wbijania gwoździ i sobie poplotkujemy.

– No to zanim skończysz, ja zabiorę leżak trochę dalej i poopalam się.

– A tutaj nie możesz?

– Jeżeli chciałabym mieć opaleniznę w liściaste wzory, to pewnie tak. Ale akurat w tym względzie jestem tradycjonalistką. Poza tym przyjechałam, żeby odpocząć na luzie, a nie myśleć o tym, czy odpowiednio ułożyłam nogi i prawidłowo trzymam szklankę.

– Szklankę w sadzie można trzymać w sposób dowolny, a zgrabne nogi są interesujące w każdym ułożeniu. – Jan wrócił i najwyraźniej usłyszał ostatnie zdanie.

– Nieco szowinistyczny komplement – stwierdziła Marzena.

– Możliwe, ale jeśli zauważyłaś, że to komplement, to i tak chyba zrobiłem postępy.

Marzena nie mogła powstrzymać uśmiechu. To mu się udało – pomyślała. Jednak nie zrezygnowała ze swojego planu i przeciągnęła leżak kilka metrów dalej.

– Pomógłbym ci, ale nie wiem, czy to nie byłoby przejawem sztywniactwa. Poza tym nie jesteśmy na randce, prawda?

– Pojętny uczeń z ciebie – stwierdziła zgryźliwie Marzena. – No i nie miałam pojęcia, że potrafisz być złośliwy.

– Tak, miło jest się lepiej poznać – pokiwał głową Jan. – Można na przykład zauważyć jakieś wspólne cechy.

– Czy wy się musicie ciągle kłócić? – wtrąciła się Tamara. – Chyba trafił swój na swego.

– A czy ty musisz wystawiać język, kiedy malujesz? – zapytał Jan. – To ci jakoś pomaga?

– Nie, to tylko pretekst. Gdybym po prostu pokazała ci język, uznałbyś to pewnie za brak ogłady – odgryzła się z uśmiechem.

– Okropne są te polskie kobiety. – Jan zrobił obrażoną minę. – Strasznie złośliwe. Ale niech żałują. Żaden poważny Anglik z zasadami nawet na nie nie spojrzy.

Roześmiali się wszyscy troje, a czerwona farba z pędzla ozdobiła malowniczymi plamkami pień najbliższej jabłoni.



Małgorzatę obudził ból głowy. Ostrożnie otworzyła oczy i w myślach podziękowała swojemu rozsądkowi, który kazał jej wybrać na sypialnię pokój od zachodu. Bo chociaż nawet niezbyt ostre światło potęgowało ból, to przynajmniej mogła powoli rozejrzeć się po pokoju.

Szkoda, że rozsądek wczoraj nie poradził mi, żebym mniej piła – pomyślała. I w tej samej chwili przypomniała sobie nocną rozmowę z Tamarą. Gwałtownie usiadła, ale ból i skurcz żołądka natychmiast zmusiły ją do przyjęcia na powrót pozycji horyzontalnej. W panice starała się zebrać myśli.

Kacper na pewno widział szalik. Oba szaliki – analizowała. – I wino. Zaraz będzie wypytywał. Co ja mu powiem? Mam się przyznać? Powiedzieć, kto u mnie był? A jeśli zainteresuje się tym czerwonym? Jeżeli go rozpozna? Nie mam siły na awantury ani na poważne rozmowy. Co ja narobiłam!

Postanowiła po cichu wstać, żeby nie obudzić męża i posprzątać ślady wczorajszego spotkania. To bez sensu – stwierdziła. – Przecież już wszystko widział. Trudno. I tak wstanę. Muszę się napić.

Podniosła się, tym razem powoli. Spojrzała na drugą stronę łóżka i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że Kacpra nie ma.

Nie wrócił – pomyślała i... poczuła ulgę. To oznaczało, że zdąży posprzątać. – Gdzie szaliki? Powinny przecież leżeć na łóżku. A może Kacper był, zobaczył to wszystko i wyszedł?

Niedosunięte drzwi szafy podsunęły jej trop. Sprawdziła górną półkę i odetchnęła z ulgą. Były tam. Oba. Dziękuję, Tamaro!

Zeszła do kuchni, po drodze zabierając z salonu butelkę i kieliszek – dowody jej chwili słabości. Teraz mąż mógł już wracać, nie zauważy niczego. No, może jeszcze powinna wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku, bo zazwyczaj nie sypia z resztkami makijażu i w T-shircie. Ale najpierw woda, dużo wody z cytryną.

Po prysznicu usiadła na tarasie, w cieniu ogrodowego parasola. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zdradzając Tamarze swoją tajemnicę. Czy się nie ośmieszyła? Czy ta kobieta na pewno nie powtórzy wszystkiego Kacprowi?

Trudno – stwierdziła w końcu. – Co się stało, to się nie odstanie. Niech się dzieje, co chce. W końcu co ja mam do stracenia?

Musiała jednak przyznać, że czuła się jakoś inaczej niż zwykle. I nie było to związane z nadmierną ilością wypitego wina. Po tabletkach ból głowy prawie ustał, prysznic ją odświeżył, ale było coś jeszcze. Jakaś ulga, jakby ciężar, który nosiła w sercu, zmalął, stał się mniej odczuwalny. Kiedy przymykała oczy, wydawało jej się, że Róża Marcisz ciągle uspokajająco gładzi jej dłoń.

Myślała też o tym, jak bardzo brakowało jej osoby, której mogłaby się zwierzyć. Nie miała żadnej przyjaciółki, nikogo, komu ufałaby na tyle, żeby mówić o najtrudniejszych sprawach. Jak to się stało, że opowiedziałam wszystko właśnie Tamarze? – zastanawiała się. – Czy to właśnie ta magia białego domku, o której kiedyś mówiła?

– Widzę, że moja pani wypoczywa – usłyszała głos męża. – Przepraszam, ale spotkanie się przeciągnęło do późna. – Usiadł na drugim fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. – Prawdę mówiąc, to trochę wypilem, więc zamiast wracać po nocy, wziąłem pokój w hotelu. Śniadanie jadłem, nie wstawaj – powiedział, chociaż Małgorzata nie zrobiła żadnego ruchu, który wskazywałby na to, że ma zamiar cokolwiek zrobić.

Dla niego to naturalne, że wraca rano, a ja bez słowa pobiegnę robić śniadanie – stwierdziła w myślach Małgorzata i nawet się nie rozzłościła. Bo zrozumiała, że jeżeli miałyby mieć do kogoś pretensje, to tylko do siebie. Jak to powiedziała wczoraj Tamarą? „Za bardzo się starasz. Robisz wszystko tylko dla niego, a nic dla siebie”. I to było stwierdzenie brutalne, ale prawdziwe.

– Napijemy się czegoś zimnego? – zapytał Kacper.

– Chętnie. Wodę i lód znajdziesz w lodówce, a jeśli wolisz sok, to są też pomarańcze – powiedziała. –

Ja poproszę wodę z cytryną.

Nie musiała patrzeć i tak wiedziała, że mąż jest zaskoczony. Nic jednak nie powiedział. Po prostu poszedł do kuchni i po chwili wrócił z napojami.

– Widzę, że zdążyłaś posprzątać – stwierdził. – Naprawdę jesteś wspaniała. Wiem, że wczoraj to wszystko wyszło tak... nieprzewidywalnie, ale cóż, nie moja wina. Może pojedziemy gdzieś na obiad po kościele? Żebyś dziś nie musiała stać przy kuchni.

– Nie idę do kościoła. Boli mnie głowa. A na obiad jedź sam, bo i tak dziś niczego nie przygotuję.

– O, widzę, że małżonka obrażona – skomentował Kacper nieco ironicznie. Czowała, że nie do końca rozumie przyczynę zmiany w jej zachowaniu i nie wie, co zrobić w tej sytuacji. – Dobrze, jak chcesz. Zasłużyłem – zdecydował się obrócić wszystko w żart. – W ramach pokuty też nie będę jadł obiadu. I spędzę z tobą popołudnie na tarasie.

– Też w ramach pokuty? – zapytała złośliwie.

Tego już było dla mężczyzny za wiele. Zdjął marynarkę i rzucił ją na oparcie ogrodowego fotela.

– Chyba najlepiej będzie, jak zostawię cię samą. Pójdę wziąć prysznic i zmienić koszulę przed mszą.

– Marynarkę powieś w szafie. – Małgorzata dziwiła się samej sobie, że stać ją na takie słowa i tak obojętny ton. A jednak mówiła to i wcale nie czuła się z tego powodu źle. Kacper nie widział jej spojrzenia, bo oczy ukryła za szklami przeciwsłonecznych okularów, mogła więc go obserwować. Patrzyła, jak stanął zdziwiony w pół kroku, obrzucił ją badawczym spojrzeniem i zmarszczył brwi. Zawahał się przez moment, ale w końcu wziął marynarkę i wszedł bez słowa do domu.

Małgorzata spokojnie sięgnęła po szklankę z wodą, upiła kilka łyków i z powrotem oparła się o miękką poduszkę. Tak, tego potrzebowała. Spokojnego dnia na tarasie. I chociaż z pozoru dotychczas miała wiele takich dni, to ten był wyjątkowy. Po raz pierwszy sama o nim zdecydowała. Świadomie odrzuciła propozycję męża, miała odwagę mu się przeciwstawić i wybrać. Tak, dokonała wyboru.

To jest to, czego mi brakowało – pomyślała. – Możliwości decydowania o sobie. Jakie to piękne – mieć wybór. I nawet jeśli Kacper będzie zły, to wcale mnie nie przeraża. Mam ochotę siedzieć i nic nie robić, więc tak będzie. W końcu nic złego się z tego powodu nie stanie. I chociaż raz nie muszę odkładać na miejsce jego marynarki. Niby nic, a jednak cieszy – uśmiechnęła się do siebie. – Zrobiłam coś dla siebie. I wcale nie było to takie trudne.



– Czy my musimy tak siedzieć jak stare baby? – Marzena miała dosyć opalania. – A jeszcze to jedzenie. Pyszne, ale ilości takie, że czuję, jak mi się odkładają na brzuchu i w boczku. Pani Zofio, doskonała z pani kucharka, ale na pani smakołykach to po miesiącu ważyłabym więcej niż hipopotam!

– A tym razem to nie ja – zaprzeczyła starszuszka. – Pani wójtowa nam wczoraj przywiozła. Tyle, że jemy i jemy, a jakby nie ubywało. Aż żal patrzeć, bo się zmarnuje.

– Ja nic więcej nie zjem, od razu mówię – zastrzegła Marzena. – Ale swoją drogą, to ciekawe. Wójtowa was zaopatruje? I to od razu w gotowe dania?

– Taki jednorazowy wypadek – ucięła temat Tamara. Nie chciała plotkować o Małgorzacie, czułaby się

z tym źle.

– Że też moim znajomym nie przydarzają się takie wypadki – westchnęła Marzena. – Ale tak czy inaczej, warto byłoby spalić te przyjęte kalorie. Tamara, co powiesz na spacer?

– A może pójdziemy do dworku? – włączył się do rozmowy Jan. – I tak idę odwiedzić ciotki, więc chętnie was z nimi poznam.

– Może być i do dworku, byle już nie siedzieć, bo przez wzgląd na eleganckie towarzystwo nie powiem, co mnie już boli. – Marzena jakoś nie potrafiła powstrzymać się od złośliwości wobec mężczyzny.

– Skoro już idziecie, to może weźmiecie trochę tych zapasów dla hrabianek? – zaproponowała babcia Róża, podnosząc głowę znad robótki. – Zawsze to lepiej się podzielić niż wyrzucać.

– Sam nie wiem... – zawahał się Jan. – Ciotki są takie... Nie chciałbym ich urazić.

– Rzeczywiście! – oburzyła się Marzena. – Też mi uraza! Ktoś ci przynosi pyszności, nie musisz gotować – przecież to powód do radości, a nie fochów.

– Nie wiesz, jakie one są – tłumaczył Jan.

– To się dowiem – skwitowała Marzena. – Pani Zofio, idziemy pakować. A wy się zbierajcie, za dziesięć minut zbiórka przy furtce.

– Czy ona zawsze jest taka energiczna? – Jan z podziwem pokręcił głową. – Po prostu nie sposób się jej przeciwstawić.

– Rzeczywiście, potrafi być stanowcza. Ale uwierz, to naprawdę miła dziewczyna. A te złośliwości to taka poza wobec świata. Żeby ukryć wrażliwość. – Tamara patrzyła z uśmiechem na koleżankę, która gestykulując, tłumaczyła coś pani Zofii.

– To ciekawe, co mówisz... – zamyślił się Jan. I dodał po chwili:

– No, ale chyba powinniśmy naprawdę już iść, bo jeszcze spóźnimy się na tę zbiórkę przy furtce i awantura gotowa.

– Ja nie idę – oznajmiła Tamara. – Nie chce mi się. Niewiele dziś spałam i chętnie odpocznę jeszcze przed wyjazdem. Idźcie sami.

– Ja z Marzeną?

– Nie bój się, przecież cię nie zje – roześmiała się Tamara.

– Wiem, ale zadowolona nie będzie.

– Tego to nigdy nie wiadomo – powiedziała babcia Róża. – Dopóki się nie sprawdzi.

Jan popatrzył na staruszkę, a ta uśmiechnęła się tak, jak tylko ona potrafiła. Ten uśmiech dodał mężczyźnie odwagi.

– Dobrze, zaryzykuję – zdecydował. – Ale jak to się skończy, to nie wiem...

– Pożyjemy, zobaczymy – odparła Róża.

– Najwyżej twoje kości zostaną ogryzione przez wilki – parsknęła Tamara.

– Tutaj nie ma wilków – uśmiechnęła się babcia.

– No to jedna wersja zdarzeń przynajmniej odpada. Cóż, idę. Życzcie mi szczęścia.

Tak, jak przewidywał, Marzena nie była zachwycona.

– Trudno – powiedziała.

Jan bez słowa podniósł przygotowaną przez panią Zofię siatkę, w której oprócz potraw Małgorzaty znalazło się jeszcze miejsce na babeczki z malinami.

– Daj jedno ucho – powiedziała Marzena.

– Nie trzeba. Sam wezmę.

– Znowu się upierasz?

– Ja? Ja się upieram? To ty ciągle chcesz, jak to się mówi? O, postawić na swoim. Tak ci bardzo przeszkadza, że nie będziesz musiała nosić ciężkiej torby?

– Nie przeszkadza. – Marzena była trochę zdziwiona wybuchem Jana. – Ale nie musi mnie nikt wyręczać. Potrafię sobie poradzić.

– A czy ja w to wątpię? Wcale nie. I dobrze wiem, że mogłabyś to zrobić. Tylko powiedz mi po co? Ja mam po prostu więcej siły i ochotę, żeby to zrobić. Nie mówiąc już o tym, że to dla moich ciotek. Czy to jakaś ujma na twoim kobiecym honorze, jeżeli pozwolisz mężczyźnie, żeby ci pomógł? Naprawdę to takie złe? – popatrzył jej prosto w oczy.

– Właściwie to chyba nie. – Nie wytrzymała błękitnego spojrzenia i spuściła wzrok. – Może nawet miłe, ale...

– Nie ma tutaj „ale”. Idziemy.

I poszli. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Marzena zastanawiała się nad tym, co powiedział Jan i właściwie nie potrafiła odpowiedzieć sobie, czy podoba jej się to nieco inne oblicze Jana, które przed chwilą zobaczyła. Z pewnością pokazał, że potrafi być stanowczy. Zdecydował i już. Potrafił też się zdenerwować, co więcej – okazał to.

Jednak jest człowiekiem – stwierdziła. – A nawet bardzo męskim człowiekiem. I dał mi odczuć, że jego cierpliwość ma swoje granice. Tylko czy mnie się to podoba? Bo jak widać, cała ta grzeczność i powściągliwość to tylko maska, tak na pokaz. Jeszcze chwila i okaże się, że cały ten John niczym nie różni się od wszystkich znanych mi facetów. Na początku czarująco, miło, restauracje i kolacje, a potem złośliwość, nerwy i tylko jedna racja – nic nowego. Tacy już oni są, jak widać, nawet w Anglii – westchnęła.

– Zaraz będziemy na miejscu – poinformował Jan. – Jak widzisz, zdążyłem już poznać trochę okolicę. Co prawda jest tu podobno skrót leśną ścieżką, ale wolę iść tą drogą, którą jeżdżę.

– Rozumiem, ja też nie przywykłam do lasu i boję się, że zgubię drogę.

– No to mamy kolejną wspólną cechę – zauważył mężczyzna.

– Na to wygląda – przytaknęła.

Napięcie zelzało. A po kilku minutach oczom Marzeny ukazała się polana i dworek hrabianek.

– Jak w bajce! – zachwyciła się. – Czarodziejski domek w środku lasu, który znajdują tylko nieliczni...

– ...i znikają tutaj na zawsze.

– Twoje zakończenie to raczej horror, a ja myślałam o czymś bardziej romantycznym – roześmiała się Marzena. – To naprawdę malownicze miejsce. Wygląda nawet lepiej, niż to sobie wyobrażałam.

– Niech się tak nie wydiera, bo wszystkie ptaki spłoszy – usłyszeli nieoczekiwanie tuż za plecami.

– Ciociu Zuzanno, to moja znajoma, Marzena. Marzeno, poznaj moją ciocię – hrabianka Zuzanna Leszczyńska – dokonał prezentacji Jan.

Marzena nie wiedziała, co robić. Czy powinnam dygnąć, czy jak? – myślała. – W ogóle nie wiem, jak się zachować przy takiej prawdziwej arystokratce.

Na szczęście wyglądało na to, że panna Zuzanna nie czeka na żadne dowody szacunku. Ledwie spojrzała na Marzenę, odwróciła się i rzuciła przez ramię:

– Julia jest w różanym ogrodzie. Niech tam idą. Ja nie mam czasu na gadanie. Kronos! – zawołała i natychmiast przy jej nodze pojawił się duży pies. – A to, co przyniósł, niech postawi na ganku. Później zobaczę, co znowu naznosił bez potrzeby.

– No to masz ciąg dalszy swojej bajki – wyszeptał Jan do ucha Marzeny.

– Ostra kobieta – oceniła.

– Zupełnie jak ty.

– Sugerujesz, że tak będę wyglądać za kilkadziesiąt lat? – udała oburzoną.

– Skąd! Przecież ty zawsze będziesz mieć rude włosy.

– No wiesz! Tylko taką różnicę przewidujesz?! Chyba powinnam się obrazić. Czy damy mogą się obrażać?

– Oczywiście. Wtedy nic nie mówią – wyjaśnił Jan, starając się zachować powagę.

– No to ja rezygnuję z obrażania – roześmiała się Marzena.

Nigdy bym go nie posądzała o takie poczucie humoru – pomyślała.

– To pokaż mi ten ogród różany i drugą ciotkę. Może jednak uda nam się przejść z horroru do romantycznej bajki – zarządziła.

Udało się i to nadzwyczaj dobrze. Nie mogła powstrzymać zachwyty na widok białego namiotu, różanych krzewów i żeliwnych mebli. Panna Julia idealnie tu pasowała, wyglądała jak dobra wróżka z siwym kokiem, spokojnym głosem i sympatycznym spojrzeniem. Marzena starała się zachowywać jak najlepiej, nie chciała, żeby Jan musiał się wstydzić przed arystokratyczną ciotką, że przyprowadził jakąś nieobytą znajomą. Przez te starania niewiele mówiła, bo bała się, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa. I w tej chwili zazdrościła Janowi, że potrafi być tak naturalnie uprzejmy. A ona nie zjadła nawet jednej babeczki z obawy, że nakruszy. Patrzyła, jak panna Julia, mimo podeszłego wieku, zjada ciastko, nie upuszczając nawet jednego okruszka, a Janowi podczas nalewania ciotce herbaty nie upadła ani jedna zdradziecka kropelka.

Przez te obserwacje popadła w ponury nastrój. Czowała się prymitywna, niewychowana, prostacka.

– Coś się stało? – zapytał Jan w drodze powrotnej. – Mam wrażenie, że posmutniałaś. Nie podobało ci się u ciotek?

– Mnie się podobało, ale im chyba nie.

– Nie rozumiem. Odniosłem inne wrażenie. Ciotka Julia wyglądała na zadowoloną.

– Ciekawe z czego – wzruszyła ramionami Marzena.

– Na przykład twoje uwagi o architekturze dworku były interesujące. Widać, że się na tym znasz.

– E tam, po prostu uczyłam się historii sztuki i tyle. Nie musisz mnie pocieszać.

Jan przystanął i chwycił Marzenę za ramię.

– Poczekaj. Powiedz mi, co się stało. Tylko nie mów, że nic, bo widzę.

– Naprawdę było w porządku. To raczej ja...

– Co: ty?

– No, ja. Nie nadaję się na damę – wypaliła. – Nie pasuję do dworków, hrabianek i dżentelmenów. Jestem zwyczajna, może nawet pospolita. – Spojrzała na zdziwionego Jana i zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. – Słuchaj, John, czy możemy udawać, że nie było tej rozmowy? Proszę cię, nie, ja żądam, żebyś nie komentował już, nie pytał i w ogóle nic nie mówił na ten temat. Nie było sprawy. Czy to jasne?

– Jak sobie życzysz. Chociaż...

– Nie! Skończyłam i nie ma tu nic do dodania. W ogóle to dziękuję za spacer, miło mi było poznać twoje ciotki, wiele się dzisiaj dowiedziałam i nauczyłam. Warto było. To wszystkie formułki, jakie potrafię wygłosić na ten temat. Koniec.

I poszła szybkim krokiem w stronę Borowej. Jan jej nie gonił. Szedł nieco wolniej, zachowując dystans. Patrzył na szczupłą sylwetkę kobiety, obserwował, jak co chwilę przeczesuje palcami rude,

sterczące włosy, odróżniał wśród śpiewu ptaków dźwięczenie jej bransoletek, gdy podnosiła rękę. I zastanawiał się, dlaczego właściwie ma ochotę jeszcze ją zobaczyć. Bo w jednym musiał przyznać jej rację – do wizerunku angielskiej damy to ona zupełnie nie pasowała. Tylko jakie to miało znaczenie i dlaczego było dla niej takie ważne?



Tak naprawdę Tamara została nie tylko dlatego, że była zmęczona. Chociaż rzeczywiście czuła niewyspanie, to nie aż tak bardzo, żeby nie móc przejść kilku kilometrów. Jednak zależało jej na tym, żeby porozmawiać z babcią Różą. Planowała, że zrobi to rano, ale wstała później niż zwykle i zaraz potem pojawił się Janek. A przy nim nie chciała podejmować tematu Małgorzaty.

Teraz warunki były odpowiednie, ale dla odmiany nie wiedziała, jak zacząć. Siedziała zamyślona nad kubkiem herbaty i zastanawiała się, co słyhać u Gosi. Pół nocy próbowała znaleźć sposób, żeby jej pomóc, ale w końcu doszła do wniosku, że nie chce ingerować w jej związek z wójtem.

To bez sensu. Akurat ja jestem chyba najmniej odpowiednią osobą do udzielania porad małżeńskich – stwierdziła, gdy już się rozwidniało. – Sama nie potrafiłam ani dobrze wybrać, ani utrzymać związku. A potem żadnego stworzyć. No to co ja mogę na ten temat wiedzieć?

Narastała w niej złość na Kamińskiego. Nie lubiła go od pierwszej chwili, ale teraz to uczucie się spotęgowało. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby doprowadzić drugą osobę do takiego stanu? Przecież Małgorzata zupełnie straciła poczucie własnej wartości, stała się służącą własnego męża i nawet jeżeli przychodziło jej do głowy, że coś jest nie tak, to winę przypisywała wyłącznie sobie. Najchętniej poradziłaby jej, żeby odeszła od takiego mężczyzny, ale przecież Małgorzata powiedziała, że go kocha.

Teraz też zastanawiała się, co robić.

– Co ty tak ciężko wzdychasz? – wyrwał ją z zamyślenia głos babci. – Żal ci spaceru? Mogłaś przecież iść.

– Mogłam, babciu, ale nie chciałam.

– Czy mi się wydaje, czy masz jakiś plan wobec tamtych dwojga?

– Plan? – zdziwiła się, bo nie wiedziała, o co może chodzić babci.

– Mnie też to tak wyglądało, jakbyś się w swatkę chciała zabawić – poparła Różę pani Zofia.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło! Przecież oni się raczej nie lubią – pomyślała o Janie i Marzenie. – I w ogóle do siebie nie pasują.

– A do ciebie Jan by pasował? – zapytała Róża.

– To już chyba kiedyś ustaliłyśmy. Nie interesuje mnie Janek. A przynajmniej nie w tym sensie, jaki sugerujecie.

– To znaczy, że nie zazdrosna. – Zofia spojrzała porozumiewawczo na Różę.

– Ja? Zazdrosna?

– Co cię w takim razie martwi? – Babcia Róża chyba uznała, że zdziwienie Tamary jest prawdziwe. – Bo jeśli nie to, że oni mają się ku sobie, to co?

– Teraz to mnie naprawdę zaskoczyłyście. Marzena i Janek? Przecież oni się ciągle kłócą, a Marzena to nawet na jego wspomnienie się denerwuje. Uważa, że jest sztywny, a on powiedział, że Marzena jest zbyt, no... żywiłowa.

– Co innego ludzie mówią, a co innego myślą – filozoficznie stwierdziła Zofia. – A jeszcze co innego widać.

– Mądrze mówisz, Zofio – zgodziła się Róża.

– Też mi odkrycie. Na mój gust, to głównie odnosi się do mężczyzn. – Tamara upiła łyk wystygłej herbaty i skrzywiła się. – Chyba wyleję i zrobię sobie kawę.

– A dlaczego mężczyzn? Który to ci tak załazł za skórę? Bo chyba nie Jaś? – zainteresowała się babcia Róża.

– Ostatnio to najbardziej wójt. Z nim jest właśnie dokładnie tak, jak powiedziała pani Zofia. Gębę ma pełną gładkich frazesów na każdą okazję, chwali życie rodzinne swoje i w ogólności, a we własnym domu żonę traktuje jak podkuchenną. Tylko że tego nie widać, bo sprytnie się ukrywa, cwaniaczek!

– O, mój Boże, co ty, Tamarko, opowiadasz? Nasz wójt? Przecież to taki miły człowiek!

– Właśnie o tym mówię – zaperzyła się Tamara. – Wszyscy powiedzą, że miły, tylko nie jego żona. Kobieta, która od lat go wspiera i robi wszystko, żeby mógł realizować swoje ambicje. Czy to nie obłuda? A biedna Małgorzata mimo to go kocha. I to jest ta różnica między kobietami a mężczyznami. One kochają, są gotowe do poświęceń, a oni mają pięknymi słówkami, a gdy tylko poczują się pewnie, wtedy pokazują prawdziwe oblicze.

– Widzę, że postępowanie wójta rozciągnęłaś już na wszystkich mężczyzn, ale... – zaczęła babcia Róża, lecz Tamara nie pozwoliła jej dokończyć.

– Zaraz mi babcia powie, że nie każdy taki jest. Tylko że trudno w to uwierzyć. Przynajmniej mnie. – Wstała i zaczęła nerwowo krążyć po kuchni. – Bo jeżeli babcia ma rację, to najwyraźniej mam strasznego pecha. Zawsze trafiam na takich beznadziejnych. Każdy, naprawdę każdy, zachowuje się dokładnie tak, jak Kamiński. Różnie się to objawia, ale zasada jest ta sama: najpierw pięknie, ładnie, a potem wychodzi szydło z worka. Leszek był identyczny, na szczęście się od niego uwolniłam. Potem po latach dałam się nabrać po raz drugi, a śliczny Dominik stchórzył przy pierwszym problemie. Dalej był wielce pomocny leśniczy, który... – zamilkła, bo przypomniała sobie, że staruszki nic nie wiedzą, więc dokończyła szybko – ...szkoda gadać. Więc mam chyba prawo przypuszczać, że trudno o tyle wyjątków. A w takim razie to wygląda na regułę. – Opadła na krzesło. – I nawet się specjalnie nie zdziwię, jeżeli nasz Janek okaże się taki sam. – Na podkreślenie ostatnich słów stuknęła kubkiem o blat, aż krople herbaty rozprysły się na serwetce. – Przepraszam – zawstydziła się. – To ze zdenerwowania.

Babcia Róża ze spokojem słuchała wywodu Tamary. Pozwoliła jej skończyć i dopiero wtedy powiedziała:

– Przejęłaś się Małgosią, bo macie podobny problem.

– Masz rację, przejęłam się. I chciałam cię zapytać, jak jej pomóc. Bo jakoś nie mogę nic sensownego wymyślić. I to mnie wkurza chyba najbardziej.

– Niepotrzebnie się denerwujesz. Nic dziwnego, że nie potrafisz znaleźć sposobu. Po prostu nie możesz jej pomóc.

– Jak to? Myśli babcia, że ona tak musi żyć?

– Tego nie powiedziałam. Uważam tylko, że ani ty, ani ja, ani nikt inny jej nie pomoże. Bo każdy sam odpowiada za swoje życie. Także Małgosia. I tylko ona może sobie pomóc. Zresztą tylko ona wie, jak to zrobić i czego jej tak naprawdę trzeba.

– To mamy patrzeć i czekać? Na co?

– Najpierw na to, aż zbierze siły. Potem – aż znajdzie sposób, a na koniec – aż się odważy. Sama przecież wiesz, jak to jest, prawda? Ty też musiałaś sama zauważyć, co się dzieje, sama zdecydować

i zrobić, co trzeba, żeby się uwolnić. I wiesz, że to trudne, wiesz, ile wymaga wysiłku i odwagi. Nie wszystko da się zrobić od razu.

– Tylko ile to potrwa?

– Tyle, ile trzeba. Niczego na siłę przyspieszyć się nie da.

– Jakoś mi trudno tak biernie czekać i nic nie robić... Polubiłam ją.

– A kto ci każe czekać?

– Sama babcia powiedziała, że nie możemy jej pomóc.

– Ale możemy jej pokazać, że ją rozumiemy. Ty możesz pokazać, że ją lubisz. Można wysłuchać, razem pomilczeć...

– Albo pogłaskać po rękę? – Tamara pokiwała głową na znak, że rozumie.

– A z tymi mężczyznami to ja bym jednak tak nie uogólniała – uśmiechnęła się babcia Róża. – Zaufaj mojemu doświadczeniu i uwierz, że są też inni. Sama takich znam.

– No chyba babcia nie myśli o tym nieodpowiedzialnym typku, który tu jadał, a potem zniknął bez słowa i nie daje znaku życia?

– Ciekawe, dlaczego pomyślałaś akurat o Łukaszu. – Badawcze spojrzenie babci sprawiło, że Tamara się zarumieniła.

– Naprawdę, proszę, niech babcia nie zaczyna, bo ja dzisiaj nie jestem w nastroju. Pomyślałam, bo to jedyny facet, jakiego tutaj spotykałam. I akurat on modelowo pasuje do kolekcji tych, o których mówiłam. Jego to nawet rodzina szuka, jak zauważyłam. Nawet nie będę rozwijać tego tematu, żeby się już bardziej nie zdenerwować. Ciśnienie mi się już tak podniosło, że zrezygnuję z tej kawy. I będę się już zbierać, muszę jechać do domu i przygotować się na jutro do pracy.

– To ja ci zapakuję te zamówione babeczki – powiedziała pani Zofia. – I dla Marysi też upiekłam, bo przecież jutro wraca.

– Dziękuję. I przepraszam, ale naprawdę bardzo mnie to wszystko poruszyło. – Spojrzała na babcię Różę. – Wiem, że nie powinnam się tak zachować, ale to takie...

– Wiem, dziecko – kiwnęła głową staruszka. – Nie gniewam się.

Tamara odetchnęła z ulgą. Nie chciała wyjeżdżać z poczuciem, że zachowała się źle wobec staruszek. Na szczęście one wszystko rozumieją – pomyślała.



– Wiesz, jaki to ma potencjał? – trajkotała Marzena w drodze do Kielc. – Ty w ogóle tam byłaś? Widziałaś?

– Nie. – Tamara nie miała ochoty na rozmowę.

– No to żałuj. Ja co prawda też nie zostałam zaproszona do środka, ale już to, co widziałam z zewnątrz, dało mi pewien ogląd. Ten dworek musi mieć co najmniej z sześć pokoi. Nie wiem, jak tam poddasze, ale jeżeli ma ze dwa metry wysokości, a wszystko na to wskazuje, to też nadawałoby się do adaptacji. Jak myślisz?

– Może.

– Czyli zgadzasz się ze mną? – Ucieszyła się, nie zauważywszy nawet nastroju koleżanki. – I tak pomyślałam, że gdyby w to włożyć trochę grosza, to byłoby istne cacuszko. Miałam, chyba w ubiegłym

roku, taką fuchę. Pomagałam w projekcie aranżacji wnętrza podobnego dworku. Wyszło cudnie. Fakt, że spora inwestycja, ale...

– Nie wydaje mi się, żeby hrabianki miały środki na inwestycje, skoro brakuje im nawet na karmę dla psa.

– Rzeczywiście, masz rację. – Rzeczowa uwaga Tamary nieco ostudziła zapał Marzeny. – Szkoda. Bo taka posiadłość w lesie to jak marzenie.

– Twoje?

– A co ty taka zgryźliwa? – Marzena przyjrzała się uważniej koleżance. – Masz pretensje, że poszłam z Johnem bez ciebie?

– Następna się uparła, żeby mnie doprowadzić do pasji. Czego wy wszyscy ode mnie chcecie?! Ile razy mam udowadniać, że nie jestem wielbłądem?! Nie in-te-re-su-je mnie Janek! Czy jasno się wyrażam?

– Bardzo jasno. I bardzo głośno – odpowiedziała Marzena urażonym tonem.

– Sorry – zmitygowała się Tamara. – Miałam wczoraj ciężki wieczór i jestem trochę rozbita.

– Jasne, nie ma sprawy. Trzeba było normalnie powiedzieć, że nie masz ochoty gadać.

– Szczerze mówiąc, to nie mam. Ale do jutra się pozbieram i chętnie wysłucham wszystkiego o tych hrabiankach.

– W takim razie teraz zamilknę, ale trzymam za słowo i jutro będziesz musiała mnie słuchać co najmniej pół godziny. Uważnie i bez przerwy. OK? – Marzena nie potrafiła długo się gniewać.

– Dobra, wchodzę w to – uśmiechnęła się Tamara. – Naprawdę trudno ci się przeciwstawić, Janek miał rację.

– John tak powiedział?

– Miałaś milczeć – przypomniała koleżance.

Marzena zamilkła więc, ale obiecała sobie, że pierwsze, co jutro zrobi, to powtórzy to pytanie, gdy tylko zobaczy Tamarę.



Miarowe stukanie kół po torach uspiło większość pasażerów. Marysia siedziała z głową opartą o ramię Kamila i nie otwierała oczu, dopóki miarowy oddech chłopaka nie dał jej pewności, że i on zapadł w drzemkę. Dopiero wtedy podniosła powieki i spojrzała na jego twarz.

Podobało jej się to, co widziała. Miała ochotę przejechać delikatnie palcem po zarysie szczęki, ale bała się, że nawet lekki dotyk go obudzi. A tego nie chciała. Wolała spokojnie popatrzeć. Bo tak normalnie to nadal starała się unikać patrzenia na Kamila, a zwłaszcza tych momentów, gdy ich spojrzenia się spotykały.

Wyjazd był bardzo udany. Sporo zwiedzili, całe dni spacerowali, wspólnie jedli. Wysłali nawet pocztówki do rodziców Kamila, jej mamy i babci Ewy. Chcieli też do Borowej, ale nie pamiętała numeru domu, a adresu hrabianek w ogóle nie potrafili określić, więc kupili pocztówki, wypisali i zdecydowali, że wręczą je osobiście.

– Kto teraz wysyła kartki? To takie staromodne – śmiała się Marysia. – Nie lepiej puścić MMS-a?

– No to będziemy staromodni – odpowiedział Kamil. – Zresztą może naprawdę jesteśmy? Nawet znajomych mamy staromodnych. Bo jak ty chciałabyś wysłać MMS-a do babci Róży czy hrabianek?

Musiała przyznać mu rację. I wyglądało na to, że to dotyczy nie tylko pocztówek z wakacji. Bo czy to nie było dziwne, że pojechała z chłopakiem na wakacje, a spali u jego ciotki i to w osobnych pokojach? Gdyby powiedziała to dziewczynom w szkole, to miałyby ubaw przez co najmniej tydzień. A Marysi to nie przeszkadzało. Szczególnie osobne pokoje były jej bardzo na rękę. Dobrze pamiętała, że kiedy Kamil zaproponował wspólne wakacje, to w pierwszej chwili chciała odmówić. Bo bała się tego wspólnego spania, no i wiadomo... no tego, co się z tym wiąże. Chciała i nie chciała jednocześnie.

Przecież nie jesteście parą – tłumaczyła sobie. – Tylko przyjaciółmi. A po Oskarze to mam dość chłopaków i... no dość i już.

Ale z drugiej strony dziwiła się, że Kamil tak łatwo się z tym godzi. Czy ja mu się nie podobam? – zastanawiała się. – Coś ze mną nie tak? A może z nim?

Chyba naprawdę jesteście staromodni – pomyślała teraz. Bo już wiedziała, że jednak mu się podoba i z obydwójgiem wszystko jest w porządku. Wiedziała od chwili, kiedy pod fontanną Neptuna, w środku dnia i wśród tłumu ludzi stało się coś takiego... Sama nie wiedziała jak i dlaczego, ale niespodziewanie popatrzyli na siebie, ich twarze zaczęły się zbliżać, aż wreszcie usta połączyły się w pocałunku. A ona wcale się nie opierała, nie bała się i było jej tak dobrze, lekko i przyjemnie, że aż dostała gęsiej skórki.

A potem nic nie musieli mówić ani wyjaśniać, bo wiadomo było, że już nie są przyjaciółmi. Stali się parą. On jej chłopakiem, ona jego dziewczyną. I to było bardzo fajne.

Od tamtej chwili chodzili, trzymając się za ręce albo objęci. Były też kolejne pocałunki i każdy równie cudowny. Zrozumiała też, co oznacza powiedzenie o motylach w brzuchu. Kolejne dni mijały tak szybko i były takie szczęśliwe...

A teraz wracali do domu. Marysia czuła się tak, jakby ktoś wyrwał ją z pięknej bajki i na powrót, siłą, wcisnął w rzeczywistość. Martwiła się. Wiedziała, że za dwa tygodnie skończą się wakacje i pójdzie do nowej szkoły, ale to akurat był najmniejszy problem. Dużo większym było to, że za półtora miesiąca Kamil zacznie studiować. Dostał się na wymarzony kierunek i miał wyjechać do Krakowa. Co prawda mówił, że będzie przyjeżdżał w każdy weekend, ale i tak czuła niepokój.

Jest taki mądry – myślała, patrząc na profil chłopaka. – I przystojny. Na pewno wiele dziewczyn zwróci na niego uwagę. A jeśli jemu któraś spodoba się bardziej ode mnie? Przecież ze mnie żadna piękność, co tu kryć, takich jak ja jest wiele. I jeszcze więcej ładniejszych i mądrzejszych.

Tak, wiedziała, że są telefony i internet. Tłumaczyła sobie, że do tej pory to wystarczało. Nigdy wcześniej nie czuła żadnego zagrożenia dla ich znajomości. Dlaczego więc teraz się boi?

Jasne, ale wtedy byliśmy po prostu znajomymi. Mogliśmy się spotkać albo nie. Nie zależało mi tak bardzo – rozmyślała, przymknąwszy oczy. – A teraz jesteście parą. I powinien być mi wierny. Tylko czy on też tak uważa? Czy traktuje mnie poważnie?

Wiedziała, że najlepiej byłoby o tym porozmawiać, ale na samą myśl o podjęciu tego tematu czuła chęć ucieczki. O co miałyby zapytać? Czy jej nie zdradzi? Czy mu zależy? Albo czy ją kocha? Takie pytania wydawały jej się bardzo poważne i nie wiedziała, czy w ogóle można je zadawać chłopakowi. A co, jeżeli nie zechce odpowiedzieć? Albo obróci wszystko w żart? Nie chciała wyjść na idiotkę ani pokazać, że tak bardzo jej zależy. Przecież nie wypada się narzucać.

Trudne to było. Marysia czuła się zagubiona i niepewna. Co prawda Kamil zachowywał się wspaniale, był miły, dbał o nią, trzymał za rękę i obejmował, ale przecież kiedyś podobnie robił Oskar, a potem... Niby Kamil był inny, ale może to tylko jej się tak wydaje. Czy znowu sobie nie wyobraża czegoś, co nie istnieje?

Miała ochotę z kimś o tym wszystkim porozmawiać, ale nie bardzo wiedziała z kim. Straciła właściwie

kontakt z koleżankami, zresztą i tak nie wyobrażała sobie, że mogłaby z którąś rozmawiać o takich sprawach. Dla nich wszystko było proste, nie zastanawiały się nad niczym. Albo też o tym nie mówiły. Tego Marysia nie wiedziała, ale i tak żadna z nich nie wydawała się odpowiednia do takich zwierzeń.

Dziewczyna powoli podniosła głowę i popatrzyła za okno. Przejeżdżali przez jakąś miejscowość i przez chwilę obserwowała migające za szybą światła latarni i samochodów. Z każdą minutą zbliżali się do Kielc, a Marysia, zamiast cieszyć się z powrotu, pomyślała, że chciałaby zatrzymać czas i pozostać na zawsze tutaj, w tym przedziale. Żeby do końca świata przytulać się do Kamila, opierać głowę na jego ramieniu i patrzeć, jak śpi. Pozostać w tej magicznej chwili, w której jeszcze pamięta się i czuje całe to szczęście, a nie trzeba stawiać czoła przyszłości.

Niech ta podróż nigdy się nie skończy – pomyślała, chociaż wiedziała, że jej życzenie nie może się spełnić. I chyba właśnie wtedy Marysia zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że jest zakochana i że w życiu nie zawsze jest lekko i przyjemnie.

– Gdzie jesteście? – zapytał zaspanym głosem Kamil.

– Nie wiem.

– Chodź tutaj, przytul się i śpij. – Przygarnął ją ramieniem i okrył swoją kurtką. – Żebyś mi nie zmarła. Przytuliła się, ale wiedziała, że nie zaśnie.



– Nikt o mnie nie pytał? – Tamara wpadła zdyszana do pokoju.

– Masz szczęście, bo Sexy Doll od dzisiaj na urlopie.

– Rzeczywiście, całkiem zapomniałam. Czyli szefa też nie będzie?

– No raczej. Plotka mówi, że wyjechali nad morze.

– Gdziekolwiek są, niech tam zostaną. – Tamara wyjęła lusterko i przejrzała się. – Cud, że mi makijaż nie spłynął. Już tak gorąco, a co będzie dalej? Po prostu nie mam siły. Masz jakąś wodę?

– Co ty dziś taka zalatana już o poranku? Zaspałaś?

– Skąd! Odbierałam młodych z pociągu. Zanim rozwiozłam po domach, to zeszło. A potem, jak na złość, Warszawska się przykorkowała. Czy ci ludzie nie mogliby wyjechać na wakacje? Jak można siedzieć w mieście w taki upał!

– No co ty powiesz? – roześmiała się Marzena. – W takim razie co ty tutaj robisz?

– Myślę o piątku – odpowiedziała z rozbijającą szczerością. – Co nie oznacza, że nie pamiętam o wczorajszej obietnicy. Daj mi tylko kilka minut, zrobię sobie kawę i zaraz potem z uwagą wysłucham twojej relacji ze spotkania z hrabiankami. Czas mamy nieograniczony, bo skoro nasz strażnik brązowieje nad brzegiem Bałtyku, to i nam się chyba należy chwila lenistwa, co?

– Popieram koleżankę w całej rozciągłości. – Marzena podchwyciła żartobliwy ton. – I z tego, co zauważyłam, reszta zespołu również. Graficy wymyślają właśnie przepisy na zimne drinki, a dziewczyny z księgowości zrobiły konkurs na to, która podciągnie wyżej spódnicę bez pokazywania bielizny.

– Ciekawe. A jak one to mierzą?

– Z tego, co słyszałam, to od pępka do dolnego brzegu spódnicy.

– Czyli skrupulatnie przemyślane, jak na księgowość przystało – parsknęła śmiechem Tamara. – Naprawdę ten upał robi dziwne rzeczy z ludźmi.

– Ty chyba jeszcze naprawdę dziwnych nie widziałaś. Ja, jak wczoraj huknęła na mnie panna Zuzanna, to myślałam, że zawału dostanę. A jaki miała kapelusz! Królowa brytyjska by się nie powstydziła takiego ronda. A do tego...

– Moment, chwilka, poczekaj – przerwała jej Tamara. – Mówiłam, że najpierw kawa. Tobie też przynieść?

– Poproszę. I zerknij przy okazji, czy graficy przeszli już od teorii do praktyki. Bo mam jedną malutką rzecz do konsultacji, tylko nie wiem, czy zdążę, zanim złamią regulamin pracy.



Ewa nie miała żadnych konkretnych planów. Co prawda dzwoniła Krysia z pytaniem, czy miałyby ochotę na wieczorną kawę w ogrodzie Pałacyku Tomasza Zielińskiego, ale odmówiła jej.

– Innym razem, Krysiu. Wczoraj byłam u Róży i w pewnej chwili źle się poczułam. Chyba ten upał mi nie służy. – Po raz drugi użyła tego samego fortelu, żeby uniknąć niechcianej sytuacji i było jej nieco wstyd, ale uznała, że kiedyś powie przyjaciółce, o co naprawdę chodziło. Na razie chciała być sama i spokojnie sprawę przemyśleć.

– Kochanie, ze zdrowiem nie ma żartów. Kto jak kto, ale my, lekarki, powinnyśmy o tym pamiętać. Może pora odwiedzić przychodnię? – poradziła z troską Krysia.

– Nie, nie ma potrzeby. To nic poważnego. Ot, zakręciło mi się w głowie.

– To może ciśnienie?

– Też tak sądzę. Tym bardziej, że teraz wszystko w porządku, ale wiesz...

– Oczywiście, kochanie. Lepiej dmuchać na zimne. Połóż się w chłodzie i odpoczywaj. Zadzwoń jutro, ale gdyby coś się działo, to odzywaj się natychmiast, pamiętaj.

Zapewniła, że w razie problemów skontaktuje się z przyjaciółką i chociaż tak naprawdę czuła się dobrze, skorzystała z jej rady. Zaciągnęła zasłony, włączyła niewielki wentylator, kierując strumień chłodnego powietrza na twarz i położyła się.

Domyślała się, jaki obraz zobaczy pod powiekami, kiedy tylko zamknie oczy. Sama nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Z jednej strony były to czasy tak odległe, że nawet ich wspomnienie zdawało się wyblakłe i niewyraźne, a co dopiero związane z nimi emocje. Z drugiej jednak bardzo dobrze pamiętała, jak jej serce zaczęło bić w szaleńczo przyspieszonym rytmie, kiedy go zobaczyła przy boku Róży. I co to niby miało oznaczać? Nie spodziewała się tego spotkania, nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedykolwiek do niego dojdzie. I może właśnie przez to zareagowała tak gwałtownie. Bo jak zachować spokój, widząc przeszłość, o której już się zapomniało?

Tak, zapomniała. To pewne. Przez wiele lat nawet nie pomyślała o nim, nie poświęciła mu ani chwili. Owszem, czasami, dawno temu, kiedy jeszcze nie do końca potrafiła zapanować nad sobą, zdarzyło jej się wspomnienie jakiejś rozmowy albo miejsca, w którym go spotykała. Ale potem już nigdy. To, czy istniał, co robił i jak żył, nie zajmowało jej w najmniejszym stopniu. Nie miało żadnego znaczenia dla jej życia, planów i zamierzeń. Nie było dla niego miejsca w teraźniejszości, więc nie potrzebowała go przywoływać. Powoli jego obraz zamazywał się, nikał w mroku niepamięci, aż zupełnie się rozpułnął. Aż do wczoraj.

Dla niego także to spotkanie było niespodzianką. Rozpoznał ją, widziała to w jego oczach, ale nie

zdradził, że się znają. Zastanawiała się, dlaczego tak postąpił? I czy porównywał to co zobaczył z jej obrazem sprzed lat? Wieczorem patrzyła w lustro i próbowała stwierdzić, czy bardzo się zmieniła, ale szybko zrezygnowała z tej analizy. Nie miała sensu. Przecież wiadomo, że nie jest już młodą dziewczyną. Tak jak on nie jest chłopakiem. Okrutny czas nie zna litości. Nikogo nie oszczędza. A jednak ona, patrząc na niego przez siateczkę zmarszczek i nieco przerzedzone włosy, zobaczyła tamtego z przeszłości. Zobaczyła go w oczach. One się nie zmieniły. Czy on też odnalazł w niej chociaż ślad młodej kobiety?

Zresztą to nieważne – stwierdziła. – I nie ma żadnego znaczenia. Gdybym wiedziała o tej wizycie i była na nią przygotowana, to nawet chętnie porozmawiałabym chwilę. Dowiedziałabym się, jak żyje, czy ma już wnuki. Zwyczajnie, jak od każdego dawnego znajomego, którego spotyka się po latach. A może gdybym spotkała go na ulicy, czy gdzieś w kawiarni, to też przyjęłabym to bez emocji. Chyba to połączenie – dom Róży i on – tak zadziało. Za dużo wspomnień na raz i tyle – podsumowała. – Może jeszcze kiedyś przyjedzie w rodzinne strony, to będzie okazja do rozmowy. A jeśli nie, to trudno.

I z tą konkluzją postanowiła zakończyć analizę wczorajszego zdarzenia. Co z tego, kiedy wciąż powracał obraz chłopaka o piwnych oczach stojącego pod śliwą i uśmiechającego się do młodej dziewczyny w różowej sukience.

Chyba na starość robię się sentymentalna – pomyślała Ewa. – Może lepiej było jednak umówić się na tę kawę z Krysią?



– Małgosia? Miło cię słyszeć. Co u ciebie? – Tamara była zaskoczona, słysząc w słuchawce głos żony wójta, ale nie dała niczego po sobie poznać.

– Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Nie, spokojnie. Szef na urlopie, to się troszkę obijam.

– Odnalazłam twój numer w notesie Kacpra i pozwoliłam sobie zadzwonić. Mam pewną propozycję. Miałabyś chwilę?

– Kiedy?

– Może być nawet zaraz. Jestem w Kielcach. Ale oczywiście się dostosuję.

Tamara przez chwilę rozważała sytuację. Była ciekawa, co u Małgosi, ale też troszkę nieufnie podeszła do wizji kolejnych jej pomysłów. Wreszcie ciekawość zwyciężyła.

– A możesz podjechać do mnie do pracy? Mówiłam ci, że jest luz, więc będziemy mogły porozmawiać. Mamy taki specjalny pokój dla klientów, no a w końcu jesteś żoną jednego z nich, więc ci się należy... – Ugryzła się w język, bo ostatnia uwaga, biorąc pod uwagę sytuację Małgorzaty, była trochę nie na miejscu. Na szczęście ta przyjęła ją z humorem:

– No to chociaż raz skorzystam z przywilejów wójtowej żony. Będę za kwadrans, jeśli tylko uda mi się znaleźć miejsce do zaparkowania.

– Czekam, pa!

Marzena z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie.

– Będziesz miała gościa?

– Owszem. Żonę Kamińskiego.

– TEGO Kamińskiego?

– Dokładnie tak.

– O, to widzę, że zdobywasz coraz wyższą pozycję w Jagodnie. Być na „ty” z żoną wodza gminy, to nie byle co.

– I tu cię rozczaruję. Małgosia to fajna kobieta, ale jeśli chodzi o gminne wpływy, to są raczej niewielkie.

– Tak czy inaczej, z przyjemnością zobaczę pierwszą damę Jagodna. – Marzena sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę papierosów. – A może zanim się zjawi, wyjdziemy jeszcze? – zaproponowała.

Stały w swoim stałym miejscu, za rogiem budynku. I tu odnalazła je Małgorzata.

– Nawet nie wchodziłam na górę – powiedziała. – Jakiś miły człowiek wychodził i kiedy zapytałam o ciebie, od razu pokazał mi, dokąd iść.

– A ja byłam przekonana, że nikt nie zna naszej kryjówki – roześmiała się Tamara.

– To pewnie któryś z handlowców, oni wiedzą prawie tyle co Andżela.

– Małgosiu, Marzena – poznajcie się – zaproponowała Tamara.

– Zapalisz z nami? – zapytała Marzena.

– Właściwie palę tylko okazjonalnie, bo Kacper jest przeciwnikiem papierosów, ale z wami bardzo chętnie. Mentolowe?

Marzena pokiwała głową.

– Czy ty każdego musisz sprowadzać na złą drogę? – Tamara żartobliwie pogroziła koleżance palcem. – Zaraz ją zostawimy przed monitorem i nie będzie kusić. A ty spokojnie opowiedz o swojej propozycji.

– Ale to żadna tajemnica. Właściwie bzdurka taka. Znalazłam nowy outlet i mają fajne ciuchy za małe pieniądze. Zastanawiałam się, czy nie miałabyś ochoty się ze mną wybrać. A po drodze jeszcze zahaczyłybyśmy o jakiś sklep z butami. Wiesz, tak tylko pooglądać – mrugnęła okiem.

– No to mnie zaskoczyłaś! Ja tu salkę konferencyjną szykuję, bo myślałam, że masz jakieś pomysły na życiowe zmiany, a ty mi tu o ciuchach mówisz!

– Zmiana garderoby to dobry początek zmian w szerszym zakresie – wtrąciła się Marzena.

– Dobrze powiedziane – poparła ją Małgorzata i kobiety spojrzały na siebie z sympatią. – Powiedzmy, że od czegoś trzeba zacząć, prawda? To co? Dasz się namówić?

Tamara pokręciła głową.

– Chętnie, ale nie dzisiaj. Moja córka wróciła z wakacji, muszę się nią nacieszyć. No i mamy jeszcze jedną poważną sprawę do obgadania. Może innym razem?

– Szkoda – zmartwiła się Małgosia. – A takie sukienki mają na wystawie... Klasyczna elegancja z nutką romantycznej kobiecości. Nieźle brzmi, co? A jak do tego dodasz niewielką cenę, to trudno się oprzeć.

– A może ja się nadam na zakupowe towarzystwo? – nieoczekiwanie zaproponowała Marzena. – Przydałaby mi się jakaś porządna sukienka.

Tamara popatrzyła na koleżankę ze zdumieniem. Zwykle Marzena ubierała się raczej w sklepach z indyjską odzieżą, ewentualnie przeszukiwała ciucholandy, znajdując oryginalne kreacje. Skąd nagle zainteresowanie klasyczną elegancją z nutką romantycznej kobiecości? Nie skomentowała tego jednak, bo uznała, że przynajmniej Małgorzata nie odjedzie rozczarowana. I miała rację.

– Naprawdę? Będzie mi bardzo miło – ucieszyła się Gosia. – To o której kończycie? I gdzie tu się można najbliżej przechować, najlepiej w cieniu i chłodzie?

– Niby o szesnastej, ale chyba nic się nie stanie, jak chyłkiem ucieknę godzinę wcześniej – powiedziała Marzena.

- Myślę, że nikt nie zauważy. Połowa grafików już załatwia tak zwane pilne sprawy poza biurem – uśmiechnęła się Tamara.
- No to będę tu czekała za godzinę – zdecydowała Małgorzata. – A teraz idę poszukać kawiarni z klimatyzacją. Bo samochodu nie ruszam. Cudem się zmieściłam i miejsca nie oddam. To do zobaczenia!
- Miałaś rację, fajna babeczka – oceniła Marzena. – I taka z klasą, zadbana.
- Widzę, że ci przypadła do gustu. Tak bardzo, że nawet gotowa jesteś kupić sukienkę w normalnym sklepie.
- Nie w normalnym, tylko w outlecie – sprostowała Marzena. – Na normalny to mnie jeszcze nie stać. A to chyba nic dziwnego, że sukienkę. Każda kobieta powinna mieć coś porządnego w szafie w razie czego.
- W razie czego? – Tamara podniosła brew i popatrzyła badawczo na koleżankę.
- W razie niczego – wystawiła język Marzena. – I gaś już tego papierosa, bo sobie palce spalisz.



Talerzyki z delikatnej porcelany ozdobione bordowymi, ręcznie malowanymi różyczkami były na specjalne okazje. Marysia o tym wiedziała i kiedy zobaczyła, że babcia Ewa podaje szarlotkę właśnie na nich, zrobiło jej się bardzo miło. To był taki znak, że jej powrót i odwiedziny sprawiły babci radość. Że jest dla niej ważna. To coś podobnego, jak wtedy, gdy Kamil dotykał ukradkiem jej dłoni pod stołem. Nie trzeba słów, żeby coś okazać – pomyślała.

- Opowiadaj, Marysiu, jak było w Gdańsku? Udał się ten wyjazd?
- Babciu, było naprawdę fantastycznie! Tylko za krótko.
- Zwiedzaliście coś?
- Oczywiście. – Marysia nie była zaskoczona pytaniem. Babcia zawsze ogromną wagę przywiązywała do wiedzy i każdą okazję wykorzystywała praktycznie. Opowiedziała więc teraz o wszystkich odwiedzonych muzeach i obejrzanych zabytkach.
- W porządku – oceniła babcia, gdy skończyła mówić. – Pięknie mi to wyrecytowałaś. A może teraz tak od siebie opowiedz, co ci się najbardziej podobało.

Marysia zawahała się. Co miała powiedzieć? Że najbardziej podobało jej się spacerowanie bez celu uliczkami, bieganie po plaży na bosaka? Że mogłaby zwiedzać wszystkie muzea świata, byle z Kamilem? A może o tym, że najmiłszym wspomnieniem będzie ten pocałunek pod Neptunem? To chyba nie o takie rzeczy babci chodzi.

Ewa obserwowała wnuczkę i doskonale wiedziała, co oznacza to rozmarzenie widoczne w oczach dziewczyny. Jak to dobrze być młodym – pomyślała. – Jaki wtedy człowiek jest beztroski, ile ma wiary w powodzenie swoich planów, ile marzeń. I całe życie przed nim.

- Widzę, że zmęczyły cię już te opowieści. W takim razie teraz ja powiem ci, co słyhać na Borowej. Chcesz posłuchać?
- Byłaś u babci Róży? – ucieszyła się Marysia, zadowolona, że może zachować swoje sekrety.
- Byłam. W sobotę. I powiem ci, chociaż plotkować nie lubię, że wiele się tam dzieje.
- Opowiedziała wnuczce o wszystkich znanych jej nowinkach, nawet o przyjeździe ojca Łukasza. Chociaż co do tego ostatniego, to początkowo się wahała, ale ostatecznie postanowiła nie pomijać

przyjazdu Adama Galińskiego.

– Nie wiem, o czym rozmawiali, ale mam wrażenie, że on szuka syna.

– A ja widziałam Łukasza – przypomniała sobie Marysia. – Najpierw nie byłam pewna, czy to on, bo stał przed takim klubem w Gdańsku z... takimi dziwnymi ludźmi – nie chciała przyznać się babci, że od razu widać było, że to dilerzy. Po co miała ją martwić. Jeszcze pomyślałaby, że ona znowu ma coś z tym wspólnego albo że Kamil jest nieodpowiedzialny, czy coś. – Ale podeszłam bliżej, tak, żeby mnie nie widział i się upewniłam. To był na pewno on. Może powiesz o tym jego ojcu, bo jeżeli go szuka, to będzie miał jakiś trop.

– Nie mam kontaktu z panem Galińskim – powiedziała chłodno Ewa. – Lepiej powiedz to Róży, może ona przekaże.

Marysia wyczuła zmianę nastroju babci, ale pomyślała, że to z powodu tego klubu, o którym wspomniała.

– Naprawdę, babciu, ja tylko tamtędy przechodziłam – zapewniła.

– Ależ wierzę ci – powiedziała Ewa. – Chcesz jeszcze ciasta?

Marysia odetchnęła z ulgą. Zależało jej, żeby babcia miała dobry nastrój, bo chciała jeszcze o czymś z nią porozmawiać. Przyjęła dokładkę szarlotki i zdecydowała się zacząć.

– Babciu, mam taką jedną sprawę...

– Jeżeli tylko jedną, to proszę bardzo – mów – uśmiechnęła się Ewa. – Pożyczka?

– Nie, nie. To coś poważnego. Bo widzisz, babciu, nie wiem, co robić i trochę się boję.

– Marysiu, czy możesz mówić jaśniej? Ja co prawda przyzwyczajona jestem do stresu, ale z wiekiem odporność mi jednak maleje. Już się zdenerwowałam. Co się stało? Masz jakieś kłopoty?

– Można tak powiedzieć. Ja mam i mama trochę też.

Ewa poczuła ścisk w żołądku. Niechże to dziecko już mówi, bo dostanę zawału – pomyślała.

– Chodzi o tatę – wydusiła wreszcie Marysia.

A, więc znowu ten łajdak coś wymyślił – rozżłościła się Ewa. – Czy on nigdy już nie da spokoju mojej rodzinie?

– Opowiadaj, Marysiu, co też znowu zrobił twój, niestety, ojciec?

– Jeszcze nic właściwie. Ale chce zrobić.

I opowiedziała babci to wszystko, co poprzedniego wieczoru usłyszała od matki. O wizycie Leszka, jego pomysły na zdobycie mieszkania, o straszaniu prawnikiem i sądem oraz o tym, że chce zabrać ją od matki.

– Powiedz mi, babciu, co teraz będzie? Mama bardzo się tym denerwuje, ja to widzę, chociaż mnie uspokaja. Wiem, że ona robi wszystko, co będzie mogła, ale martwię się, że nie da rady.

– Przede wszystkim sąd zapyta ciebie o zdanie. Jesteś prawie dorosła, muszą się liczyć z tym, czego ty chcesz. – Ewa starała się mówić spokojnie i rzeczowo, ale w środku aż kipiała ze złości na byłego zięcia. Patrzyła na Marysię, na jej trzęsącą się ze zdenerwowania brodę i pełne łez oczy i wściekłość narastała.

– Tak, babciu, tylko ja się boję, że to, co niedawno robiłam... Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Że jak to powiedzą w sądzie, to nikt mnie już poważnie nie potraktuje. A ja jeszcze wtedy napisałam do ojca list o tym, jak mi u mamy źle. I tata ma ten list. To chyba niedobrze? – popatrzyła pytająco na Ewę.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze kobieta. – Ale się dowiem. W końcu nie tylko twój ojciec może mieć prawnika.

– Myślałam o tym prawie całą noc. I pomyślałam, że może powinnam się zgodzić na ten wyjazd do

niego.

– Co ty opowiadasz?! Przecież mówiłaś, że nie chcesz.

– Bo nie chcę. Ale jakbym dobrowolnie pojechała, to on szybko załatwiłby to mieszkanie, a potem mogłabym wrócić. I nie byłoby sądu, tych prawników i całego zamieszania.

– Dziecko, nie możesz tak myśleć. Nie możesz pozwolić, żeby ktoś cię szantażował i do czegoś zmuszał. W życiu trzeba mieć odwagę i walczyć z przeciwnościami. Jeżeli się poddasz, to jak potem spojrzysz sobie w oczy? Walcz! Ja ci to mówię, twoja babcia.

Marysia popatrzyła na Ewę i zobaczyła w jej oczach coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Siłę i zdecydowanie. Chciałabym taka być – pomyślała. – Odważna i pewna siebie.

– Nie wiem, czy dam radę – powiedziała szczerze. – Boję się, że znowu zrobię coś nie tak jak trzeba. A najbardziej się wstydzę tego listu. Bo ja w nim napisałam dużo złych rzeczy o mamie. Nie chcę, żeby ktoś obcy to czytał. Ja wtedy...

– Błędy popełnia każdy. To, że się ich wstydzisz i żałujesz, to akurat dobrze. Ale największą odwagą jest stawienie czoła ich konsekwencjom, więc jeśli chcesz naprawdę zrobić to, co powinnaś, to trzeba będzie tej odwagi. Jestem pewna, że dasz radę, Marysiu. Wierzę w ciebie.

– Naprawdę, babciu? Wierzysz?

– Naprawdę. – Ewa podeszła do wnuczki i przytuliła ją. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Poczuła, że dziewczyna płacze, więc przytuliła ją jeszcze mocniej.

Biedne dziecko – pomyślała. – Wydaje jej się, że jest dorosła, a jak widać, jeszcze nie da rady mocować się z życiem. Na szczęście ma babcie.

Odsunęła się od wnuczki, położyła jej ręce na ramiona i zmusiła do zajęcia miejsca w fotelu. Z kuchni przyniosła szklankę z wodą, tabletkę i paczkę chusteczek higienicznych.

– Wytrzymaj nos, napij się i weź to lekarstwo. To cię uspokoi. – Wydała instrukcje spokojnym, ale stanowczym głosem. – Bez obaw, to ziołowa.

Patrzyła, jak Marysia posłusznie wypełnia polecenia.

– A teraz podaj mi numer telefonu do swojego ojca.

– Będziesz do niego dzwonić?

– Taki mam zamiar.

– Nie wiem...

– Ale ja wiem. Zaufaj mi. Zrobię wszystko, żeby zakończyć tę sprawę bez sądu. I żebyś została w Kielcach. Mam tylko prośbę. Nie mów o tym mamie. Wolałabym, żeby ta rozmowa pozostała naszą tajemnicą.

– Dlaczego?

– Żeby oszczędzić jej powodów do zmartwienia i zdenerwowania. Chyba obie tego chcemy?

Marysia pokiwała głową. Wyjęła telefon i podyktowała numer, który Ewa zapisała w swoim notesiku.

– Nie pogniewasz się, jeśli zadzwonię? – zapytała dziewczyna.

– Domyślam się, że do tego chłopca, z którym byłaś w Gdańsku – uśmiechnęła się Ewa.

– Tak, do Kamila. Przyjdzie i odprowadzi mnie do domu.

– Wygląda na to, że mu na tobie zależy.

– Chyba tak – blade uśmiechnęła się Marysia.

– To tym bardziej powinnaś tutaj zostać, prawda?

– To bez znaczenia. On i tak wyjeżdża na studia do Krakowa.

– Kraków nie jest daleko. Na pewno będzie przyjeżdżał, szczególnie jeżeli mu zależy.

– Mam nadzieję.

Dźwięk przychodzącego SMS-a przerwał rozmowę.

– Przeczytaj, to pewnie od niego – zachęciła Ewa.

Marysia zerknęła na wyświetlacz.

– Już czeka – powiedziała i spojrzała pytająco na babcię.

– No to cię nie zatrzymuję. Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko coś uda mi się załatwić.

Marysia skinęła głową. Miała nadzieję, że babci się uda. Bo jeżeli nie jej, to już chyba nikomu.

Kiedy wyszła, Ewa ze złością uderzyła dłonią w blat stolika. Niedoczekanie twoje! – pomyślała. – Nie pozwolę krzywdzić mojej rodziny. Chyba zapomniałeś, że twoja była teściowa ma jeszcze asa w rękawie. I nie zawaha się go użyć.

Gdyby Leszek to słyszał, z pewnością wolałby dobrowolnie zrezygnować ze swoich planów. Mina Ewy świadczyła bowiem o tym, że wybiera się na wojnę, którą zamierza wygrać. A w takich walkach miała wieloletnie doświadczenie. I teraz miało się ono przydać.



Tamara była bardzo ciekawa, jak udały się Marzenie i Małgosi wspólne zakupy. Trochę żałowała, że nie poszła z nimi, ale rozmowę z Marysią uznała za ważniejszą. Poszło nie najgorzej, córka przyjęła wszystko dosyć spokojnie. Powiedziała tylko jednoznacznie, że nie chce mieszkać z ojcem i zadeklarowała, że powtórzy to w sądzie. Tamara zapewniła ją, że zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

– Mamo, czy mogę pojechać na Borową? Nie chcę spotykać się z ojcem, a jeśli on przyjedzie, a ty będziesz w pracy, to...

– Oczywiście. Jutro zawiozę cię do babci Róży. Zresztą obie z Zofią już nie mogły doczekać się twojego powrotu. A gdyby Leszek pojawił się jutro przed południem, to dzwoń do mnie od razu.

– Jutro pójdę do babci Ewy.

– Świetny pomysł – ucieszyła się Tamara.

Teraz wiedziała, że Marysia nie jest sama i nic złego jej nie grozi, mogła więc wypytać koleżankę o wczorajsze polowanie na ciuchy.

– I co? Kupiłaś tę sukienkę?

– Nawet dwie – pochwaliła się Marzena. – I jeszcze sweterek, gdyby wieczór był chłodny.

– To planujesz jakiś wieczór? – podchwytliwie zapytała Tamara.

– Każdy dzień ma wieczór – nie dała się sprowokować Marzena. – Małgorzata potrafi doradzić i świetnie się na tym zna. Dobrała mi kolory i muszę przyznać, że dobrze jej to wyszło. W ogóle to superosoba. Umówiłyśmy się na sobotę, pomoże mi dokupić buty, a potem pójdziemy do kosmetyczki. Mówiła, że zna świetną i niedrogą, która robi cuda z cerą. No to się zdecydowałam. A może pójdiesz z nami?

– Dzięki, ale mnie na cerę najlepiej robi Jagodno – roześmiała się Tamara. – Ale cieszę się, że znalazłyście wspólny język.

– Nie wiem jak ona, ale ja ją polubiłam – przyznała Marzena. – I kto by pomyślał, że żona wójta Kamińskiego może być taką fajną kobietą.

– Ona nie jest żoną wójta. Jest Małgorzatą Kamińską. Tak ją traktuj. Zasługuje na to.

– O, co ja słyszę! W koleżance Tamarze zagrał feministyczny duch! W porządku, nie ma sprawy. Wiesz, że mnie bardzo pasuje takie podejście. Mogę nawet zacząć nazywać Kamińskiego „mężem Małgorzaty”.

Mam nadzieję, że kiedyś wszyscy będą go tak nazywać – pomyślała Tamara. – Bo skoro namówiła Marzenę na elegancką sukienkę i do tego grzeczny sweterek, to ma potencjał na prawdziwego przywódcę. I charyzmę. Jeżeli zechce to wykorzystać, to kto wie, co może się zdarzyć...



Chociaż miała ochotę od razu pobiec do hrabianek, to zdecydowała się poczekać na przyjazd Kamila. Chcieli razem zanieść staruszkom pocztówkę. Teraz nie mogła się doczekać, aż przywita mieszkanki dworku i szła tak szybko, jak potrafiła.

– Może pobiegniemy? – zażartował Kamil.

– Proszę bardzo. Ja jestem gotowa.

– A za kim się bardziej stęskniłaś? Za hrabiankami czy za Kronosem?

– No wiesz! To zupełnie co innego.

Chłopak roześmiał się, bo wiedział, że Marysi byłoby trudno dokonać wyboru. Niosła w torebce mnóstwo smakołyków dla swojego ulubieńca, więc wiadomo było, komu poświęci najwięcej uwagi.

Tak jak przypuszczali, zastali hrabianki siedzące w cieniu ogrodowego namiotu. Na ich widok Zuzanna zastukała laską w nogę stolika:

– Nareszcie wrócili! Ja już siły nie mam, żeby z tym psiskiem biegać. Najłatwiej to komuś podrzucić, a potem fru, w świat. A obowiązki to niech kto inny przejmie!

Młodzi starali się zachować powagę, ale nawet Julia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Skoro już Zuzanna was tak serdecznie przywitała, to ja mogę tylko zaproponować herbatę.

– To ja pójdę, dorobię. Tylko na dwie przygotowałam, bo czy to się ktoś zapowiadał z wizytą? – Wstała i spojrzała spod oka na chłopaka. – Niech idzie za mną, trzeba deskę na podłozie w sieni przybić. Będzie potrafił?

– Będzie potrafił – zapewnił z uśmiechem Kamil.

Odeszli w stronę wejścia do dworku, a Marysia zajęła się drapaniem i głaskaniem psa. Kronos zadowolony z zainteresowania, przewrócił się na grzbiet.

– Tylko ci ten różowy brzusek został z czasów, gdy byłeś puchatą kuleczką – przemawiała dziewczyna do zwierzęcia. – Jak ten czas szybko leci...

– Właśnie, masz rację, Marysiu – powiedziała swoim cichym, ale dźwięcznym głosem Julia. – Czas ucieka. I z każdym dniem ma się go coraz mniej. I dlatego...

Milczała przez chwilę, a Marysia patrzyła wyczekująco. Wiedziała, że będzie ciąg dalszy.

– I dlatego – powtórzyła Julia – chciałabym cię o coś prosić. Czy mogłabyś w imieniu moim i Zuzanny zaprosić Różę Marcisz do nas na herbatę? Chciałybyśmy się z nią spotkać.

– Oczywiście, przekażę babci. – Marysia była zdziwiona, ale o nic nie pytała.

– I powiedz też, proszę, że wiem, że to my powinnyśmy złożyć jej wizytę, ale mój stan zdrowia nie pozwala na to. Dlatego, jeżeli zechce nam wyświadczyć ten zaszczyt, będziemy czekać w poniedziałkowe popołudnie.

Marysia starała się dokładnie wszystko zapamiętać, bo chociaż hrabianka tego nie powiedziała, to dziewczyna czuła, że każde słowo tej wypowiedzi ma znaczenie. Może nie wiedziała jakie i dlaczego Julia tak mówi, ale po prostu to czuła. Z jakichś nieznanych Marysi powodów hrabiankom zależało, żeby okazać babci Róży szacunek i przekazać, że jej wizyta jest dla nich ważna. A skoro tak uważały, to Marysia chciała to wiernie przekazać.

- Panno Julio, wszystko powtórzę. I jestem pewna, że babcia Róża przyjdzie.
- Chciałabym, żebyś miała rację – westchnęła Julia i zapatrzyła się w różane krzewy.



Nikola swoim zwyczajem próbowała zachęcić Barnabę do zabawy, jednak kot pozostawał zupełnie obojętny na jej słowne zaczepki. Leżał w chłodnym kącie kuchni, ignorując otoczenie. Dziewczynka wiedziała, że lepiej go nie dotykać, bo potrafi pazurami bronić swojej niezależności, dlatego ograniczała się jedynie do słownej zachęty.

– Kotecku, będzie miło. Ja cię pogłaskę, za uskiem i po bzusku – przemawiała z przejętą miną.

– Mówi się: brzuszku, pogłaszczę, koteczku – poprawiała ją Kasia. – Pamiętasz, co ci powiedziała pani doktor? Potrafi, tylko jej się nie chce – zwróciła się do matki. – Byłyśmy u logopedy i tam mówiła jak trzeba.

– Daj dziecku spokój – machnęła ręką Zofia. – Przyjdzie czas, to będzie mówić dobrze.

– Mamo, co ty opowiadasz! Trzeba pilnować prawidłowego rozwoju. W tym wieku powinna już wymawiać wszystkie głoski.

– Ja się tam nie znam na głoskach, ale z tobą nigdzie nie chodziłam i jakoś się sama nauczyłaś – wzruszyła ramionami Zofia. – Teraz to dzieci nawet dziećmi być spokojnie nie mogą. Tylko się uczą i uczą, na wyścigi. A co u ciebie słyhać, Kasiu?

– Nic nowego. Dzień za dniem mija i tyle. Niedługo koniec wakacji i chłopaki pójdą do szkoły. Już się za podręcznikami trzeba rozglądać, bo jak na ostatnią chwilę zostawię, to znowu kilka godzin w kolejkach będę stała. – Kasia rozpięła górny guzik bluzki i otarła dłonią spocony dekolt. – A jak sobie policzyłam, ile to będzie kosztować, to aż mnie głowa rozboleła. Co roku, to drożej. Jak powiedziałam Jarkowi, to też się zdenerwował.

– I z tego zdenerwowania ci to zrobił – wskazała na siniak na ramieniu córki.

– A nie, to nie Jarek – zapewniła Kasia. – O szafkę w kuchni się uderzyłam, bo zapomniałam drzwiczek zamknąć.

Zofia pokiwała głową, ale swoje wiedziała.

– Kasiu, zrób coś z tym. Mnie serce pęka, jak na to patrzę, bo dzieckiem moim jesteś przecież. Jak ci pieniędzy potrzeba, to ja trochę mam i mogę pomóc, ale żebyś coś zrobiła...

Córka Zofii popatrzyła na matkę ze złością.

– Łatwo powiedzieć. Myśli mama, że ja tak lubię? Tylko co ja mogę?

– Tamara mówiła, żeby na policję pójść – doradziła Zofia. – Tam mają takie specjalne karty dla kobiet.

– Tak, świetny pomysł, naprawdę. Niebieska Karta, tak? I tą kartą się potem obronię, jak się Jarek wścieknie? Mamo, przecież wszyscy na policji to jego koledzy i zaraz mu doniosą. A zresztą to bez sensu.

– A jak posiniaczona chodzisz to jest z sensem?

– Mama to mądra teraz. Zabrała się mama i poszła. A ja co? Też sobie pójdę? Z trójką dzieci? Chyba do przytułku.

– Przecież dom jest na was dwoje.

– Właśnie. I połowa Jarka. Zresztą nie ma o czym mówić – pokręciła głową. – On zarabia na wszystko, ja grosza nawet nie mam. Zresztą sama mama wie. A ojciec to lepszy był? Też nerwowy, pamiętam przecież. I wypić to lubił nawet bardziej niż Jarek.

– Ale nie bił – zaprotestowała Zofia. – Nigdy by na mnie ręki nie podniósł.

– A tam! – skwitowała Kasia. – Za to harować musiałaś za trzech, żebyśmy mogli jakoś żyć. A przy Jarku przynajmniej biedy nie cierpimy.

Zofia westchnęła. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć córce. Trochę ją rozumiała, bo wiedziała co to znaczy samotnie wychowywać dziecko. A co dopiero trójkę. Gdyby tylko miała więcej siły, to jeszcze mogłaby gdzieś zarobić, a wtedy Kasia jakoś dałaby radę bez Jarka. Tylko co ona może w tym wieku? Kilkaset złotych w miesiącu? Szkoda, że ten dom przepisałam – myślała. – Od tego się wszystkie problemy zaczęły.

Patrzyła na córkę i ciągle widziała w niej tę śliczną małą dziewczynkę, dla której starała się całe życie. Teraz siedziała przed nią młoda jeszcze kobieta, ale widać było, że nieszczęśliwa. Nie pomoże ani fryzura, ani pomalowane paznokcie – stwierdziła. – Bo w oczach wszystko widać i tak.

– Wymyśl coś, córciu – powtórzyła uparcie. – Wymyśl, bo tak nie powinno być.

– Niech już mama da spokój – prychnęła ze złością Kasia i Zofia zrozumiała, że nie ma co dalej namawiać.

– Mam prezent dla Nikolki – powiedziała, żeby córka już się nie denerwowała.

– Dla mnie? – Dziewczynka usłyszała swoje imię i od razu podbiegła do babci. – Co masz?

– Spódniczkę ci uszyłam. A Róża zrobiła szydełkową koronkę.

– Pokaż! Pokaż!

– Widzi mama, jak jej zależy, to potrafi dobrze powiedzieć – wtrąciła się Kasia.

Zofia tymczasem przyniosła z pokoju swoje dzieło. Niewiele ostatnio szyła, bo czas pochłaniało jej pieczenie babeczek, zresztą oczy już szybciej się męczyły, ale jedna z sąsiadek poprosiła o sukienkę i tak jej zależało, że Zofia nie potrafiła odmówić. Po uszyciu zostało akurat tyle materiału, że wystarczyło na spódniczkę dla wnuczki. A Róża w kilka dni zrobiła delikatną białą koronkę do ozdobienia brzegu.

– Jaka śliczna! – ucieszyła się Nikola. – Mamo, zobacz, wyglądam jak księżniczka!

Zofia popatrzyła na dziewczynkę kręcącą się w kółko na środku kuchni.

– Wygląda zupełnie jak ty, kiedy byłaś dzieckiem – powiedziała do córki. – Też wszyscy mówili, że jesteś księżniczką. A ja byłam taka dumna.

– No to teraz mam i swojego księcia – ironicznie odpowiedziała Kasia. – Tylko chyba już za bardzo dumna nie jesteś, co?

Zofia nie odpowiedziała. Radość gdzieś znikła. Obserwowała wnuczkę, która ze śmiechem podskakiwała i tańczyła wokół stołu. Żeby jej jakoś się lepiej w życiu poukładało – pomyślała ze smutkiem.



– Dobry wieczór, mówi Róża Marcisz. Czy rozmawiam z Ewą?

– Dobry wieczór, Rózo. Tak, to ja. Czy coś się stało?

– Jeżeli pytasz o moje zdrowie, to wszystko w porządku. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam.

– Po prostu się zaniepokoiłam. Nieznany numer, twój głos w słuchawce... Nie wiedziałam, że masz telefon.

– Tamara mi kupiła, kiedy wróciłam ze szpitala. Mówiłam, że niepotrzebny, ale wiesz, że jak ona się uprze. Zgodziłam się dla świętego spokoju. Tak leżał, bo do kogo ja miałabym dzwonić... No i dzisiaj się przydał. Ale czy ja ci nie przeszkadzam?

– Ależ Rózo, w czym niby? Co za ważne sprawy może mieć emerytka? Cieszę się, że cię słyszę. – Ewa zastanawiała się, jaki może być powód tego wieczornego telefonu. Bo że jakiś był, to pewne. Czy chodziło o tego Glińskiego?

– Słyszałam od Marysi, że ty ostatnio masz wiele zajęć. – Róża nie spieszyła się z wyjawieniem przyczyny kontaktu z Ewą. Obce jej było współczesne tempo życia, pospieszne telefony i szybko rzucane w słuchawkę krótkie komunikaty.

Zanosiło się na dłuższą pogawędkę, więc Ewa usiadła w fotelu i oparła stopy na miękkim pufie.

– Rzeczywiście, staram się więcej wychodzić z domu, być bardziej aktywna. Doszłam do wniosku, że jednak samotność mi nie służy.

– Racja, samemu niewesoło. Zwłaszcza gdy lat przybywa – zgodziła się Róża. – Wiem coś o tym. Jak człowiek tak siedzi, to rozmyśla i czasami niewesołe rzeczy do głowy przychodzą. Ale powiedz mi jeszcze, jak ty się czujesz?

– Dobrze, Rózo, wszystko w porządku.

– No to się cieszę, bo w sobotę...

– To był jednorazowy incydent – przerwała Ewa. – Nawet nie warto sobie tym głowy zaprzętać.

– Jednorazowe incydenty lubią się powtarzać. I nigdy nie wiadomo, co z nich może wyniknąć. Lepiej z góry pomyśleć i się przygotować – powiedziała Róża, a Ewa poczuła lęk. Czy to przypadek? Czy interpretuje słowa dzwoniącej według własnych wyobrażeń? A może Róża celowo tak dwuznacznie mówi? Czyżby wiedziała i pamiętała?

Szybko odrzuciła tę myśl. To niemożliwe. Przecież nikt nie wiedział. A nawet jeżeli wtedy czegoś się domyślała, to przez tyle lat z pewnością te domysły zatarły się w pamięci.

– Wezmę pod uwagę twoje sugestie. – Postanowiła na wszelki wypadek odpowiedzieć równie dwuznacznie.

– Kiedy mówisz takim tonem, to od razu wiem, że i tak zrobisz to, co będziesz chciała. – Ewa czuła, że mówiąc to, Róża się uśmiechnęła. – Zatem nie nalegam. Nie chcę cię zrazić, zwłaszcza że dzwonię z prośbą.

Nareszcie – pomyślała Ewa i mocniej ścisnęła telefon. – Niech już powie. Mam nadzieję, że to nie dotyczy...

– Marysia powiedziała mi wczoraj, że hrabianki Leszczyńskie zapraszają mnie do siebie – oznajmiła Róża, zanim Ewa zdążyła dokończyć myśl.

– To chyba miło z ich strony, prawda? – odparła Ewa i wypuściła wstrzymywany oddech. – A wszyscy zawsze mówili, że one takie wycofane i z nikim nie chcą kontaktu. Sama pamiętam, że bałam się chodzić w okolice dworku. Dzieciaki na wsi opowiadały niestworzone historie o tych Leszczyńskich – roześmiała się na to wspomnienie. – Okazuje się, że nie są takie straszne. Marysia przecież tam chodzi z Kamilem,

teraz ten ich kuzyn...

– Wiesz, Ewo, z wiekiem człowiekowi coraz bardziej zależy na byciu blisko z innymi.

– No to im chyba teraz zaczęło zależeć, żeby być blisko z tobą. Ciekawe dlaczego?

– Mam pewne przypuszczenia i dlatego właśnie dzwonię.

– W takim razie powiedz, jak mogłabym ci pomóc?

– Chciałabym cię prosić, żebyś ze mną poszła.

– Ja? – zdziwiła się Ewa. – Podejrzewasz, że to jakieś problemy ze zdrowiem?

– Nie, nie sądzę.

– No to jeżeli nie chodzi o pomoc lekarską, to może bardziej odpowiednia byłaby Marysia?

Ewentualnie Tamara. Ale ja?

– Tak, moim zdaniem ty. Pozwól, że nie będę tego tłumaczyć, uznaj, że po prostu chciałabym odbyć tę wizytę w twoim towarzystwie. Jeżeli chcesz się zastanowić, to zadzwonię jutro albo pojutrze...

– Różo, nie mam się nad czym zastanawiać. Oczywiście że mogę z tobą pójść, chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak ci na tym zależy. Rzecz jasna, nie zmuszam cię do tłumaczeń, jeżeli tego nie chcesz. Powiedz tylko, kiedy ma być ta herbatka?

– W poniedziałek po południu.

– W takim razie przyjadę około czternastej. Czy tak będzie dobrze?

– Bardzo dobrze. Dziękuję, że się zgodziłaś.

– Przecież wiesz, Różo, że jestem ci winna dużo więcej niż wspólna wizyta u hrabianek. Więc jeżeli tylko mogę coś dla ciebie zrobić... – Ewa poczuła, że głos jej się łamie, więc dokończyła szybko:

– Czyli zobaczymy się w poniedziałkowe popołudnie?

– Tak, Ewuniu. Dziękuję ci jeszcze raz. Dobranoc.

Powiedziała do mnie „Ewuniu”. Jak kiedyś. – Ewa patrzyła jeszcze przez chwilę na gasnący wyświetlacz. – Nigdy sobie nie daruję, że straciłam tyle czasu przez swój upór i złość. Poszłabym z nią nawet do piekła, gdybym wiedziała, że to jej wynagrodzi te wszystkie lata.



Ogródek w Pałacyku Tomasza Zielińskiego był idealnym miejscem na spędzenie sobotniego przedpołudnia. Mur oddzielał gości od tłumu spacerowiczów i zapewniał spokój, a jednocześnie było się w samym centrum parku. Bliskość drzew sprawiała, że nie odczuwało się panującego upału, a duży parasol chronił przed słonecznymi promieniami.

Siedziały, popijając przez słomki bezalkoholowe piwo. Zmęczone kilkugodzinnymi zakupami potrzebowały chwili odpoczynku. Przez chwilę milczały, ale radość i chęć podzielenia się zadowoleniem z zawartości papierowych toreb była silniejsza niż zmęczenie.

– Nie wytrzymam, muszę je jeszcze raz przymierzyć. – Marzena pochyliła się, wyciągnęła na stolik kartonowe pudełko, a z niego delikatne sandałki w kolorze écru. Włożyła jeden z nich i przyglądała się z zachwytem własnej stopie. – Nie sądziłam, że kiedykolwiek kupię coś takiego. I nadal mam wątpliwości, czy ja w ogóle będę umiała w tym chodzić.

– Będiesz, będziesz – uspokoiła Małgorzata. – Przecież nie pierwszy raz masz do czynienia z obcasami.

– Owszem, ale nie z takimi cieniutkimi. No i te paseczki. Czy to się w ogóle utrzyma na nodze? – wątpiła Marzena. – Wiesz, ja cenię wygodę. Obcas owszem, ale taki, żebym czuła się stabilnie.

– Kiedyś trzeba oderwać się od ziemi i poczuć motylkiem, prawda? – zażartowała Gosia. – A w czymś takim to się właśnie bardziej frunie niż chodzi.

– Jesteś prawdziwą czarodziejką – pokręciła głową koleżanka. – I powinnaś zostać stylistką. Nawet taką żabę jak ja potrafisz namówić na zakup sukni dla księżniczki. Serio, masz dobry gust i świetne wyczucie kolorów. Widać, że się na tym znasz.

– Musiałam się poznać, żeby godnie prezentować się przy mężu.

– A bez męża to nie możesz się prezentować?

– Rzadko mam okazję.

– Dzisiaj masz i całkiem ci dobrze wyszło. Tamten facet przy ostatnim stoliku oczu nie może oderwać.

– Żartujesz sobie ze mnie! – udała oburzenie, ale zerknęła w stronę mężczyzny.

– O, czyli jednak jest jeszcze w tobie jakiś kobiecy instynkt łowiecki – roześmiała się Marzena.

– Wariatka!

Zamilkły. Marzena nadal obserwowwała swoją stopę w nowym sandału, a Gosia rozglądała się po ogrodzie. Zatrzymała wzrok na wieżyczce zwanej „Plotkarką”. Niewielka, jakby przyczepiona do muru dla żartu, niepasująca do reszty, a jednak stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Kielcach. Nie sposób było się do niej dostać inaczej, niż przystawiając drabinę do jedyne go niewielkiego okienka. Kielczanie darzyli ją sentymentem, a co roku z okazji Walentynek dziennik „Echo Dnia” organizował konkurs, w którym nagrodą była kolacja dla pary właśnie w „Plotkarce”. Właściwie był to jedyny sposób, żeby dostać się do wieżyczki, więc niewiele osób mogło się pochwalić tym, że widzieli jej wnętrze.

– Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego ona się tak nazywa – powiedziała Małgorzata.

– „Plotkarka”? Nie wiem. Też kiedyś szukałam odpowiedzi na to pytanie, ale niczego nie znalazłam. I sama sobie wymyśliłam, że może ten, kto tam siedział, mógł obserwować, co się dzieje w zakamarkach parku i potem plotkować o tym, co dojrzał, chociaż miało być ukryte.

– Ciekawa koncepcja. Tylko może sprawdza się w mieście. Bo u nas, w Jagodnie, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Niepotrzebna do tego „Plotkarka”. Nic się nie ukryje. Dlatego trzeba uważać na to, co się robi i mówi.

– I ty uważasz? – Marzena popatrzyła na Gosię poważnie.

– Nie mam wyjścia.

– Niby dlaczego?

– Przecież wiesz.

– Bo jesteś żoną Kamińskiego?

Małgorzata pokiwała głową.

– Nie masz czasami dość? Przepraszam, że tak obcesowo pytam, w sumie krótko się znamy, ale ciągle tylko mówisz, że to dla Kacpra, tamto dla Kacpra, idę z Kacprem, co Kacper powie. Co on jest jakimś bogiem?

– Masz rację, czasami mam dość. Ale chyba inaczej już nie potrafię. Przyzwyczaiałam się do swojej roli. Zresztą ostatnio sporo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że tak właściwie to ja się do niczego innego nie nadaję.

– Co ty, kobieto? Żarty sobie ze mnie robisz? – Marzena aż uniosła się na krzeselku. – Jak słyszę takie bzdury o nienadawaniu się, to mi się zaraz ciśnienie podnosi.

– Kiedy to prawda.

– Czyja prawda? Bo coś mi się wydaje, że nie twoja, tylko pana wójta, któremu z tym dobrze, że go potulna żona obsługuje. Ty się na mnie nie gniewaj, ale ciężko się słucha takich bzdur.

– Marzenko, nie masz pojęcia jak to jest. Żyjesz w mieście, w innym świecie...

– Tak, doprawdy, w dwudziestym pierwszym wieku istnieje z pewnością ogromna przepaść między Kielcami a Jagodnem. Po prostu nie do ogarnięcia. W Kielcach kobieta może się realizować, a w Jagodnie musi być niewolnicą.

– Nie jestem niewolnicą – zaprotestowała Małgorzata.

– Czy aby na pewno? To co chciałaś zrobić, a nie zrobiłaś? I dlaczego? No, słucham?

– To długa historia. Zresztą i tak pewnie nie zrozumiesz... – wzruszyła ramionami Gosia.

– Nigdzie mi się nie spieszy. I może jednak jakoś uda mi się zrozumieć. Jeżeli tylko spróbujesz opowiedzieć. – Zmierzyła rude włosy i popatrzyła Gosi prosto w oczy. – Jak kobieta kobiecie.

I Małgorzata zwierzyła się tej nieco postrzelonej nowej koleżance. Zrobiła to, bo poczuła od niej energię, której jej samej brakowało. Siłą na to, żeby być niepokorną, realizować swoje pomysły, nawet jeżeli wydają się nieprawdopodobne. Pomyślała, że może Marzena znajdzie jakiś sposób, coś jej podpowie. Może los nie skrzyżował ich dróg tak zupełnie przypadkowo?

– I powiedział ci, że nie masz żadnych kwalifikacji?

– Dokładnie tak powiedział. Zresztą ma rację. Nigdy nie pracowałam, więc tak naprawdę nic nie potrafię.

– Dziewczyno, pomyśl! Jak to: nie pracowałam? A co ty robisz każdego dnia?

– Normalnie, nic szczególnego. Gotuję, robię zakupy, jak Kacper organizuje jakieś spotkanie, to może wtedy muszę przygotować coś specjalnego, ale poza tym to nic.

– No to jednak coś robisz. I jak znam życie, to zajmuje sporo czasu. O drobiazgach typu pranie, prasowanie, sprzątanie to zapomniiałaś. W końcu zajmują tylko pół dnia, prawda?

– Każda kobieta to robi. – Gosia nie dawała się przekonać.

– Nie każda. Ja na przykład nie.

– Bo nie masz męża – wypaliła Małgorzata. – Przepraszam – zawstydziała się.

– Nie masz za co mnie przeproszać. Przecież to fakt, nie mam. Ale gdybym miała mieć tylko po to, żeby być jego kucharką i sprzątaczką, to ja dziękuję za takie przyjemności. Serio.

– Ty możesz tak mówić, bo masz pracę, jesteś niezależna i robisz, co chcesz.

– To też miej pracę i rób, co chcesz.

– Kiedy ja w sumie nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła tego, co robię – broniła się Małgorzata. – Na przykład gotowanie to naprawdę lubię. Coś w domu zmienić, żeby było ładniej też lubię. Wyszukuję czasem takie oryginalne drobiazgi...

– No to zacznij zarabiać na tym, co lubisz – przerwała jej Marzena. – Rób to samo, tylko za pieniądze. Tak jak ja. Lubię rysować i projektować, robię to i za to mi płacą.

– Kacper ma mi płacić? Przecież to bez sensu.

– Jego w to najlepiej nie mieszaj. I tak zajmuje ci większą część życia. Miałam raczej na myśli coś tylko twojego. I nawet mi przyszła do głowy ta stylistka. Może tego chciałybyś spróbować? Jesteś naprawdę dobra w te klocki. Mam wiele koleżanek, które na pewno chętnie poszłyby do sklepu z kimś, kto im fachowo doradzi. – Marzena zapaliła się do swojego pomysłu. – Mogłabym cię polecić. A poza tym to teraz bardzo modne – mieć własną stylistkę.

Małgorzata była zaskoczona pomysłem Marzeny. Tempo, w jakim rozsnuwała przed nią wizję

ewentualnej pracy, uznała za zbyt szybkie. Owszem, taka myśl była kusząca, ale czy praktyczna i możliwa do realizacji? I co powiedziałby na to Kacper?

– No i jak? Jeżeli ci się podoba, to ja mogę już dziś wieczorem poszukać ci pierwszych klientek – zachęcała Marzena.

– Dziękuję, ale chyba muszę najpierw pomyśleć o tym na spokojnie.

– A nad czym tu się zastanawiać?

– Nie potrafię tak szybko decydować jak ty – uśmiechnęła się Gosia. – Potrzebuję czasu.

– W porządku – zmitygowała się koleżanka. – Wiesz, ja jestem taka w gorącej wodzie kąpana. Co pomyślę, to zaraz robię. A czasem nawet robię, zanim pomyślę. – Pociągnęła łyk ze słomki, opróżniając szklanekę. – I sama się nie raz przekonałam, że lepiej się czasami zastanowić, więc cię rozumiem. Ale jakbyś się zdecydowała, to pamiętaj, że służę pomocą. To co? Chyba pora kończyć tę posiadówkę? – Zajęła się rozpinaniem sandałka, ale po chwili podniosła głowę. – Wiesz co? Przyszło mi do głowy, że ja musiałam cię spotkać. Bo gdyby nie ty, nigdy nie miałabym takiej sukienki i tych pięknych butów. Może dzięki tobie chociaż raz będę wyglądać jak... motylek? – roześmiała się.

Pomyślała o tym samym, co ja – zauważyła Gosia. – Też uznała, że nie spotkałyśmy się przypadkiem. Czy to jakiś znak? A jeśli tak, to skoro ona dostała coś ode mnie, nawet przypadkiem i nieświadomie, to może i ja dostałam coś od niej? Tylko co?

Nie była pewna, ale czuła, że bardzo podoba jej się myśl o robieniu tego, co lubi. Żeby to robić i zarobić. Marzenie się udało. Może mogłoby i jej?



Marysia pomagała babci Róży w przygotowaniu obiadu. Były same, bo Zofia poszła w odwiedziny do córki i wnuków. Zięć wyjechał na jakieś targi budowlane i miał wrócić dopiero w niedzielę, więc Kasia zaprosiła matkę na obiad. Zofia bardzo się cieszyła na to spotkanie i już od czwartku szykowała najlepszą sukienkę. Jeszcze przed wyjściem upewniała się, czy na pewno sobie poradzą.

– Idź Zofio i ciesz się wnukami. Przecież jakoś tu żyłam wiele lat i z głodu nie umarłam – uśmiechała się babcia Róża. – Mam zresztą moją ulubioną pomocnicę. Przy okazji nauczę ją, jak ugotować dobry żurek, bez użycia tego sklepowego proszku z torebek.

I właśnie uczyła.

– Pyszny – oceniła Marysia, próbując zupę. – Lepszego nigdy nie jadłam.

– Bo na naturalnym zakwasie. Tu u nas, w świętokrzyskim, robimy to najlepiej. Nie wiedziałaś, że region słynie z żurku i zalewajki? Łukasz zawsze nie mógł się nachwalić... – Staruszka westchnęła na wspomnienie mężczyzny.

– A, widzisz babciu, całkiem zapomniałam! Babcia Ewa wspominała, że Łukasza szukał ojciec.

– Tak, odwiedził mnie Adam.

– No właśnie. Bo ja go widziałam.

– Adama?

– Nie. Łukasza. W Gdańsku, przed klubem. Może trzeba o tym powiedzieć jego ojcu?

– No i proszę! Pięknie, nie ma co! – Do rozmowy wtrąciła się Tamara, która siedząc przy stole, obierała ziemniaki. Przysłuchiwała się rozmowie i teraz nie mogła się powstrzymać przed wyrażeniem

swojego zdania. – Ojciec go szuka, ty się martwisz, a on sobie spokojnie baluje na Wybrzeżu. Masz, babciu, swój ideał!

– Nie wiem, czy on się tam bawi. Bo wyglądało na to, że robi coś innego – wyznała Marysia.

– Co niby? – Matka spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Nie wiedziałam, czy mówić, ale jeśli go szukają, to może ma jakieś znaczenie... Bo on tam stał w towarzystwie dilerów. To znaczy, ja nie mam do końca pewności, ale tak wyglądali, że wiadomo było. Zresztą nie wiem sama, nie chcę nic mówić. Tylko pomyślałam, że może on... może ma problem.

– Jeszcze lepiej. Tutaj pił, a teraz ćpa. To do niego podobne – uznała Tamara. – Grunt to dobra zabawa. Jakoś mnie to w ogóle nie dziwi. Znudziła mu się wieś, bo od czasu do czasu jednak musiał popracować. No to znalazł sobie sposób na łatwą kasę i zabawę. Niech się jeszcze okaże, że sam handluje, to wreszcie będzie mi babcia musiała przyznać rację – stwierdziła triumfującym tonem. – Od razu wyczułam, co to za ziółko. Takich to na kilometr rozpoznaję, mam doświadczenie, niestety.

– Nie handluje. I nie ma nic wspólnego z narkotykami – powiedziała babcia Róża spokojnie.

– Taka babcia jest pewna?

– Tak.

– No to gratuluję naiwności, naprawdę. Przepraszam, ale muszę powiedzieć, że teraz to mnie babcia naprawdę zaskoczyła. Przecież mądra z babci kobieta, a jak tylko chodzi o tego człowieka, to jakaś pomroka babci na oczy pada.

– Skoro uważasz, że mądra ze mnie kobieta, to dlaczego i tym razem nie miałabym mieć racji?

– Właśnie tego nie rozumiem. Skąd to poczucie pewności, ta wiara w jego nieskazitelność?

– Nigdy nie twierdziłam, że jest nieskazitelny.

– Niech będzie. Ale nic złego na niego babcia powiedzieć nie da. A teraz fakty mówią same za siebie.

– Jakie fakty? Że stał przed klubem? Że z kimś rozmawiał? Bo tylko to wiesz na pewno, prawda?

Tamara niechętnie, ale musiała przyznać babci rację. No ale z drugiej strony nikt ot tak sobie nie rozmawia z dilerami. I nie wyjeżdża niespodziewanie, a potem nie daje znaku życia. Gdyby to jeszcze miało jakiś sens, był jakiś powód, że go tak nagle pogało na drugi koniec Polski. Chyba że babcia zna przyczynę?

– To niby co tam miał do załatwienia? – próbowała jeszcze bronić swoich racji i jednocześnie sprawdzić własne przypuszczenia.

– Skoro tam był, to pewnie coś miał. – Babcia nie dała się sprowokować. – Marysia też tam była.

– Właśnie, Marysiu, a co ty tam robiłaś? – Tamara czujnie spojrzała na córkę. – Przed takim klubem?

– Mamo! – oburzyła się dziewczyna. – My tylko przechodziliśmy. Szliśmy na spacer. Nawet nie wchodziliśmy do środka, bo woleliśmy... – zawahała się i ugryzła się w język – ...woleliśmy spacer – dokończyła, powtarzając, bo przecież nie mogła powiedzieć, że woleli całować się w cieniu gdańskich bram.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą Tamara.

– Marysiu, skocz do ogródka i przynieś mi ze dwie cebulki – poprosiła babcia Róża. – Podsmażymy i będzie pyszna okrasa na ziemniaki.

Kiedy dziewczyna wyszła, staruszka usiadła naprzeciwko Tamary i zapytała:

– Wierzysz jej? Nie przyszło ci do głowy, że może kłamać?

– Oczywiście że wierzę. Od czasu naszej szczerzej rozmowy po aferze ze szkołą i tym Oskarem, nigdy mnie nie zawiodła. Nie mam powodu, żeby jej nie ufać.

– No widzisz. To tak samo jak ja wierzę w Łukasza. Też nigdy mnie nie zawiodł i nie mam powodu mu

nie ufać.

– Jest chyba różnica między Marysią a Łukaszem – zaprotestowała Tamara. – Ona jest nastolatką, a on dorosłym mężczyzną.

– I co z tego? Każdy popełnia błędy. Chyba nie zaprzeczysz? – popatrzyła Tamarze w oczy, a ta spuściła głowę. – Ale każdemu należy się druga szansa. Ty dałaś taką swojej córce, a ja Łukaszowi. I nie zmienię zdania, dopóki nie będę wiedziała czegoś na pewno. Czy to źle? Chciałabyś, żeby ktoś cię ocenił i w ciebie zwątpił tylko na podstawie jednej niejasnej sytuacji? Wiem, że go nie lubisz, ale postaraj się popatrzeć na to z dystansem. Postaraj się być sprawiedliwa.

Tamarze zrobiło się wstyd. Babcia Róża miała rację. Z radością i satysfakcją przyjęła relację Marysi i od razu oceniła wszystko tak, jak jej było wygodnie. Wreszcie mogła otwarcie powiedzieć coś niepochlebnego o tym mężczyźnie, który tak ją denerwował swoim chmurnym spojrzeniem i mrukliwością. I skorzystała z okazji. Nawet nie starała się popatrzeć obiektywnie na sprawę, tylko upajała się swoim poczuciem wyższości i zwycięstwa.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co przepraszasz babcię? – zainteresowała się Marysia, podając staruszce młode cebule.

– Twoja mama zapomniała kupić pora do jutrzejszego rosółu. Za karę teraz pokroi cebulę.

Powinnam pokroić jej chyba z tonę, żeby jakoś odpokutować swoją głupotę – pomyślała Tamara. – Czasami wydaje mi się, że jestem głupsza od własnej córki.

– Ale musisz przyznać, że powinien jednak dać znać rodzinie, że żyje – w tym jednym babcia musi się z nią zgodzić. – To nieodpowiedzialne. Ojciec go szuka.

– A kto ci powiedział, że szuka?

– Chyba ty, babciu.

– Niczego takiego nie mówiłam.

– Tak myślałam. Tak to wyglądało.

– Czasami inaczej wygląda, a inaczej jest – odparła babcia. – Jak ze łzami przy krojeniu cebuli. Wyglądają jak prawdziwe, a przecież nie są ze smutku. Albo odwrotnie – są ze smutku, a cebula to tylko pretekst, żeby to ukryć. Na pierwszy rzut oka nigdy nie wiadomo. Mam rację?

– Dzisiaj to nie jest mój najlepszy dzień – westchnęła Tamara znad cebuli. – Już nic nie powiem, bo całkiem się pogrążę, a babcia zupełnie mnie zdołuje. I, co gorsza, będzie miała rację.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi. – Marysia patrzyła to na babcię, to na matkę. – Ale myślę, że po obiedzie mogłybyśmy pojechać i dokupić tego pora. I lody czekoladowe. Są najlepsze na wszystkie doły, przynajmniej według mnie.

– Ja wolę waniliowe – chlipnęła znad cebuli Tamara. – Z bakaliami.

– To ja stawiam – zdecydowała Marysia. – No co? Zostało mi trochę kasy z wyjazdu, to chyba mogę zafundować lody mamie i babci?

– To dla mnie taki w wafelku. Najlepiej truskawkowy – uśmiechnęła się babcia.

– No to lista zakupów gotowa – roześmiała się Marysia. – Por i trzy lody. Kto na nas spojrzy, od razu rozpozna prawdziwych smakoszy.

– Czasami inaczej wygląda, a inaczej jest – uśmiechnęła się Tamara i spojrzała na babcię Różę, która udawała, że niczego nie słyszy, ale przecież słyszała doskonale. I też się uśmiechnęła.



Kacper był poirytowany. Nerwowo chodził po kuchni i raz po raz otwierał drzwiczki któreś z szafek. Sam nie wiedział, czego w nich szuka. Garnek z zupą stał na płycie, a drugie danie przygotowane na talerzu w lodówce.

– Po prostu sobie podgrzejesz – powiedziała Małgorzata przed wyjściem. – Zupę na kuchence, a drugie w mikrofalce. W kwadrans będziesz miał wszystko gotowe.

Nie protestował, bo udawał obrażonego. Nie powiedziała mu wcześniej, że nie będzie jej prawie cały dzień. Nie, żeby bardzo mu to przeszkadzało, i tak do obiadu miał być poza domem, ale liczył na to, że kiedy wróci, to Małgosia, jak zawsze, poda mu jedzenie. Próbował wzbudzić w niej wyrzuty sumienia i skłonić do rezygnacji z wyjazdu.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś. Zaplanowałem wspólny leniwy poranek. Stęskniłem się za tobą – powiedział, ale nie osiągnął spodziewanego rezultatu.

– Też mi nic nie powiedziałaś o swoich planach. Gdybym wiedziała, spróbowałabym zmienić termin. Nie masz pojęcia, jak trudno się do Lucynki dostać. Jest najlepsza. Od miesiąca czekałam na wizytę. Sam przecież chcesz, żebym dobrze wyglądała.

Co miał odpowiedzieć? Miała rację. Ale tak dla zasady udał obrażonego.

– W takim razie pojedę do urzędu, nadrobię zaległości w papierach. Rozumiem, że wrócisz na obiad?

– Nie jestem pewna. Mogę nie zdążyć – powiedziała. I dodała o tym podgrzewaniu.

I jak miał w takiej sytuacji przyznać się, że nie umie obsługiwać ani tej nowoczesnej płyty, ani mikrofalówki? To, że był głodny, nie stanowiło wielkiego problemu. Wystarczyło podjechać do restauracji. Kwadrans i będzie w mieście. Ale co z tym obiadem, który przygotowała Małgorzata? Przecież zobaczy i zapyta. A on za nic się nie przyzna, dlaczego nie zjadł.

Miał tylko jedno wyjście. Usunąć ślady porażki. Tak zrobię – zdecydował, zadowolony z pomysłu. Wlał na talerz zimną zupę, a następnie zaniósł do toalety i opróżnił naczynie, które zaraz potem wylądowało w zmywarce. Drugie danie zgarnął do plastikowej reklamówki. Wyrzucę po drodze – pomyślał. – A teraz trzeba wreszcie coś zjeść.

Godzinę później szedł, najedzony i zadowolony, parkową alejką. Dawno tutaj nie był. Ostatnio chyba z Małgosią – starał się przypomnieć sobie tamten czas. – Kiedy to było? Już ze dwa lata temu. Jak ten czas leci!

No, ale on wyglądał całkiem nieźle. Wiedział, że dobrze się prezentuje w błękitnej koszulce polo i džinsach. Co prawda przyzwyczał się już do garnituru i w nim czuł się najlepiej, ale miło było czasami założyć coś luźniejszego, zwłaszcza w taki upalny dzień. Widział w oczach mijających go kobiet, że nadal jest atrakcyjnym mężczyzną. Zresztą Małgosia też dobrze się trzyma – pomyślał. – Nikt nie powiedziałby, że zbliża się do czterdziestki. Wygląda z dziesięć lat młodziej. Jak tamta kobieta. Zaraz! – Przystanął i przyjrzał się uważnie. – To przecież ona!

Szybko skręcił w boczną alejkę i z bezpiecznego miejsca przy pnium kasztanowca obserwował żonę. Szła z jakąś ruda kobietą. Kacper nie wiedział, kim była towarzyszka Małgorzaty, ale miał wrażenie, że już gdzieś ją widział. Nie to jednak było najdziwniejsze. Bardziej zaskoczyło go to, że Gosia wyglądała jakoś inaczej niż w domu. Była taka... rozluźniona. I radosna. Coś paplała do koleżanki i ciągle się uśmiechała. Szkoda, że do mnie nie chce jej się tak uśmiechać – pomyślał Kacper. – Tylko ciągle ma

pretensje i skwaszoną minę. Gdyby po domu chodziła takim krokiem... – zawiesił wzrok na zgrabnych nogach i pantofelkach na szpilkach.

Kiedy kobiety odeszły, Kacper otrząsnął się z zamyślenia. To mnie nie ma kto obiadu podać – pomyślał – a ona sobie spaceruje z koleżanką po parku. Ja wszystko rozumiem, ale chyba to przesada. Mogła wrócić szybciej. Będę musiał z nią o tym porozmawiać.

I ruszył szybko w kierunku, gdzie zaparkował samochód. Chciał być w domu przed żoną.



Marysia odprowadzała Kamila na stację. Co prawda Tamara zaproponowała, że ich podwiezie, ale wybrali spacer.

– To chociaż zadzwoń, gdy pociąg odjedzie. Podjadę i nie będziesz musiała sama wracać – nalegała matka, więc obiecała, że to zrobi. I tak wtedy Kamila już nie będzie, więc może jechać, ale teraz wołała przejść tych kilka kilometrów, bo to oznaczało jeszcze trochę wspólnie spędzonego czasu. A tego było Marysi wciąż za mało. I wiedziała, że niedługo będzie go jeszcze mniej.

To ją zasmucało, ale starała się, żeby Kamil niczego nie zauważył. Udawała dobry humor, śmiała się razem z nim. Nikt tak jak on nie potrafił wymyślać zabawnych skojarzeń, widzieć w zwykłej gałęzi ośmiornicę, a w chmurach smoka. Nie mówiąc o tym, że kiedy ją obejmował, czuła się tak dobrze, jak nigdy wcześniej.

Stacja Jagodno dni świetności miała za sobą. Budynek był piętrowy i na górnej kondygnacji nadal mieszkali lokatorzy. Przez otwarte okno słychać było odgłosy programu telewizyjnego, a tuż obok peronu, na rozciągniętym między drzewami sznurku suszyło się pranie.

Na dole kiedyś mieściła się poczekalnia dla pasażerów i kasy. Babcia Róża mówiła, że był tu nawet sklepik. Podobno później ograniczono czas pracy kasjerów i nocą poczekalnia zostawała bez żadnego nadzoru, co wykorzystywała miejscowa młodzież, urządzając tu spotkania przy piwie czy tanim winie. Szczególnie zimą ogrzewane pomieszczenie było łakomym kąskiem dla amatorów zabawy. Tak zaczął się powolny proces niszczenia, bo chociaż chętnych do korzystania z poczekalni było wielu, to do sprzątnięcia po sobie nikt się nie palił. Wreszcie podjęto decyzję o zamykaniu budynku na noc, a jeszcze później, w ramach restrukturyzacji kolei i szukania oszczędności, kasę zlikwidowano w ogóle. Teraz bilet można było kupić jedynie u obsługi pociągu. A stacja? Jak każdy opuszczony dom, podobnie jak opuszczony człowiek, zaczęła brzydnąć, starzeć się i gasnąć. Na fasadzie pojawiły się zmarszczki odchodzącej farby, okna straciły blask, wejście wyszczerzyło się grymasem spaczonych drzwi... Zapomniany, nikomu niepotrzebny budynek nadal jednak był schronieniem dla mieszkańców piętra i chyba tylko dlatego stał jeszcze, trzymając mury ścian i tabliczkę z napisem „Jagodno”.

Wyszli od razu na peron. Tutaj przynajmniej były ławeczki. Zajęli jedną z nich, siadając blisko siebie. Kamil objął Marysię ramieniem.

– Przyjadę dopiero w czwartek. Ojciec zaproponował, żebyś mu pomagał przez trzy dni. Wiesz, przyda się trochę kasy – powiedział.

– Jasne – przytaknęła Marysia, chcąc pokazać, że rozumie, ale perspektywa czterech dni bez spotkania nie była niczym miłym.

– Jesteś smutna. Co się stało?

– Nic. Po prostu żal mi wakacji. To już będzie ostatni tydzień.

– Nie dla każdego – uśmiechnął się chłopak. – Ja mam jeszcze trochę wolnego. Będę mógł po ciebie przychodzić.

– To fajnie – powiedziała, ale wcale tak nie myślała.

Nie było fajnie. Nie było i już.

Zerknęła na chłopaka, który wpatrywał się w rząd drzew rosnących wzdłuż ostatniego peronu. Czy on nie czuje żadnych obaw? – zastanawiała się. – Nie martwi się, co z nami będzie? Nic po nim nie widać. Albo jest tak pewny, że będzie dobrze, albo mu po prostu nie zależy.

– Widzisz tamto drzewo? – pytanie Kamila wyrwało ją z zamyślenia.

– Widzę kilkanaście drzew – odpowiedziała zaczepnym tonem.

– Chodzi mi o to pierwsze z lewej, zaraz przy budynku stacji.

– No widzę. I co?

– To nie jest zwyczajne drzewo.

– No jasne – powiedziała z przekąsem. – Pewnie zaczarowane.

– Skąd wiesz? Masz rację, ono jest zaczarowane.

– Bajki opowiadasz – zdenerwowała się. Nie była w nastroju do żartów.

– Popatrz uważnie – nie dawał za wygraną. – Przecież wyraźnie widać, że to kobieca postać. – Mówił i pokazywał ręką, o czym opowiada. – Tutaj ma głowę, pochyloną, a niżej tułów i długą sukienkę. Siedzi zapatrzona w dal. Taka smutna, zamyślona.

Marysia słuchała i patrzyła. I pod wpływem słów chłopaka rzeczywiście dostrzegła w pniu wszystko, o czym mówił.

– Dlaczego ona tak smutna? – zapytała cicho.

– Kiedyś, dawno temu, odprowadzała na pociąg swojego ukochanego. On musiał wyjechać, żeby nauczyć się zawodu, znaleźć dobrą pracę. Ona nie chciała się z nim rozstawać, ale wiedziała, że nie może go zatrzymać. On obiecywał, że kiedy tylko ułoży wszystko w dalekich stronach, to wróci i zabierze ją ze sobą. I będą żyli długo i szczęśliwie.

– I nie wrócił – westchnęła Marysia.

– Nie wrócił. Nie wiadomo dlaczego, ale nie wrócił. A ona każdego dnia przychodziła tutaj i wypatrywała pociągów. Czekala na ten, który przywiezie jej ukochanego. I z każdym dniem była coraz bardziej smutna i coraz bardziej zamyślona – opowiadał spokojnym, cichym głosem. – Coraz dłużej przebywała na peronie. Czas płynął, a ona stała zpatrzona w dal. Czekala, bo kochała. Czekala tak długo, że zmieniła się w drzewo, które zapuściło korzenie na brzegu peronu. I teraz macha do podróżnych zielonymi gałęziami i przynosi szczęście wszystkim, którzy się tu żegnają.

– Ładna historia. – Marysia spojrzała na chłopaka wilgotnymi ze wzruszenia oczami. – Ale skąd wiesz, że przynosi szczęście? Przecież ona nie była szczęśliwa. Została tutaj sama. Bo wierzyła jak głupia, że ten chłopak wróci.

– A ty byś nie wierzyła? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Mnie przyniosła szczęście – powiedział po chwili milczenia Kamil. – Pożegnałem się tu kiedyś z tobą i pomyślałem sobie życzenie. I ono się spełniło. Spróbuj też pomyśleć.

– I się spełni? – spojrzała na niego z nadzieją.

– Jestem pewien, że tak.

Wtuliła się w jego czarną koszulkę i ze wszystkich sił zacisnęła powieki, żeby się nie rozplakać.

– To ja będę wierzyła – powiedziała prawie bezgłośnie. – Najwyżej będę tu jeszcze jednym drzewem.

– Tu już nie ma miejsca na więcej drzew. Jest komplet. Zresztą nie mam zamiaru całować kory na powitanie.

A jednak usłyszał. I odwrócił twarz Marysi, a potem ją pocałował. I chwilę później wsiadł do pociągu.

Pomachała mu na pożegnanie i wyszła przed budynek stacji. Nie zadzwoniła po matkę. Zdecydowała, że jednak woli wrócić piechotą. Miała sporo do przemyślenia. Szła powoli, raz po raz dotykając swoich ust, na których czuła jeszcze wargi Kamila.



Na początku usłyszała tylko głośną muzykę i hałas rozmów. Domyśliła się, że to odgłosy z jakiegoś pubu czy dyskoteki. Nie zdziwiło jej to, w końcu gdzie indziej mógłby przebywać w sobotni wieczór jej były zięć? Na pewno nie w domu – pomyślała. – To się nigdy nie zdarzało.

– Halo! Halo! – powiedziała głośno, bo nie wiedziała, czy ktoś jest po drugiej stronie.

Wreszcie usłyszała jakiś chrobot i przebijający się przez gwar męski głos:

– Chwila, tylko przejdę w lepsze miejsce.

Czekała więc, muzyka stała się cichsza i męczyzna odezwał się po raz drugi.

– Jestem. Co tam?

– Dobry wieczór. Mówi Ewa Dobrosz. Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz, kim jestem...

– Jak mógłbym mamusi nie pamiętać! Jasne, że pamiętam. – Nawet nie ukrywał lekceważenia.

– Ale to, żebyś tak do mnie nie mówił, najwyraźniej zapomniałeś. A chyba ustaliliśmy już dawno...

– Ależ mamusia drobiazgowa. A jak niby miałbym mówić? Przecież przez ładnych kilka lat byliśmy rodziną.

Bezczelny typ! – zezłościła się kobieta.

– I o tych kilka lat za długo – ucięła. – Niestety, tamte wydarzenia mają swoje konsekwencje.

– Niestety dla mamusi.

– Mylisz się. Dla ciebie – nadała głosowi lodowaty ton, którego używała zawsze, gdy miała do czynienia z kimś, kogo nie lubiła.

– Nie sądzę. – Głos w słuchawce zmienił się. Nie był już żartobliwie złośliwy, raczej po prostu pełen złości.

– Zatem będziesz miał okazję się przekonać. Bo chcę się z tobą spotkać.

– Nie widzę powodu. Zresztą nie mam czasu. Pracuję ciężko, bo wkrótce będę miał na utrzymaniu dorastającą córkę. A to kosztuje – roześmiał się wprost do słuchawki tak głośno, że Ewa musiała na chwilę odsunąć telefon od ucha.

– Słyszałam o tych bzdurach. I właśnie dlatego chcę porozmawiać.

– Problem w tym, że ja nie chcę. Nawet widzieć mamusi nie chcę. Już się dość naoglądałem.

– Myślę, że jednak będziesz musiał.

– Ja nic nie muszę – słyszała, że jest już mocno zirytowany. – I nie mam czasu na rodzinne pogawędki. Piana mi na piwie opada.

– Wobec tego krótko ci tylko przypomnę o pewnej kartce z twoim podpisem. Czekam na ciebie jutro o jedenastej. Do widzenia.

I rozłączyła się. Była pewna, że były zięć jest wściekły, ale nic jej to nie obchodziło. Wiedziała, że Leszek przyjedzie i przygotowała się do tej rozmowy. Stawką był spokój jej córki i wnuczki, więc musiała wygrać. Nie bała się gniewu i złości tego człowieka. Niczego się nie bała, jeśli chodziło o szczęście rodziny. I chociaż metoda, którą miała się posłużyć, nie była może godna pochwały, to przecież i jej przeciwnik stosował nieuczciwe chwyt.

Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, Leszku – powiedziała głośno. – Trzeba było nie zaczynać. Z Ewą Dobrosz jeszcze żaden cwaniaczek nie wygrał.



Jan postanowił się przespacerować. Mieszkał w hotelu Grand, więc wybrał najprostsze rozwiązanie – główny deptak, czyli ulicę Sienkiewicza. Nie przeszkadzała mu późna pora, i tak nie mógł zasnąć. Miał nadzieję, że przechadzka go zmęczy, a przy okazji obejrzy miasto nocą.

Musiał przyznać, że to, co zobaczył, spodobało mu się. Ulica była pięknie oświetlona, stylowe latarnie tworzyły szpaler po obu jej stronach, wskazując drogę aż po horyzont. Większość kamienic odnowiono z dbałością o ich zabytkowy charakter, a ciemności ukryły część szyldów i reklam, które za dnia psuły nieco estetykę, więc o tej porze można było odnieść wrażenie, że czas się cofnął i za chwilę zza rogu wyjedzie dorożka.

Jan zauważył, że wzdłuż deptaka ustawiono sporo ławeczek, nie brakuje też zieleni, więc zmęczony spacerowicz mógł w każdej chwili odpocząć w cieniu drzewa. Kawiarniane ogródki zachęcały do spędzenia ciepłej letniej nocy na wiklinowym fotelu, przy filiżance kawy albo kieliszku wina. Można siedzieć i rozmawiać, choćby do rana – pomyślał. – O ile ma się z kim.

On był sam, nie usiadł więc. Szedł dalej i obserwował ludzi mijanych po drodze, siedzących przy stolikach i na ławeczkach. Rozglądał się uważnie, odwracał głowę za każdym razem, kiedy słyszał głośny śmiech. Co ja robię? – zastanawiał się. – Przecież nikogo tutaj nie znam, nikogo nie spotkam.

Starał się skoncentrować raczej na oglądaniu fasad domów, analizowaniu zdobionych balustrad i architektonicznych szczegółów, ale wzrok ciągle i uparcie kierował się na twarze. Kobięce twarze. Jedna z mijanych dziewczyn uśmiechnęła się do Jana zachęcająco, dwie inne zachichotały, gdy zauważyły jego badawczy wzrok. Mężczyzna odwrócił głowę. Nie chciał być wzięty za podrywacza, który spaceruje po mieście w poszukiwaniu nowych znajomości czy chwilowej przygody. Nikogo przecież nie szukał, chciał tylko pospacerować przed zaśnięciem.

Ciekawe, jak tutaj wyglądają nocne kluby – zastanawiał się. – I jak bawią się ludzie.

– Przepraszam – zagadnął przechodzącą grupkę. – Gdzie tutaj najbliższej można potańczyć?

Młodzi ludzie zmierzyl go badawczym spojrzeniem i jeden z chłopaków powiedział:

– To w tym wieku jeszcze lekarz nie zabrania?

Towarzyszące mu dziewczyny roześmiały się hałaśliwie.

Jan odszedł, nie komentując ich zachowania. Miał świadomość, że nie jest już nastolatkiem, ale słowa chłopaka w brutalny sposób uświadomiły mu, że czas jednak płynie. Mężczyźni w jego wieku nie spacerowali samotnie nocą. Siedzieli w domach z dziećmi albo spędzali czas z partnerką.

Ale przecież są tacy, którzy, jak ja, nie znaleźli jeszcze swojej drugiej połowy – zastanawiał się. – I gdzieś bawią się w sobotnie wieczory. Chociażby Marzena. Ona nie ma rodziny, a nie wierzę, żeby

weekendowe noce spędzała przed telewizorem. Ma na to zbyt dużo energii i takiego... apetytu na życie. – Przypomniawszy sobie rudowłosą kobietę i nie potrafił powstrzymać uśmiechu. – Szkoda, że jej o to nie zapytałem. Ale nic straconego, mogę zadzwonić. – Sięgnął po telefon i zdał sobie sprawę, że nie ma jej numeru. Przez chwilę pomyślał, że może zadzwonić do Tamary i zdobyć ten kontakt, ale z westchnieniem zrezygnował. Telefony po dwudziestej drugiej to nie był dobry pomysł. To znaczy telefony do Tamary. Bo do Marzeny mógłby zadzwonić, ona nie przywiązywała wagi do konwenansów. I był pewien, że teraz nie śpi, że bawi się na jakimś parkiecie, śmieje się głośno i co rusz przeczesuje dłonią sterczące rude włosy.

Odechciało mu się dalszego spaceru. Znudziło go samotne chodzenie po ulicach. Zdecydował się na powrót do hotelu, gdzie długo stał pod prysznicem i rozmyślał o tym, jak miło byłoby posiedzieć w kawiarnianym ogródku pod gwiazdami i porozmawiać z kimś. Dokuczala mu samotność i jakaś dziwna tęsknota, której nie potrafił sprecyzować.



Babcia Róża siedziała na łóżku i segregowała niewielkie kłębuszki wełny. Od czasu do czasu robiła porządek w resztkach, które zostały jej z zakończonych robótek, dzieliła je kolorystycznie albo biorąc pod uwagę grubość. Nie lubiła marnotrawstwa, więc zamiast wyrzucać, wołała wykorzystywać je w kolejnych pracach lub do ozdobienia serwetki czy ściereczki. Przy tym zajęciu zastała ją Marysia.

– Wejdz, dziecko – zaprosiła dziewczynę, widząc, że zagląda do pokoju. – Nudzisz się?

– Trochę – przyznała Marysia. – Mama poszła do lasu, ale mnie się jakoś dzisiaj nie chce. Potem i tak muszę iść do hrabianek, żeby pospacerować z Kronosem.

– A wołałabyś z kimś innym – domyśliła się babcia.

– Wołałabym – przytaknęła. – Co babcia robi?

– Porządek. Czasami tak mi się w tym worku nazbiera, że sama nie wiem, co tam jest. Robi się ciężki i zaczyna zawadzać. Wtedy wysypuję wszystko i sprawdzam. Sama zobacz – tyle kolorów, jednego mniej, drugiego więcej, część się poplątała. Prawdziwy galimatias. Patrzysz i nie wiesz, co z tym zrobić. Czy to w ogóle potrzebne i do czego.

– I co z tym zrobisz? W ogóle daje się nad tym zapanować? – zaciekała się Marysia.

– Jakoś mi się do tej pory udawało. Tylko że to trochę trwa, bo każdy trzeba dokładnie obejrzeć. Sprawdzić, co jest wart, czy jest inny, który do niego pasuje. Dzielę to sobie wszystko na kupki i później pakuję w mniejsze woreczki. I tak, powoli, robi się porządek. Potem wiem, gdzie co mam. Które ważne, a które na razie niepotrzebne. A jak szukam, to wiem gdzie. Niektóre okazują się zupełnie niepotrzebne i do niczego nie będą się nadawały. Te wyrzucam, chociaż czasami z ciężkim sercem, ale wiem, że tylko zajmują miejsce, więc lepiej się ich pozbyć. Nic się ładnego z nich nie robi, do niczego pasować nie będą, to tylko zbędny ciężar.

Marysia przyglądała się kolorowym kłębuszkom i sękatym rękóm babci, które sprawnie oddzielały kuleczki i odkładały w różne miejsca łóżka.

– Tak sobie pomyślałam, że ja to chyba mam taki worek w głowie. Pełen różnych kłębuszków, w których jest bałagan.

Babcia zerknęła na dziewczynę uważnie.

– To zrób porządek – poradziła.

– Tylko ja nie wiem, które zostawić, a które wyrzucić. Tobie to tak łatwo idzie.

– Bo ja mam doświadczenie. Od lat to robię. Na początku też nie wiedziałam. Czasem przez lata trzymałam coś, bo wierzyłam, że się przyda. Albo uważałam, że jest wartościowe i piękne, a potem zrozumiałam, że tylko tak mi się zdawało. Do tej pory niektóre muszą swoje odleżeć, zanim się zdecyduję, co z nimi zrobić.

Marysia pokiwała głową. Wzięła do ręki jeden z motków i zapytała:

– A ten?

– Ten zostawiam.

– Nie wydaje mi się ładny.

– Może nie jest. Ale to ciepła wełna. Mam kilka podobnych, w innych kolorach. Kiedy zbierze się więcej, będą skarpety na zimowe chłodne dni. Masz w głowie taki?

Marysia zastanowiła się.

– Może i mam. Poszukam.

– Jak znajdziesz, to zostaw. I szukaj kolejnych. Bo ciepłe skarpety okazują się czasami ważniejsze niż niepraktyczna bluzeczka z błyszczącej włóczki.

– Co mi babcia chce powiedzieć?

– Co ty mi chcesz powiedzieć, dziecko? – uśmiechnęła się Róża. – Bo rozmawiamy o tych kłębuszkach, a przecież ja widzę, że cię coś męczy. Snujesz się z kąta w kąt, nie uśmiechasz się. Co ci leży na sercu?

– Chyba mi się jakiś kłębuszek poplątał. A z drugim nie wiem, co zrobić – zostawić czy wyrzucić.

– A tak wprost się nie da?

– Trochę trudno... Bo to chodzi o Kamila.

Staruszka spokojnie przekładała włóczki. Na zrobienie porządku trzeba czasu – pomyślała.

– Boję się, że on w tym Krakowie pozna inną dziewczynę i mnie zostawi – wypaliła wreszcie Marysia.

– Dlaczego się boisz? Nie ufasz mu?

– Niby ufam, ale wie babcia, jak to jest...

– Nie wiem, jak jest według ciebie, ale dla mnie to zawsze było proste. Ufam ludziom, dopóki mnie nie zawiodą. Czy Kamil cię kiedyś zawiódł?

– Nigdy.

– Więc na razie nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć. Co mówi o swoim wyjeździe?

– Że będzie mnie odwiedzał co tydzień, a za dwa lata dołączy do niego.

– Skoro tak mówi, to na pewno tak myśli.

– A jeśli zacznie myśleć inaczej?

– Tego nie wiesz ani ty, ani on. To przyszłość. Nie znamy jej. Życie układa się różnie, ale to nie powód, żeby nie wierzyć ludziom.

– Czyli mam mu zaufać, ale może się okazać, że będzie inaczej? Przecież to bez sensu!

– Nie wiem, czy bez sensu, czy z sensem, ale wiem, że takie jest życie. Dlatego lepiej cieszyć się z dobrej teraźniejszości niż wyobrażać sobie niedobrą przyszłość. Ten kłębuszek z czarnymi myślami wyrzucić. To moja rada.

– Chciałabym, ale trudno. Kiedy go nie ma, to ciągle tęsknię. I mam więcej czasu, a wtedy jest mi smutno i jeszcze bardziej tęsknię, i wymyślam te wszystkie historie, i jeszcze bardziej mi źle. – Marysia rozplakała się. – Nie potrafię się tego pozbyć.

– No to widocznie musi jeszcze swoje odleżeć – zdecydowała babcia. – W takim razie niech leży, a ty

w tym czasie zrób coś nowego. Żeby zająć myśli.

Babcia Róża szybko wybrała kilka większych kłębków i wrzuciła do foliowej torebki. Podała woreczek Marysi.

– Szalik mu zrób. Będzie jak znalazł na mikołajkowy prezent. Akurat zdążysz.

Dziewczyna otarła oczy.

– Myślałam, że szaliki robi się na drutach.

– Można na drutach i można szydełkiem. Zresztą czy to ważne? Po prostu rób. Dla Kamila. To chyba lepsze niż łyzy, co?

– Chyba lepsze – powiedziała Marysia i babcia Róża zobaczyła błysk w oku dziewczyny. Pomysł jej się spodobał. Przyniosła swoje szydełko, usadowiła się obok babci i zaczęła robótkę.

– Chyba jeszcze nie wyjechał? – uśmiechnęła się babcia.

– Ale ja tak powoli robię, że lepiej już zacznę.

Kiedy Tamara wróciła ze spaceru, zastała obie pogrążone w swoich zajęciach.

– Co wy tak cicho siedzicie? – zdziwiła się. – Myślałam, że nikogo nie ma.

– Czasami miło pomilczeć w towarzystwie – odpowiedziała babcia.

– Tak lepiej się robi porządek – dodała Marysia.

– Jaki znowu porządek?

– W kłębkach. – Dziewczyna uśmiechnęła się porozumiewawczo do babci.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale rozumiem, że to znowu jakiś wasz sekret, więc nie wnikam. Za to powiem wam sensacyjną wiadomość. Dzwonił Janek i prosił o numer do Marzeny. Podobno chce z nią omówić jakieś szczegóły dotyczące remontu dworku. Już to widzę! – opowiadała z rozbawieniem. – Wątpię, żeby zdołali cokolwiek wspólnie ustalić, zanim się pokłócą.

– A ja myślę, że zdążą – stwierdziła babcia. – Zobacz, tu taka grubsza włóczka, a tu cienka i do tego puchata. Niby nie pasują, a jak spleciesz razem, to wyjdzie bardzo ciekawie. Może trochę nietypowo, ale interesująco, prawda?

– Sama nie wiem – stwierdziła Tamara, patrząc na babciną propozycję. – Ja chyba nie chciałabym takiego.

– Ty może nie, ale jacyś amatorzy z pewnością by się znaleźli.

– Jestem pewna – potwierdziła Marysia, zerkając na babcię.

Tamara wzruszyła ramionami.

– Ja się nie znam. I wolę, jak jest prosto, bez udziwnień. A ty – zwróciła się do córki. – Co tam kombinujesz?

– Robię szalik dla Kamila.

– Co robisz? – Tamara nie wierzyła własnym uszom. – Szalik? Po co?

– Żeby mi czas szybciej upływał, jak wyjedzie. I żebym nie tęskniła tak bardzo.

– Jaki mężczyzna teraz nosi szalik ręcznej roboty? Szaliki kupuje się w sklepach. – Tamara czuła, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Jej córka robiąca szalik w oczekiwaniu na powrót chłopaka. To było żywe odbicie opowieści Małgorzaty. Nie, nie pozwoli na to!

– Poza tym za kilka dni pójdziesz do nowej szkoły i będziesz miała co robić. Nauka skutecznie wypełni ci czas. Mówiłaś też, że wrócisz do tańca, więc szkoda czasu na jakiś szalik – mówiła szybko i bardzo chciała, żeby jej słowa brzmiały przekonująco. – Jak się uprzesz, to kupimy mu coś ładnego. Sama wiesz, że jeszcze niezbyt dobrze sobie z tym radzisz, więc chyba lepiej podarować coś gotowego.

Marysia patrzyła na matkę ze zdumieniem, które z każdym słowem tamtej zmieniało się

w rozczarowanie i złość.

– Mamo! Jak możesz! Przecież tu nie chodzi o to, żeby było drogie! To miało być ode mnie, takie naprawdę ode mnie. No może nie piękne, ale z serca.

– Ja to rozumiem. – Tamara zdała sobie sprawę, że przesadziła. – Tylko wydaje mi się, że naprawdę nie będziesz miała na to czasu. I nie chcę też, żebyś się rozczarowała, bo...

Marysia wstała i popatrzyła na Tamarę, która zobaczyła w jej oczach to, co często widywała u własnej matki – upór i stanowczość.

– Zrobię ten szalik. Nie możesz mi zabronić – powiedziała i wyszła z pokoju.

– Wiesz chociaż dlaczego? – zapytała babcia.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego to zrobiłaś. Przecież cię znam. Kochasz ją i chcesz jak najlepiej. A przed chwilą próbowałaś zabronić jej czegoś, co dla niej ważne, zupełnie bez powodu.

– Jest powód.

I opowiedziała babci o szaliku żony wójta.

– Przecież to taka sama historia – zakończyła. – Nie chcę, żeby Marysia była rozczarowana.

– Już jest. Na razie swoją matką, która zamiast mówić szczerze, wymyśla coś o nauce i tańcu.

– A co miałam powiedzieć? Że będzie czekała i robiła ten szalik, a mężczyzna, dla którego się poświęca, wcale tego nie doceni?

– Ależ nie, tego nie mogłaś powiedzieć, bo to nieprawda. Każdy szalik jest robiony z innego kłęбка. I każdy ma swój własny koniec. Małgosia już wie, co było na końcu jej nitki, ale dokąd dojdzie po swojej Marysia – tego nie wiadomo. Musimy wierzyć, że do szczęścia. Bo ona w to wierzy.

Tamara spojrzała na babcię bezradnie.

– To co ja mam jej powiedzieć?

– Prawdę jej powiedz. O tym, co czujesz i czego się boisz. Jak zawsze. Nic więcej nie musisz.

– Dziękuję, babciu.

– Nie ma za co – odpowiedziała staruszka i popatrzyła na biały kłębuszek, który trzymała w ręku. – Ten będzie w sam raz. Zrobię ci mankiety do tej bluzeczki, o której wspominałaś w zeszłym tygodniu. No, nie musisz mnie całować – roześmiała się, bo Tamara cmoknęła pomarszczony policzek. – Idź lepiej do Marysi, bo przez was do wieczora będę robić ten porządek.



Ewa obudziła się już po piątej. Była zdenerwowana, bo chociaż wiedziała, że ma mocne argumenty, to znała charakter swojego byłego zięcia i wiedziała, że musi być ostrożna. Spodziewać można się po nim zupełnie nierozsądnego zachowania, szczególnie jeżeli się na coś uparł.

Najpierw musiała wy badać, czy rzeczywiście chce załatwić jakąś swoją sprawę, czy to po prostu kolejna złośliwość i próba dokuczenia Tamarze. Odwiedziła już prawnika i wiedziała, że otrzymanie lokalu socjalnego nie jest prostą sprawą. Czeka się na takie mieszkania latami, a ojciec, nawet samotny, z jednym tylko dzieckiem nie jest traktowany priorytetowo. Wyglądało więc na to, że albo kłamie, albo znalazł jakiś inny, nie całkiem legalny sposób na szybsze uzyskanie przydziału.

Przygotowała się do spotkania z Leszkiem bardzo starannie. Odwiedziła fryzjera, wyjęła z szafy

garsonkę, której używała, gdy wygłaszała wykłady na konferencjach. Stalowa marynarka w połączeniu z białą bluzką tworzyła obraz profesjonalny i jednocześnie stwarzała dystans. O taki efekt chodziło Ewie – chciała wyglądać na uosobienie zdecydowania. Wiedziała co prawda, że Leszek za nic ma wszelkie autorytety, ale strój miał pomóc także jej w zachowaniu zimnej krwi i zapanowaniu nad emocjami.

Przez kilka godzin nerwowo krążyła po mieszkaniu. Miała ochotę na kieliszek nalewki, żeby uspokoić nerwy, ale zrezygnowała. Jeszcze tego brakowało, żeby poczuł ode mnie alkohol – pomyślała. – Niedoczekanie jego!

Chodziła od okna do okna. Liczyła się z tym, że Leszek się spóźni. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przyszedł gdzieś punktualnie. Ten człowiek składa się z samych wad – pokręciła głową. – Co Tamara w nim widziała? Chyba tylko ten wdzięk bawidamka.

Kwadrans po umówionej godzinie usłyszała ryk silnika. Nie musiała podchodzić do okna, żeby wiedzieć, że nadjeżdża były zięć. Stała jednak za firanką, bo chciała go zobaczyć, zanim zadzwoni do drzwi.

Obserwowała, jak zsiada z motocykla i zdejmuje kask. Musiała przyznać, że wyglądał dobrze, zachował prostą postawę i bujne włosy, jedynie zarys brzuszka pod czarną koszulką zdradzał, że nie jest już dwudziestolatkiem. Chyba nie przywiązywał większej wagi do spotkania z Ewą, bo miał na sobie zwyczajne dżinsy i skórzaną kurtkę. No to uważaj – pomyślała kobieta. – Bo za chwilę będziesz mocno zdziwiony.

Poczekala, aż zadzwoni po raz drugi i dopiero wtedy otworzyła.

– Zapraszam.

– Dzień dobry, mamusi – błysnął zębami w nieszczerym uśmiechu. – Nie będę zdejmował butów, bo jestem po podróży i nie chciałbym zepsuć atmosfery.

– Nie wysilaj się. Twoje prostactwo nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Poszła do pokoju, Leszek za nią. Zajęła miejsce na swoim fotelu.

– Usiądź – wskazała na drugi.

– Nie ma potrzeby, nie zamierzam się rozsiadać. Niech mamusia mówi, o co chodzi.

Zauważyła, że ma spierzchnięte wargi, które stara się zwilżyć językiem i często przełyka ślinę. A, kac – domyśliła się. – Czyli chce szybko wracać, żeby móc się napić. Pewnie boli go głowa. To punkt dla nas, mamy przewagę.

– Powiedz mi, dlaczego znowu zatruwasz życie mojej córce?

– A co to za ton? Przypominam, że mam z twoją córką wspólne dziecko. I prawa ojcowskie, o ile pamiętam. A Tamara utrudnia mi kontakty z Marysią i nastawia ją przeciwko mnie. Nie będę tego tolerował.

– Daj spokój. Nie chcę słuchać tych frazesów. Znam cię doskonale i mnie oczu nie zamydlisz ojcowską miłością. Chcę znać prawdę.

– To jest prawda – odgarnął grzywkę i popatrzył kpiąco. – To co? Mogę już jechać? Zrobiłem ponad sto kilometrów, żeby zapewnić o mojej miłości do córki, to chyba o czymś świadczy?

Ewa miała dość tych bzdur. Zdecydowała, że pora grać w otwarte karty.

– Mówiłeś Tamarze, że potrzebujesz Marysi, żeby dostać mieszkanie. Sprawdziłam to – zablefowała – bo akurat mam dobrych znajomych w tym twoim Radomiu. Dobrych i przy okazji takich, którzy dużo mogą. Sprawdziłam więc i wiem, że nawet z Marysią nie masz szans na lokal socjalny.

– Nie wiem, jakich masz znajomych i nic mnie to nie obchodzi. Najwyraźniej chyba mam lepszych, bo kiedy tylko sąd przyzna mi opiekę nad córką, natychmiast zamieszkać w swojej kawalerce – rozparł się

na fotelu, rozstawiając szeroko nogi w okutych butach, ale Ewa wyczuła, że zaniepokoiły go jej słowa. Na pewno zastanawia się, na ile jestem w stanie popsuć jego plany – pomyślała i ucieszyła się, że wszystko rozgrywa zgodnie z zaplanowanym scenariuszem.

– Niestety, sąd nie przyzna ci opieki nad Marysią.

– A to niby dlaczego? Dziewczyna ma matkę, która nad nią nie panuje. Na dodatek przez nią Marysia próbowała odebrać sobie życie. Jakoś tak to było, prawda? – uśmiechnął się cynicznie.

– Lepsza jednak taka matka niż ojciec, który potrafił kobietę, a później pobił jej męża tak, że ten miał złamaną żuchwę i trzy żebra oraz wstrząs mózgu. A wszystko na oczach ich pięcioletniego dziecka. Jakoś tak to było, prawda?

Leszek gwałtownie wstał.

– Chyba nie zamierzasz tego wywlekać! Każdy ma prawo do błędów młodości!

– Właśnie zamierzam o nich przypomnieć.

– Niczego mi nie udowodnisz!

– Ależ udowodnię bez trudu. I doskonale o tym wiesz. Mam ci przypomnieć, kto wtedy dał ci pieniądze, żeby zapłacić odszkodowanie i zatuszować całą sprawę? I kto dał ci kolejne, żebyś spłacił to, co ukradłeś, pracując w hurtowni? To też niezbyt dobry kawałek do układanki pod tytułem „Wzorowy ojciec”.

– Dałaś, bo chciałaś. I nie ze względu na mnie, ale na swoją córkę.

– I również ze względu na nią zachowałam oświadczenie dotyczące tej ugody. A także dowody pożyczek, które wtedy mi podpisywałeś.

– Mówiłaś, że to zniszczysz.

– A ty mówiłaś, że nigdy więcej nie będziemy mieć problemów z twojego powodu. Jakoś ci nie uwierzyłam. I słusznie, bo już do tej pory miałyśmy ich co niemiara. – Ewa siedziała spokojnie, wyprostowana, nie okazując żadnych emocji. – Teraz jednak miarka się przebrała. Zacząłeś dręczyć własne dziecko, a to niewybaczalne.

Patrzyła, jak miota się po pokoju w bezsilnej złości. Wiedziała, o czym myśli.

– Chyba nie myślisz, że jestem tak głupia, żeby trzymać te dokumenty w domu. Są u mojego adwokata z odpowiednimi dyspozycjami.

– Nic się nie zmieniłaś! – warknął Leszek. – Byłaś i jesteś bezduszną babą, która ma serce z kamienia.

– Twoja opinia na mój temat mnie nie interesuje – odpowiedziała lodowatym tonem. – Uspokój się i usiądź. Mam dla ciebie propozycję. Propozycję nie do odrzucenia, której drugi raz nie powtórzę.

Usiadł, ale nerwowo stukał metalowym noskiem buta o parkiet. Ewa udała, że tego nie dostrzega.

– Moja propozycja jest taka: wyjedziesz teraz i nigdy więcej nie będziesz nękał Tamary i Marysi. Znikniesz na dobre i na zawsze.

– A ty oddasz mi te papiery.

– Ani myślę. Zostaną u mnie, na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. Chociaż mam nadzieję, że przynajmniej raz twój rozsądek się odezwie. Jeśli nie, obiecuję, że znajdę cię wszędzie i będziesz mnie spłacał do końca swoich dni.

– Chyba twoich – rzucił z nienawiścią.

– Nawet jeżeli, to i tak trochę potrwa – nie dała się sprowokować.

Milczał, a ona cierpliwie czekała.

– A jeżeli odrzucę twoją propozycję i mimo wszystko założę sprawę? Może i przegram, ale przynajmniej napsuję ci krwi.

Spodziewała się tego. Wiedziała, że Leszek nie będzie łatwym przeciwnikiem. Jak każdy łajdak bez sumienia. Ale przewidziała i to.

Podeszła do szuflady komody i wyciągnęła z niej kopertę, kartkę papieru i długopis.

– Tu jest dziesięć tysięcy. Jeżeli napiszesz na tej kartce, że je wzięłeś i w zamian za to nie będziesz nigdy więcej kontaktował się z córką i była żoną – dostaniesz je. I pożegnamy się na zawsze. – Zauważyła, że Leszek chce coś powiedzieć, ale powstrzymała go gestem. – Nic więcej nie zaproponuję. To moje ostatnie słowo. Pisz i bierz albo wyjdź od razu. Wybieraj.

Zrozumiał, że Ewa mówi poważnie. Spojrzał na wyprostowaną postać kobiety i wiedział, że więcej nie ugra.

Patrzyła, jak pisze i czuła radość.

– Nie zapomnij zadzwonić do Tamary i powiedzieć, że rezygnujesz z przejęcia opieki nad Marysią – powiedziała mu na odchodne.

Dopiero kiedy zatrzasnęła drzwi za byłym zięciem, pozwoliła sobie na triumfujący uśmiech. Wróciła do pokoju, wyjęła z torebki telefon i wybrała numer Marysi.

– Witaj, tu babcia Ewa – powiedziała. – Dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, że spotkałam się z twoim ojcem. Możesz być spokojna, nie będzie sprawy w sądzie i nigdy więcej nie będzie was niepokoił. Nie dziękuj, po prostu załatwiłam to, co obiecałam. Całuję cię, do widzenia.

Teraz mogę już napić się Józikowej „niówki” – pomyślała i wyjęła z barku butelkę z nalewką. – Zasłużyłam.



Marzenę zdziwił telefon od Jana, a jeszcze bardziej to, że powiedział:

– Zależy mi, żeby z tobą porozmawiać. Wybierz miejsce i czas, ja się dostosuję. Mogą być nawet zapiekanki na stojąco na środku ulicy.

Powstrzymała się od złości, ale nie chciała też, żeby uznał, że wycofała się ze swoich poglądów.

– Na zapiekanki zbyt gorąco, ale proponuję lody. Lepszych nie ma nawet w Londynie. I zjemy na siedząco, ale bez luksusów.

– W porządku.

Szła więc Złotą z nadzieją, że pięciominutowe spóźnienie nie jest niewybaczalną niegrzecznością. Z daleka zobaczyła Jana i przyspieszyła kroku.

– Cześć, John!

– Dzień dobry. Już się zastanawiałem, czy czegoś nie pomyliłem. Ale miałem nadzieję, że to tutaj. Pytałem przechodniów o lody na Złotej i wszyscy mnie tu kierowali. Tylko że to nie wygląda na miejsce...

– Może i nie wygląda – weszła mu w słowo Marzena i krytycznie spojrzała na niepozorną tabliczkę na bramie starej kamienicy. – A nie słyszałeś, że pozory mylą? Nie oceniaj tylko tego, co na zewnątrz, poznaj wewnątrz.

– Widzę, że jesteś w filozoficznym nastroju. OK, pokaż mi zatem to wewnątrz.

Weszli do bramy, gdzie na niewielkim podwórku znajdowało się wejście do sklepiku, w którym od wielu dziesiątków lat można było kupić najlepsze w mieście lody. Prawdziwe, naturalne, robione

tradycyjną metodą. Może i kaloryczne, ale niepowtarzalne i dlatego w letnie dni nikogo nie dziwiła kolejka ciągnąca się daleko poza bramę. Chętnych na smakowite gałki nie brakowało, wiele osób zabierało zapas w termosach i rzadko kto poprzestawał na jednej czy dwóch kulkach. Lody ze Złotej to było naprawdę coś! Marzena miała pewność, że Jan nie będzie zawiedziony.

Mieli szczęście, bo przed nimi czekało w kolejce tylko pięć osób. Większość wybrała tradycyjne wafelki i po zakupie wyszła. Dzięki temu mogli usiąść przy jednym z trzech niewielkich stolików.

– Mów, bo mnie ciekawość zżera. – Marzena zanurzyła plastikową łyżeczkę w wafelkowej miseczce wypełnionej cytrynowymi lodami. Te lubiła najbardziej.

– Poprosiłem cię o spotkanie, bo przypomniały mi się twoje uwagi dotyczące dworku ciotek. – Jan postanowił spróbować każdego smaku i na pierwszy ogień poszły waniliowe. – Nie wszystko dokładnie zapamiętałem, a planuję pomóc ciotkom i trochę zająć się remontem, więc chciałem, żebyś mi to wszystko jeszcze raz powiedziała.

– Fajnie, tylko że ja nie jestem fachowcem od budowlanki.

– Od czego? – nie zrozumiał.

– Od budowlanki, czyli od budowania i remontów – wyjaśniła. – A to, co mówiłam, to były raczej moje fantazje. Nie mam pojęcia, czy to w ogóle można zrobić.

– Mnie się podobały i chciałbym sprawdzić. Może się uda?

– Nie ma sprawy, powiem – zmarszczyła brwi, bo przyszło jej do głowy, że Janek powinien sprawdzić jeszcze coś. – Słuchaj, a ty wiesz dokładnie, jaki jest status tego dworku?

– Jaki status?

– Chodzi mi o to, czy on nie jest przypadkiem obiektem zabytkowym. Bo jeżeli tak, to wiele do powiedzenia w sprawie remontu może mieć konserwator zabytków. A wtedy moje fantazje i twoje możliwości będą musiały zejść na dalszy plan.

– O tym nie myślałem – zmartwił się Jan.

– To pomyśl. I od tego zacznij, żeby potem nie było problemów. Smakuje ci?

– Tak, rzeczywiście dobre – pochwalił.

– Ach, ta angielska powściągliwość! – prychnęła Marzena. – Przecież one są boskie!

– Niech będzie – uśmiechnął się mężczyzna. – Są boskie. Zadowolona jesteś?

– Może trochę – pokręciła głową. – Ale do zachwyty daleko.

– To co musi zrobić mężczyzna, żebyś o nim powiedziała, że jest boski?

– Nie wiem, nie wiem... – udała, że się zastanawia. – Ale przede wszystkim musiałby najpierw mnie uznać za boską. Wtedy reszta przyszlaby mu, że tak powiem, intuicyjnie. Zobacz – powiedziała ścisząc głos. – Mamy gościa.

Tuż obok stolika przysiadł wróbel. Spoglądał na nich, śmiesznie kręcąc łebkiem.

– Pewnie przyleciał na lody – wyszeptwała.

Delikatnie, żeby nie spłoszyć ptaszka, ułamała kawałek wafelka i rzuciła go na kamienne podłoże podwórka. Wróbelek podskoczył, chwycił okruszek i odleciał z nim na pobliski murek. Połknął zdobycz i po chwili znowu był przy stoliku.

Jan patrzył na kobietę karmiącą ptaszka, na jej roześmiane oczy i podobało mu się to. Było coś takiego w tym obrazku, co sprawiało, że robiło mu się ciepło w okolicach serca. W Marzenie nie było teraz nic agresywnego, przeciwnie, emanowała z niej łagodność, dobroć i szczerą radość.

– Nie boisz się, że rozboli go brzuszek? – zapytał szeptem.

– Myślisz, że może mu zaszkodzić? – zmartwiła się.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała i na jej twarzy odmalował się autentyczny niepokój.

Troszczy się o ptaszka – pomyślał Jan ze wzruszeniem. – To naprawdę niesamowite.

Na szczęście problem ptasiego przejedzenia rozwiązał się sam. Na podwórko lodziarni z głośnym tupotem wbiegła dwójka dzieciaków, które spłoszyły wróbelka.

– Ale mieliśmy przysgodę – powiedziała Marzena. – Słodki był, prawda? – Roześmiała się i lody prosto z łyżeczki spadły jej na bluzkę. – Gapa ze mnie! Zawsze muszę się ubrudzić – wyjaśniła. – Nie ma opcji, żeby mi coś nie kapnęło, jeśli tylko kapnąć może.

– Nie przejmuj się. To bardzo kobiece i takie... rozbrajające.

– Że co? – popatrzyła na niego z uwagą. – Chcesz mi powiedzieć, że zachowuję się infantylnie?

– Nie to miałem na myśli.

– Ale tak to zabrzmiało. Że ubrudzenie się jedzeniem jest kobiece. Rozumiem, że mężczyźni radzą sobie doskonale, zawsze odpowiednio się zachowują, nic im nie upada i tak dalej? A kobiety to takie miłe zwierzątka, którym trzeba wybaczyć, bo bliżej im do dzieci niż do dorosłości?

Jan był zdezorientowany. Chciał załagodzić sytuację, żeby Marzena nie czuła się głupio z powodu plamy na bluzce, a tymczasem właśnie obrywał za swoje dobre chęci.

– Przecież ja tak wcale nie myślę – próbował tłumaczyć. – Nie uważam cię za dziecko ani za głupiutką kobietkę. Przeciwnie, twoje opinie o dworku wydały mi się bardzo dobre. Zupełnie jakby to nie kobieta patrzyła, takie fachowe i konkretne.

Tego już było Marzenie za wiele.

– Czy ty słyszysz, co mówisz, John?! – Na dźwięk jej podniesionego głosu ludzie przy sąsiednich stolikach spojrzeli na nich. Marzena zamilkła, ale górę wzięły emocje.

– Przed chwilą powiedziałeś, że zaskakuje cię kobieta wyrażająca konkretne i rozsądne opinie. Dziwi cię, bo uważasz, że takie mogą mieć tylko mężczyźni. Tak? No bo z całą pewnością nie głupiutkie kobiety, prawda? Wiesz, co ci powiem. Tak krótko i bardzo konkretnie, zupełnie niekobiece. To, co mówisz, jest szowinizmem w czystej postaci. A ty, Johnie, jesteś dla mnie zwyczajnym dupkiem. – Wbiła łyżeczkę w pozostałe w miseczce lody z takim impetem, że kolejne kropki znalazły się na jej bluzce. Wstała, potrącając plastikowe krzeselko, ale nie zwróciła na to uwagi.

– I ciesz się, że jestem kobietą. Naprawdę się ciesz. Bo gdybym była facetem, to dałabym ci w mordę. Na to mam teraz największą ochotę, ot co! Żegnam!

I wybiegła. A przed bramą głośno się rozplakała. Co mi tam – myślała, prawie biegnąc, byle jak najdalej od Złotej i od tego całego Johna. – Wolno mi. W końcu jestem tylko głupiutką kobietką.

Ludzie, których mijala, zastanawiali się, co też złego mogło spotkać tę kobietę w taki piękny sierpniowy dzień.

Tymczasem Jan siedział wpatrzony w miseczkę z lodami i nie mógł zrozumieć, co się tak naprawdę stało.



Jedyne, czego Małgorzata mogła być pewna, to godzina niedzielnego obiadu. Zawsze, ale to zawsze, jedli go o trzynastej. Tak było w rodzinnym domu Kacpra i ten zwyczaj chciał, jak sam określał, kultywować w swojej rodzinie. Częścią tej tradycji był także rosół. Do tego Małgorzata dołożyła także coś od siebie

– po kilku latach na widok kurczaka i włoszczyzny w niedzielny poranek robiło jej się niedobrze. Ale o tym Kacper nie wiedział.

Ciekawe, czy jego matka czuła coś podobnego? – zastanawiała się Gosia, obierając marchewkę. – A może lubiła rosół? W sumie powinnam się cieszyć, że Kacper nie oczekuje jeszcze makaronu domowej roboty. Zawsze to jakiś powód do radości – starała się podejść do sprawy z ironicznym dystansem, chociaż tak naprawdę miała ochotę wbić nóż w pierś leżącej na tacy kurzej tuszki. Ewentualnie w jakąś inną.

Starała się, żeby tym razem emocje nie przejęły kontroli. Poprzedniego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Kacper już dawno posapywał na poduszce obok, a ona nadal myślała o rozmowie z Marzeną.

Polubiła tę kobietę, chociaż tak bardzo się różniły. Zazdrościła nowej znajomej pewności siebie i odwagi do realizacji własnej wizji życia. Wydawała się szczęśliwa, zadowolona z tego, co ma, chociaż przecież była samotna. No, ale takie kobiety z pewnością nie narzekają na brak zainteresowania – stwierdziła. – Gdyby chciała, na pewno miałyby kogoś na stałe. A jednak świadomie szuka i wie, czego chce. I czego nie chce. A ja?

Przemyślała także pomysł Marzeny. Musiała przyznać, że podobała jej się wizja bycia stylistką. Brzmiało niezłe, ale do takiej pracy potrzeba czegoś więcej niż umiejętności dobrania bluzki do spódnicy. Trzeba pewności siebie, a tego za wiele nie miała.

Robić to, co się lubi i brać za to pieniądze – brzmiało pięknie, ale czy było realne? Małgorzata długo zastanawiała się nad tym i podjęła pewne decyzje.

Doskonale wiedziała, że jest coś, czego tak naprawdę chciałaby dużo bardziej niż pracy. Wiedziała to od dawna, ale nie potrafiła przekonać do tego męża. Po wielu rozmowach przestała poruszać drażliwy dla niego temat i czekała, aż sam do niego wróci. Ale nie wracał. A ona udawała, że też zapomniała, że już nie chce, że zmieniła zdanie.

Teraz czuła, że zanim zrobi cokolwiek innego, jeszcze raz porozmawia z mężem. Musi to zrobić, dać im obojgu szansę. Kiedy rozmawiała z Marzeną, zdała sobie sprawę, że to, co powiedziała, było szczere. Lubiła prowadzić dom, gotować, dbać o miłe drobiazgi. Mogłaby to robić, mogłaby nadal wspierać Kacpra i wiele mu wybaczyć. Mogłaby tak żyć, gdyby tylko...

Postanowiła, że niedzielny obiad będzie dobrą okazją do rozmowy. Nie mogła dłużej udawać, że temat nie istnieje. Zasnęła wreszcie z mocnym postanowieniem, że między rosółem a schabowym wszystko się rozstrzygnie.

Teraz siedziała naprzeciwko męża i ze zdenerwowania nie mogła niczego przełknąć. Wreszcie Kacper zauważył, że żona zamiast zjadać z apetytem rosół, miesza tylko w zamyśleniu łyżką w talerzu i zapytał:

– Coś ci jest? Źle się czujesz?

– Nie mam apetytu.

– Może jesteś w ciąży? – roześmiał się, zadowolony z własnego dowcipu. Nie wiedział, że te słowa były niczym podpalenie lontu wielkiej bomby, która za chwilę miała wybuchnąć.

Małgorzata popatrzyła na niego, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiała, co mówi. Zamrugła oczami i niewiele myśląc, zapytała:

– A jeżeli tak, to co?

Kacper oparł łyżkę o brzeg talerza.

– Chyba żartujesz?

– A jeśli nie, to co?

– Rozmawialiśmy o tym i uznałem, że coś postanowiliśmy.

– Chyba ty postanowiłeś.

– Ale ty się z tym zgodziłaś.

– Doprawdy? – Małgorzata czuła, że wzbiera w niej gniew. Nie tak chciała to rozegrać, ale życie czasami samo pisze scenariusz wydarzeń. – Uważasz, że milczenie oznacza zgodę?

– Małgosiu, czy chcesz się kłócić? Proszę bardzo, ale zanim popadniesz w te swoje histerie, powiedz mi, czy to prawda?

– Że jestem w ciąży? Nie, nie jestem. Możesz być spokojny.

– No i bardzo dobrze – odetchnął z ulgą. – To nie jest odpowiedni czas na dziecko. Wiesz przecież, że do końca kadencji będę zarobiony po łokcie. Na twoją pomoc też liczę, wiesz, że jest bezcenna. – Wstał od stołu, podszedł do żony i położył jej ręce na ramionach. – Taka piękna żona to dla mnie prawdziwy skarb.

Słuchała komplementów, ale nie dała się zwieść gładkim słówkom. Może dobre były na spotkania z wyborcami. Ona jednak najlepiej wiedziała, jaka jest prawda.

– Do końca kadencji? A potem będzie następna kampania i może następna kadencja. Albo coś innego. Słyszę to od lat.

– Słyszysz, bo taka jest prawda. Jak sobie to wyobrażasz?

– Normalnie. Ludzie mają dzieci, pracują i jakoś sobie radzą.

– Nie wiem, co robią ludzie, to mnie nie obchodzi. – Mężczyzna podszedł do okna i nerwowo zastukał palcami w szybę. – Ja mam odpowiedzialne stanowisko i muszę być wypoczęty, gotowy do działania. Płaczący po nocach dzieciak to ostatnie, czego mi potrzeba.

– Tobie? – Małgorzata nie potrafiła dłużej się opanować. – A pomyślałeś chociaż przez moment, czego potrzeba mnie? Za chwilę będę miała czterdzieści lat. I będzie za późno. A ja chcę mieć dziecko. I doskonale o tym wiesz! – Po raz pierwszy w życiu krzyczała na Kacpra. – Czy musisz być takim egoistą?! Czy chociaż raz nie możesz zrobić czegoś dla mnie?! Czegoś, na czym mi cholernie zależy! Kacper, ja chcę urodzić ci dziecko, chcę żebyśmy byli rodziną!

Mężczyzna odwrócił się w stronę żony. Jego twarz była ściągnięta, nie wyrażała żadnych emocji.

– Ale ja nie chcę. – Zrobił kilka zdecydowanych kroków, podszedł do Małgorzaty i pochylił się nad nią tak, że ich oczy znalazły się naprzeciw siebie. – I przypominam, że cały czas robię coś dla ciebie. Dałem ci dom, masz pieniądze na kiecki i kosmetyki. Gdyby nie ja, siedziałabyś teraz w jakimś biurze za tysiąc dwieście miesięcznie, ubrana w ciuchy z przeceny. Dzięki mnie masz wszystko. I jeżeli nie odpowiada ci taka rodzina, jaką masz, to ja nie będę cię siłą zatrzymywał. Szczególnie, że jak sama powiedziałaś, masz już prawie czterdzieści lat. Dobrze, że o tym pamiętasz – uśmiechnął się ironicznie.

Małgorzata zaniemówiła. Patrzyła w lodowato błękitne oczy męża i zastanawiała się, czy to dzieje się naprawdę? Czy Kacper rzeczywiście to mówi? Czy właśnie zasugerował, że powinna być mu wdzięczna i żyć wedle jego wizji, bo w przeciwnym razie ją zostawi?

Nawet nie potrafiła dokładnie określić własnych uczuć. Nie wiedziała, czy jest bardziej upokorzona, czy wściekła. Czy powinna być zawiedziona, czy raczej zadowolona z tego, że poznała prawdziwe myśli Kacpra? Jedno było pewne – dla własnego męża jest nic niewartą osobą, żyjącą na jego łasce, niezdolną do samodzielności i zdaną tylko na niego.

Czuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Mocno, prawie ogłuszając. Powoli, bo nie była pewna, czy drżące nogi nie zawiodą, wstała od stołu, ominęła męża bez słowa i poszła do sypialni. Była pewna, że Kacper za nią nie pójdzie. I dobrze, bo nie chciała na niego patrzeć. Nie zniósłaby teraz widoku własnego męża, człowieka, dla którego gotowa była na wszystko.

Teraz też była gotowa na wszystko, ale nie dla niego. Przez niego. I ta, z pozoru drobna, ale naprawdę niezwykle ważna różnica, wiele zmieniała. Co prawda nie tak to sobie wyobrażała, ale teraz przynajmniej знаła prawdę. I, co ciekawe i niespodziewane, poczuła się wolna. Jakby tymi raniącymi serce słowami Kacper zwolnił ją z uciążliwych zobowiązań.

Położyła się na łóżku i patrzyła w sunące po niebie obłoki. Powinna chyba płakać – pomyślała. – Czy to nie dziwne, że zamiast smutku czuję teraz ulgę?

I tak w niedzielne popołudnie Małgorzata zaczęła układać własny plan. Na razie ogólny, ale liczyła, że z pomocą Marzeny uda jej się go szybko uszczegółowić.



Babcia Róża wyglądała bardzo elegancko w granatowej sukience z koronkowym kołnierzykiem i mankietami. Siwe włosy upięła w gładki koczek, a na szyi zawiesiła łańcuszek z pięknym medalionem.

– Wyglądasz jak hrabianka! – klasnęła w ręce Zofia. – Nigdy cię takiej nie widziałam.

– Bo należy umieć dostosować się do okoliczności – powiedziała Róża. – Trudno o koronki, kiedy trzeba karmić kury, prawda? Zresztą już bardzo dawno temu odwykłam od takiej elegancji i wcale mi jej nie brakuje. Lubię swój fartuch w kratkę, bo tak jak ja pamięta najlepsze lata mojego życia.

Ewa przyjechała z Krysią i Józikiem.

– Nie będziemy przeszkadzać – zapewniła Krystyna. – Zaplanowaliśmy sobie piknik nad zalewem. Ale wcześniej z przyjemnością podwieziemy, gdzie trzeba.

– Wybacz, Rózo, że tak sama zdecydowałam, ale pomyślałam, że do dworku jest jednak daleko. Taki spacer zajęłby nam pewnie grubo ponad godzinę, a chyba do hrabianek nie wolno się spóźniać?

– Ewuniu, doceniam twoją próbę zatuszowania faktu, że boisz się o kondycję staruszki – uśmiechnęła się babcia Róża. – Ale wiesz, że mnie nie oszukasz. Zresztą co tu kryć, mam swoje lata i przyznam, że sama trochę obawiałam się tego, jak mówisz, spaceru. Dziękuję państwu bardzo – zwróciła się do przyjaciół Ewy. – A po powrocie zapraszam na przedwieczorną herbatę.

– I ciasto z wiśniami – dodała Zofia.

Józikowie dojechali na sam skraj lasu. Tu zatrzymała ich babcia Róża.

– Dalej już pójdziemy – zdecydowała. – Taka przechadzka mi nie zaszkodzi, a nawet będzie z korzyścią dla zdrowia.

Poszły więc z Ewą leśną dróżką.

– Wszystko się zmienia, tylko las pozostaje taki sam – powiedziała Róża. – Nie byłam tu od bardzo wielu lat, ale pamiętam wszystkie ścieżki.

– Może i się zmienia – odpowiedziała Ewa. – Ale w pamięci nie tylko las pozostaje. Ludzie też. Tacy jak kiedyś. Na przykład, gdy myślę o tobie, to ciągle widzę cię jako młodą kobietę. A siebie jak nastolatkę.

– Cóż, jednak czas płynie. I nie można go zatrzymać ani cofnąć. Nawet gdyby się bardzo chciało.

– Coś o tym wiem – pokiwała głową Ewa. – Każdego dnia nad tym ubolewam.

– To przestań. Lepiej pomyśl, co robić teraz. Żeby znowu za kilka lat nie myśleć o cofaniu czasu, tylko dobrze wspominać ten, który minął.

Przystanąły na skraju polany i w milczeniu przyglądały się dworkowi. Każda zatopiła się we własnych

wspomnieniach. Pierwsza odezwała się Ewa:

– Może powinniśmy już iść? Pewnie hrabianki czekają.

– Tak, masz rację. Za długo już czekają, pora na rozmowę przy herbacie.

Weszły po wyszczerbionych kamiennych schodkach. Drzwi były uchylone.

– Może powinniśmy zapukać? – zastanawiała się Ewa, ale babcia Róża po prostu pchnęła drewniane skrzydło i weszła do środka. Pewnym krokiem, bez wahania, skierowała się do kolejnych drzwi i dopiero w nie zapukała.

– Prosimy – usłyszali.

– Witajcie – powiedziała Róża, wchodząc do salonu. – Pozwoliłam sobie przyprowadzić Ewę, bo uznałam, że powinna być przy naszej rozmowie.

– Jeżeli tak uważasz, to z pewnością jest tego jakiś ważny powód – odezwała się panna Julia. – Oczywiście szanujemy to i zapraszamy.

Ewa obserwowała całą trójkę i odniosła wrażenie, że znalazła się w innej rzeczywistości. Nie tylko ze względu na scenerię z ubiegłego wieku, lecz także z powodu sposobu, w jaki starszki prowadziły rozmowę. Nie rozumiała jeszcze, o co chodzi, ale już wiedziała, że będzie świadkiem czegoś ważnego, bardzo ważnego. Usiadła na wskazanym miejscu i w milczeniu czekała na rozwój wypadków.

Ubrana w czarną suknię starszka, którą Ewa zidentyfikowała jako hrabiankę Zuzannę, przyniosła tacę z dzbankiem i filiżankami.

– Upalne lato mamy w tym roku – zagadnęła Julia i podjechała wózkem do stolika. – Pozwolisz, że ci naleję? – zwróciła się do Róży.

– Bardzo proszę. Rzeczywiście, jest wyjątkowo gorąco. Ale myślę, że tutaj, w lesie, nie dokucza to tak bardzo.

– Rzeczywiście, drzewa dają miłą ochłodę – odpowiedziała uprzejmie Julia.

Co tu się dzieje? – zastanawiała się Ewa. – Wygląda na to, że one doskonale się znają, a te uprzejmości to tylko przygrywka do prawdziwej rozmowy.

– Marysia wspominała, że jakoś sobie radzicie. Ucieszyła mnie ta wiadomość. – Babcia Róża uniosła filiżankę i upiła łyk napoju. – Bardzo dobra – powiedziała.

– Stary rodzinny przepis – poinformowała Zuzanna. – Z pokolenia na pokolenie.

– Tak, rodzinne tradycje są ważne – pokiwała głową Róża. – Pomagają przetrwać i wiążą kolejne pokolenia.

– Owszem. Pozwalają pamiętać. – Julia popatrzyła Róży w oczy. – Bo o pewnych rzeczach nie powinno się zapominać.

– Ja też tak uważam – zgodziła się z nią Róża.

– Ale zapewne myślałaś, że my zapomnieliśmy.

– Nie. Raczej sądziłam, że wolicie nie pamiętać.

– Bo tak było. – Julia odstawiła swoją filiżankę i położyła dłonie na oparciach wózka. – Tak wybrałyśmy, a ty to uszanowałaś. Wiem, że musiało ci być trudno i nie potrafię wyrazić naszej wdzięczności.

– Nie musisz mi dziękować. Zrobiłam to także dla siebie. Nie było mi źle, nie chciałam zmieniać swojego życia. Najbardziej ceniłam spokój i bezpieczeństwo, bo wiedziałam, jak smakuje ich brak. Aż za dobrze wiedziałam. – Róża przyglądała się trzymanej w ręku filiżance. – Pamiętam ją dobrze. To niesamowite, że coś tak delikatnego przetrwało tyle lat...

– Nie wszystko niestety. Staraliśmy się, ale bywało ciężko... – Julia położyła złożone dłonie na

piersiach. – Jednak uwierz, że starałyśmy się...

– Wierzę, oczywiście.

Ewa słuchała uważnie, żeby nie uronić żadnego słowa. Ta rozmowa pełna była dwuznaczności i niedomówień zrozumiałych jedynie dla starszek, ale i tak w jej głowie zarysowywał się pewien obraz. Nie mogła w niego na razie uwierzyć, zbyt mało miała pewności. Z pomocą przyszła jej panna Zuzanna, która stuknęła czarną laską o podłogę:

– Może już wystarczy tych hrabiowskich grzeczności – udawała rozzłoszczoną, ale głos zdrzął jej, zdradzając zdenerwowanie. – Powiedz, Julio, wszystko wprost i miejmy to już za sobą.

– Nie zmieniaś się ani trochę – uśmiechnęła się Róża. – Nadal krnąbrna. I niepokorna.

– Tak, tylko wiek mi plecy zgiął – odpowiedziała Zuzanna.

– Plecy może tak, ale w środku wciąż jesteś taka sama.

Zuzanna wzruszyła ramionami, ale oczy jej zwilgotniały.

– Moja siostra ma rację – uznała Julia. – Wszystkie znamy prawdę, możemy więc rozmawiać otwarcie. Zaprosiłyśmy cię, bo uznałyśmy, że pora, aby tę prawdę poznali też inni. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zdecydowałybyśmy się na to, gdyby nie pojawiła się Marysia. Odnalazła nas przypadkiem i chociaż robiłyśmy wszystko, żeby ją zniechęcić, starała się nam pomóc. Zrobiła tak wiele, zupełnie bezinteresownie.

– To bardzo dobre dziecko – wtrąciła Zuzanna.

– No właśnie. To dziecko pomagało niemiłym hrabiankom. To dziecko ma na imię Marysia i jest prawnuczką twojej siostry. I to dziecko powinno dowiedzieć się, że nie my, a ono jest prawdziwą hrabianką. A potem odzyskać swoją własność.

Ewie trudno było uwierzyć w to, co słyszała. Na usta cisnęło jej się wiele pytań, ale nie miała odwagi, żeby je zadać. Nie chciała nawet sięgać po filiżankę, chociaż zaschło jej w gardle z emocji. Nie powstrzymała jednak westchnienia i to właśnie ono zwróciło na nią uwagę.

– Ty jesteś córką Marii, prawda? – zapytała Julia.

Ewa nie zdążyła odpowiedzieć. Uprzedziła ją Róża.

– Pozwólcie, że ja odpowiem. Domyślałam się powodu waszego zaproszenia. I właśnie dlatego przyszedłam z Ewą. Skoro wy postanowiłyście ujawnić prawdę, wam też należą się wyjaśnienia. Zanim cokolwiek zrobicie, musicie poznać historię Ewy.

I babcia Róża opowiedziała hrabiankom o pozostawionej przez matkę dziewczynce.

– Teraz już wiecie. Ewa nie jest prawdziwą córką Marii, więc Marysia nie jest też jej prawnuczką. W tej sytuacji nie macie wobec niej żadnych zobowiązań. Wszystko może pozostać tak, jak do tej pory.

Zapanowało milczenie. Hrabianki patrzyły sobie w oczy, jakby rozmawiając bez słów. Wreszcie odezwała się Julia:

– To niczego nie zmienia. I tak to ty jesteś prawowitą właścicielką dworu. A my zdania nie zmienimy. Nie chcemy umierać w kłamstwie, odchodzić jako oszustki. Tak zdecydowałyśmy. A domyślałam się, że jeżeli zwrócimy ci twoją własność, i tak podarujesz ją Marysi.

Róża pokiwała głową na znak, że właśnie tak zrobiłaby.

– W takim razie właściwie nic się nie zmienia. Uważam, że formalności związane z odkręceniem sprawy sprzed pół wieku mogłyby być mocno kłopotliwe, a nawet niemożliwe i w związku z tym najprościej będzie, jeżeli zrobimy to, co zamierzałyśmy. Podarujemy wszystko Marysi. Czy zgadzasz się ze mną, Zuzanno?

– Zawsze uważałam, że im prościej, tym lepiej – burknęła swoim zwyczajem starszka.

– A co ty na to, Rózo?

– Szanuję waszą decyzję. I doceniam, bo wiem, że nie była łatwa.

– Pozwolisz, że same ją o tym poinformujemy?

– Oczywiście. Jednak uważam, że nie musicie jej mówić o przeszłości. Ona nie ma znaczenia.

– Trzeba jej powiedzieć – odezwała się Zuzanna. – Miało już nie być kłamstw i tajemnic.

– Zgadzam się z Zuzanną. – Julia podjechała do Róży i położyła dłoń na jej dłoni. – Przeszłość ma znaczenie. Bardzo duże. Bo na niej powstaje teraźniejszość. I każdy powinien wiedzieć, skąd naprawdę jest, znać losy rodziny, nawet jeżeli są trudne. Dlatego Marysia dowie się co, oprócz jej dobroci, sprawiło, że stała się właścicielką dworku.

– A czy ja mogłabym poznać już dziś tę historię? – odważyła się zapytać Ewa. Wciąż była pod ogromnym wrażeniem tego, co usłyszała. – Przepraszam, ale nie wszystko do końca rozumiem. Róża jest hrabianką? A w takim razie, kim panie są?

Zuzanna podniosła laskę, gotowa przywołać gościa do porządku, ale Julia powstrzymała ją gestem.

– Oczywiście, masz rację. My poznałyśmy prawdę o tobie, więc masz prawo żądać tego samego. Poza tym chodzi przecież o twoją wnuczkę. Rózo – poklepała delikatnie dłoń staruszki – ty opowiesz, czy ja mam to zrobić?

– To wasza historia – uśmiechnęła się Róża. – Sama też nie wiem wszystkiego.

– Dobrze. Posłuchajcie więc.

I tak Ewa poznała losy sióstr Skawińskich, które w przedziwny sposób splotły się w czasie wojennej zawieruchy z losami hrabianek Leszczyńskich.

– Mieszkałyśmy pod Krakowem. Żadna tam arystokracja, po prostu średniozamożne ziemiaństwo. Kiedy pojawiły się u nas hrabianki Leszczyńskie wraz z mężem jednej z nich, ojciec ugościł je, jak potrafił. Spędzili u nas kilkanaście dni, byli w drodze do swojego majątku pod Kielcami. Uciekali, jak wszyscy. Szukali bezpiecznego schronienia – opowiadała Julia. – A że Niemcy nie przepadali za polską arystokracją, goście nie przyznawali się do swojego pochodzenia. Niestety, u nas też zaczęło się robić niebezpiecznie i ojciec szukał możliwości wyjazdu na Zachód, najlepiej do Anglii. A hrabianki ruszyły w dalszą drogę i więcej o nich nie słyszałyśmy. Ojcu nie udało się nas wywieźć, został rozstrzelany w lesie. Matka zmarła na tyfus. Zostałyśmy same i zdecydowałyśmy, że musimy wyjechać. Resztę wojny spędziłyśmy w Krakowie, ale to osobna historia. W każdym razie zostałyśmy same – zamyśliła się i przerwała opowieść.

Nieoczekiwanie podjęła ją Zuzanna.

– Po wyzwoleniu nie wiedziałyśmy, co ze sobą zrobić. A coś trzeba było. Kilka lat pracowałyśmy jako krawcowe, ja jakoś dawałam radę, ale... – zawahała się, ale dokończyła – ...Julia coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Wtedy przypomniłyśmy sobie o tych Leszczyńskich i ich majątku pod Kielcami. Z naszego domu nic nie zostało, więc nie było się nad czym zastanawiać. Powiedziałam: „Jedziemy”. I pojechałyśmy. Odnalazłyśmy dworek, ale pusty. Leszczyńskie nie wróciły, nikt o nich nie słyszał, a to znaczyło, że musiały zginąć. I wtedy wymyśliłyśmy, że skoro ich i tak już nie ma, to dlaczego nie skorzystać z okazji. W końcu nikomu nic nie kradniemy, na co martwym dworek? A my musiałyśmy przecież gdzieś mieszkać. – Popatrzyła na Różę, jakby szukając potwierdzenia, że wtedy postąpiły słusznie.

– Tak właśnie było – potwierdziła Julia. – Przyjęłyśmy tożsamość Leszczyńskich, wtedy jeszcze było sporo zamieszania i udało się przekonać urzędników, że nimi jesteście. A że podczas pobytu u nas hrabianki dużo opowiadały o rodzinie i swoim życiu, to było łatwiej. I w ten sposób zostałam Julią

Leszczyńską. Hrabianką. A moja siostra – Zuzanną Leszczyńską. Jednak bałyśmy się, że ktoś ze starszych mieszkańców może odkryć nasze kłamstwo, więc postanowiłyśmy się odizolować. Wolałyśmy być uznane za dziwaczki niż za oszustki. I za wszelką cenę chciałyśmy zostać we dworku. Najbardziej bałyśmy się, że któregoś dnia pojawi się rodzina hrabianek i wszystko się wyda. Nie wiedziałyśmy, że kilka kilometrów od nas mieszkają w wiejskiej chacie prawdziwe hrabianki.

– Tak, pamiętam nasze pierwsze spotkanie – pokiwała głową babcia Róża. – To było już po śmierci mojego męża. Zobaczyłam je w Jagodnie, w poczekalni u lekarza. Wiedziałam, że mnie poznały. Wymieniłyśmy tylko spojrzenia, ale żadna nic nie powiedziała. Tymi spojrzeniami zawarłyśmy pakt o milczeniu, który miał obowiązywać do śmierci.

– I może tak byłoby, gdyby nie Marysia. – Julia podjechała do okna i wyjrzała na polanę. – Jak ona się uparcie starała. Może i udałoby się nam ją zniechęcić, ale kiedy powiedziała, jak ma na imię i czyją jest wnuczką, już nie mogłyśmy jej przepędzić.

– To panie nawet nie mają na imię Julia i Zuzanna? – zapytała Ewa.

– To prawda. Zuzanna naprawdę ma na imię Janina, a ja... Maria. Tak – westchnęła. – Marysia jest moją imienniczką. Czy to nie złośliwość losu?

– Ale powiem ci, Ewuniu, że życie bywa jeszcze bardziej przewrotne – uśmiechnęła się Róża.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – pokręciła głową Ewa, która jeszcze nie do końca oswoiła się z nową sytuacją.

– A jednak. Wyobraź sobie, że ja i moja siostra, po pobycie u Skawińskich, wpadłyśmy na ten sam pomysł, co one nieco później. Żeby nikt nas nie rozpoznał, po ucieczce z Kielc przyjęłyśmy część tożsamości poznanych pod Krakowem sióstr. Maria wzięła imię jednej z nich, a ja nazwisko. Wybacz – zwróciła się do Zuzanny – ale nie podobało mi się imię Janina. Przyjęłam więc imię Róża, na pamiątkę kwiatów, które tak kochała moja matka. I które rosną tutaj, przy dworku.

– Zaraz, zaraz, już się pogubiłam. – Ewa starała się ustalić fakty. – To ty nie jesteś Róża, tylko Zuzanna Leszczyńska, a Zuzanna Leszczyńska to Janina Skawińska?

– Tak było dawno temu, Ewuniu. I to naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia. Ja czuję się Różą Marcisz. I niech tak zostanie. Sama to wybrałam. Bałyśmy się z Marią przyznać, że jesteśmy hrabiankami. Po wojnie też nie było odpowiedniego klimatu. Miałyśmy dość tułaczki, dobrze żyło nam się w Jagodnie. I kiedy usłyszałyśmy, że wróciły hrabianki Leszczyńskie, postanowiłyśmy, że nie będziemy się ujawniać. To była świadoma decyzja i nigdy jej nie żałowałam. Przeżyłam wiele dobrych lat jako Róża Marcisz i nie chcę tego zmieniać. A Janina niech pozostanie Zuzanną. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– To wszystko jest takie nieprawdopodobne – powiedziała Ewa. – Trudno w to uwierzyć. Naprawdę nie miałaś zamiaru niczego powiedzieć, Rózo?

– A po co? Dla mnie to nie miało znaczenia. Cieszyłam się, że żyję, że jestem szczęśliwa.

– Dla nas miało jednak znaczenie – wtrąciła się Julia. – Nie czułyśmy się dobrze z tym, co zrobiłyśmy, ale zabrnęłyśmy tak daleko, że nie umiałyśmy się z tego wyplątać. I zabrakło nam odwagi. Myślałyśmy o tym, że znowu zostaniemy bez dachu nad głową, będziemy musiały się gdzieś tułać. Zuzanna zapewne poradziłaby sobie, ale nie chciała mnie zostawiać. A ja zawsze byłam słabego zdrowia i z każdym rokiem było gorzej. Kiedy lekarz powiedział, że czeka mnie wózek, zrozumiłyśmy, że musimy tu zostać. Zostałyśmy więc, ale cały czas, każdego dnia musiałyśmy dźwigać ciężar tej tajemnicy. I przyznam, że teraz, kiedy już ktoś ją poznał, jest mi trochę lżej.

– Chyba potrzebuję czasu, żeby to sobie jakoś poukładać – stwierdziła Ewa.

– W takim razie może napijemy się herbaty? – zaproponowała Róża.

- To ja świeżą zaparzę, ta już dawno wystygła – podniosła się z fotela Zuzanna.
- W takim razie wyłóż jeszcze to. – Róża sięgnęła do torebki i wyjęła niewielki słoiczek. – Konfitury.
- Fiołkowe? – domyśliła się Julia.
- Stary rodzinny przepis – uśmiechnęła się Róża. – Z pokolenia na pokolenie.



Nie wiedziała, czy powinna odebrać ten telefon. Przed chwilą przywiozła Marysię z Jagodna i właśnie siedziały przy kolacji. Przygotowała sałatkę grecką i grzanki z łososiem, bo córka je lubiła. Planowała, że wreszcie pogadają, a potem może obejrzą jakiś film. Marysia wspominała też o babskim wieczorze piękności, więc Tamara kupiła dwie nawilżające maseczki i wyjęła nieco zapomniany aparat do masażu stóp. Zapowiadał się miły wieczór i naprawdę nie chciała dać go sobie popsuć.

– Dlaczego nie odbierasz? – zapytała Marysia.

– Bo to twój ojciec – odpowiedziała szczerze.

– No to odbierz i będzie z głowy.

Nie była przekonana, czy córka ma rację, ale z drugiej strony, jeżeli Leszek bardzo chciał jej coś powiedzieć, to będzie próbował do skutku. Niech się stanie, co ma być! – zdecydowała.

– Słucham?

– Chciałem cię tylko poinformować, że się rozmyśliłem.

– A co to dla mnie oznacza? – Nie zrozumiała, o co mu chodzi i nawet przyszło jej do głowy, że może jest pijany albo pomylił numer.

– To znaczy, że nie będę się starał o opiekę nad Marysią. Cieszysz się?

– Nie wiem. Może za tydzień znowu ci się odmieni.

– Nie odmieni. Zapewniam. Tylko żeby było jasne – powiedz jej, niech więcej do mnie nie pisze i nie dzwoni. Uznajmy, że dla siebie nie istniejemy.

– To dobre rozwiązanie.

– Twoja ocena mnie nie interesuje. Tak postanowiłem i tyle.

I rozłączył się.

Tamara widziała wyczekujące spojrzenie córki, więc powiedziała:

– Ojciec zrezygnował ze sprawy w sądzie.

Nie przekazała jego słów dotyczących kontaktów. Nie chciała ranić Marysi. Na pewno nie byłoby jej miło usłyszeć, że ojciec nie chce, żeby się do niego odzywała.

Marysia przyjęła słowa matki i wróciła do jedzenia.

– Nie jesteś zaskoczona? – zdziwiła się Tamara. – Bo ja jestem. Nie wiem, co mu się stało, że tak zmienił zdanie.

– Może zmądrzał – wruszyła ramionami dziewczyna. A w duchu posłała słowa wdzięczności do babci Ewy. – To co? Kto pierwszy wkłada stopy w bąbelki? Chyba mi ustąpisz, w rewanżu za porzucenie na głuchej wsi?

– A może jednak ja? Bo mam w perspektywie dziesięć miesięcy ze złośliwym dzieckiem – roześmiała się Tamara.

– W takim razie będziesz mi musiała jutro kupić nowe buty do nowej szkoły. – Dziewczyna udała

obrażoną.

– Na początek kupię ci nowe książki i zeszyty.

– Boże, jaką mam wstrętą matkę! – powiedziała Marysia, ale oczy jej się śmiały. Bo była szczęśliwa. Ojciec dzisiejszym telefonem potwierdził wersję babci Ewy, nie musiała więc martwić się już sądem, a Kamil dziś rano powiedział, że chciałby, żeby pojechała z nim i jego rodzicami do Krakowa obejrzeć mieszkanie, w którym ma wynajmować pokój.

– Powinien ci się podobać – stwierdził. – Bo przecież będziesz mnie tam odwiedzać, prawda?

A to znaczyło, że myślał o przyszłości. I w tej przyszłości była ona.



Ewa na początku nie mogła zrozumieć postępowania Róży. Dlaczego całe życie godziła się na to, że ktoś ukradł jej tożsamość i rodzinną historię? Jak mogła mówić, że jej to nie przeszkadza? I tak łatwo wybaczyła Skawińskim. Nawet zadzwoniła do Róży we wtorek wieczorem i zapytała o to.

– Mówiłam ci, Ewuniu, to bez znaczenia.

– Jak to bez znaczenia? Przecież to ty jesteś hrabianką Leszczyńską!

– Jestem przede wszystkim sobą – odpowiedziała Róża. – To, jak ktoś się do mnie zwraca, nie robi żadnej różnicy. Ważne jest, żeby być zadowolonym z życia i być w zgodzie z własnym sercem. A mnie się to udało.

Długo myślała nad słowami Róży. I nad tym, jak ona zachowałaby się na jej miejscu. Nie wiedziała. Przecież sama nie знаła do końca własnej tożsamości, matki, nawet prawdziwego nazwiska. A potem przez wiele lat próbowała wymazać tę przeszłość, którą znała, tłumiła poczucie żalu, walczyła z samą sobą i próbowała być kimś innym. Musiała przyznać, że i tak wyszła z tego obronną ręką, bo mogła skończyć znacznie gorzej. Ledwie udało jej się uratować relacje z córką i wnuczką, zachować wspaniałą przyjaciółkę.

A Róża? Ona nie próbowała walczyć z tym, co przyniósł jej los. Zamiast się szarpać, odnalazła własne szczęście. I to według prostej recepty. Być sobą. Niby banalne, ale niewielu ludziom się udaje.

Jej samej dotąd nie wychodziło. Była lekarzem, żoną, matką, ale sobą absolutnie nie. Czy więc miała prawo podważać decyzje Róży?

Myślała też o przyszłości. Miała pewne plany. Rozwazały z Krysią wycieczkę do Afryki. Trochę ją przerażała ta wyprawa, ale doszła do wniosku, że i tak kiedyś umrze, więc jeżeli pisane jej to na innym kontynencie, to przynajmniej może zdąży zobaczyć słonia na wolności? Planowała też większy remont mieszkania, taki generalny, z wymianą parkietu i mebli w kilku pokojach.

Po poniedziałkowym spotkaniu to wszystko zeszło na dalszy plan. Coś innego zaprzętało głowę Ewy, pewien pomysł kiełkował i była do niego coraz bardziej przekonana. Nie należała do osób, które ważne decyzje podejmują pochopnie, więc chciała jeszcze spokojnie wszystko przemyśleć. No i poczekać, czy Skawińskie dotrzymają słowa. Dopiero potem ostatecznie zdecyduje. Na razie zadzwoniła tylko do Krysi i powiedziała, że chciałyby nieco zweryfikować ich plany wyjazdowe.

– Może wystarczyłyby Włochy? Klimat bardziej przyjazny, a też jest co oglądać.

– Nie chcę być wścibska, ale skąd ta zmiana?

– Będę szczerą. Nie chcę rezygnować z podróży, ale muszę ograniczyć koszty. Planuję pewne wydatki.

– Rozumiem. – Krysia miała tę zaletę, że nigdy nie próbowała dowiedzieć się więcej niż Ewa chciałaby powiedzieć. – Nie ma sprawy, coś znajdziemy. Pytałam tylko dlatego, że myślałam, że to z powodów zdrowotnych...

Miło było wiedzieć, że przyjaciółka się o nią troszczy.

– Nie, Krysiu, nic mi nie dolega. To tylko niespodziewane sprawy, że tak powiem, rodzinne.

Z radością myślała o Marysi. Cieszyła się, że dziewczyna zmądrzała i dojrzała, że ma miłego przyjaciela, a teraz jeszcze będzie miała zabezpieczoną przyszłość. I zamierzała dołożyć swoją cegiełkę do tego zabezpieczenia. Bo tak chciała. Jak to powiedziała Róża? Bo tak było w zgodzie z jej sercem. I to było ważniejsze niż słoń na wolności i nowy parkiet.



Godzinę wcześniej Marzena zdecydowała się zadzwonić. Skorzystała z tego, że Tamara poszła do szefa, a ona została sama w pokoju.

– Nie przeszkadzam ci?

– Marzena? Miło cię słyszeć. Chyba ściągnęłam cię myślami. Mam do ciebie sprawę, a właściwie kilka. I to dosyć pilnych.

– Ja do ciebie tylko jedną.

– To może się spotkamy?

– Chętnie. Kiedy będziesz mogła się wyrwać?

– Nawet zaraz. Mamy z Kacprem ciche dni, mogę wyjść, kiedy zechcę.

Marzena zdziwiła się, ale nie wypytywała.

– Kończę za godzinę – powiedziała tylko.

– W takim razie przyjadę. Będziemy miały gdzie usiąść? Dzisiaj piątek...

– O tej porze jeszcze tak. Proponuję „Świat Słodocy” na Paderewskiego. Kojarzysz?

– Oczywiście. Będę. Ale mogą być korki na Skrzetlach, więc gdybym się spóźniła, to zamów mi jakieś ciacho.

Teraz Marzena siedziała przy stoliku i czekała na Małgorzatę. Zamówiła bitą śmietaną z owocami i gorącą czekoladę. Czuła, że potrzebuje słodkości, bo nastrój od kilku dni miała podły.

– Cześć – usłyszała. – Ufff, z parkowaniem coraz gorzej w tym mieście. – Małgosia usiadła i otarła kropelki potu z czoła. – Ale pyszności! – skomentowała zamówienie. – No i dobrze, bo mam zamiar zmusić cię do pracy koncepcyjnej, więc będziesz potrzebować kalorii.

– Widzę, że tryskasz energią – zauważyła Marzena. – Zazdroszczę, bo u mnie z tym słabiej ostatnio.

– Coś się stało?

– W sumie nic.

– Ale miałaś do mnie jakąś sprawę...

– Tak. Czy możesz mi polecić jakiś wodoodporny tusz do rzęs? Taki, co się nie rozmaże, jak się płacze.

– Planujesz jakieś łyzy rozpaczy?

– Pytam w razie czego, na przyszłość. Bo ostatnio się rozryczałam i mój okazał się zawodny. Bardzo. Pomyślałam, że może ty znasz coś pewnego.

Popatrzyła na Małgosię i dodała dobitnie:

– A łzy były ze złości, nie z rozpaczki.

Małgorzata kiwnęła głową na znak, że przyjmuje wyjaśnienie.

– Zobacz ten – wyjęła z torebki podłużne opakowanie. – Zawsze używam przed spotkaniami z dziećmi.

Wzruszają mnie występy najmłodszych, więc nie ma opcji, żebym nie płakała. Ten nigdy mnie nie zawiódł. Najlepszy przyjaciel żony wójta – mrugnęła okiem do koleżanki.

– No to taki kupię – zdecydowała Marzena, sprawdzając markę. – A teraz mów o swoich pomysłach.

– Zdecydowałam się. Chcę pracować. Robić, co lubię i zarabiać. Nawet wiem już, co to będzie.

– Dobry początek, podoba mi się. A tak konkretniej?

– Konkretniej to chcę otworzyć kawiarnio-sklepik. Bardziej sklepik. Chyba. Ale z kilkoma stolikami.

I miejscem do zabaw dla dzieci.

– OK, a gdzie to wszystko?

– W Jagodnie. A gdzie indziej? – zdziwiła się Małgorzata.

– Mąż nie zgłasza sprzeciwu? Sorry, że pytam, ale...

– Nie wiem. Nie pytałam i nie zamierzam. W ogóle nie chcę, żeby wiedział. Wszystko przemyślałam, mam już rozeznanie, tylko potrzebuję pomocy w załatwianiu formalności. Żeby było jak trzeba, bo podejrzewam, że Kacper zrobi wszystko, żeby mi przeszkodzić.

– Czy dobrze rozumiem, że mam pomóc w pokazaniu twojemu mężowi, jaką wspaniałą ma żonę i sprawieniu, żeby mu szczeka opadła?

– Można tak powiedzieć – uśmiechnęła się Gosia.

– Z dziką przyjemnością. Udowodnienie, że kobiety mogą wszystko to coś, czego mi właśnie potrzeba.

Trafiłaś, wchodzę w to.

– No to ci opowiem, jak to sobie wyobrażam.

Dyskutowały o pomysłe Marzeny dobrą godzinę. Kelnerki z ciekawością zerkały na dwie kobiety, które gestykulowały z zapalem, rysowały coś na papierowych serwetkach, śmiały się i wypily przy tym po dwie gorące czekolady oraz zjadły bitą śmietanę i po dużym kawałku ciasta z galaretką.

Wreszcie obie uznały, że ustaliły, jak będzie wyglądało miejsce pracy Małgosi.

– Są jeszcze dwie ważne sprawy, których nie możemy pominąć – stwierdziła Marzena. – Takie bardzo praktyczne i formalne. Po pierwsze: musisz założyć działalność gospodarczą. Z formalnościami nie będzie problemu, przechodziłam przez to, wszystko ci powiem. Problem tylko w tym, że trzeba ją zarejestrować. Teraz można to zrobić elektronicznie, ale informacja i tak pójdzie do urzędu. Mieszkasz w Jagodnie, więc wychodzi na to, że do gminy. Chyba nie uda ci się tego ukryć przed Kacprem.

Małgosia w pierwszej chwili się zasmuciła, ale coś sobie przypomniała i zapytała:

– To się idzie do miejsca zamieszkania czy zameldowania?

– Zameldowania chyba.

– No to nie ma sprawy. Bo zameldowana to ja akurat jestem w Kielcach. Wiesz, moja ciocia ma mieszkanie, jeszcze nie własnościowe. Pomagam jej, bo dzieci ma za granicą, nie mają zamiaru wracać, więc ona obiecała mi te swoje trzy pokoje. Chciałam, żeby je wykupić, ale Kacper stwierdził, że teraz dzieci nie zgłaszają sprzeciwu, ale jak przyjdzie co do czego, to nic nie wiadomo. I wymyślił, że ja się tam zamelduję, po śmierci cioci stanę się głównym lokatorem i wtedy wykupimy. No, to właśnie tak. Jestem więc kielczanką.

– No to jeden problem mamy z głowy – ucieszyła się Marzena.

– A ten drugi to jaki?

– Ten drugi to pieniądze. Nie otworzysz lokalu bez inwestycji. Liczysz się z tym, mam nadzieję?

- Marzenko, ja nie jestem idiotką. Oczywiście, że mam tego świadomość. I przyznam, że to mnie na początku zdołowało. Stwierdziłam, że przecież nie mam ani grosza i już chciałam w ogóle zrezygnować. Ale potem... – zawiesiła głos.
- Co potem? Mów, bardzo jestem ciekawa, co jeszcze wymyśliła żona wójta, żeby zrobić na złość mężowi.
- Potem przypomniałam sobie, że mamy z Kacprem rozdzielność majątkową. Dla bezpieczeństwa, tak sam mówił. Wiesz, w razie jakby nie poszło w interesach, to on nic nie ma. Wszystko jest żony.
- Zaczynam rozumieć – uśmiechnęła się Marzena porozumiewawczo.
- Wszystkie oszczędności są na koncie na moje nazwisko – opowiadała dalej Gosia i nie potrafiła powstrzymać triumfującego uśmiechu. – On co prawda ma upoważnienie, ale chyba do głowy mu nie przyjdzie, że mogłabym coś stamtąd ruszyć.
- A jeśli ruszysz, to nic nie będzie mógł zrobić, bo to przecież twoje. Dobrze myślę?
- Bardzo dobrze.
- No to drugi problem mamy załatwiony. Zatem możesz zacząć działać. Resztę będziemy ustalać na bieżąco. Jestem do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Dawno się tak dobrze nie bawiłam!
- To co? Jeszcze po jednej czekoladzie?
- Za zdrowie samodzielnych i zaradnych kobiet?
- I za powodzenie naszego planu!



Wracała do domu zadowolona i z głową pełną pomysłów. Obiecała pomoc i zamierzała się z tego zadania wywiązać. Zresztą, tak jak powiedziała, projekt Małgorzaty był tym, czego jej było akurat potrzeba. I wiedziała, że z ogromną przyjemnością pomoże udowodnić przynajmniej jednemu z tych przekonanych o wyższości swojej płci facetów, że kobiety mogą osiągnąć bardzo wiele bez ich pomocy. Z przyjemnością będzie patrzeć na zaskoczenie wójta, obserwować jak ta, którą ma za nic, pokaże, na co ją stać. I ona, Marzena, zrobi wszystko, żeby to coś było spektakularne i wspaniałe. Żeby Małgosia wygrała, bo w pewnym sensie czuła, że to także jej batalia. Że to przedsięwzięcie ma dla niej symboliczne znaczenie.

Nigdy więcej nie będę płakała przez faceta – postanowiła. – Nigdy i za nic. Bo ktoś, kto ma taki sposób patrzenia na świat nie zasługuje na żadną łzę. Bez względu na to, czy jest wójtem, czy... kimkolwiek innym.

Z tym mocnym postanowieniem, wystukany obcasami na płytach chodnika, wyszła z za rogu bloku i stanęła jak wryta. Przed jej klatką stał ten „ktokolwiek inny” z bukietem róż. Wyglądało na to, że czeka na nią. Skąd wiedział, gdzie mieszka? Tamara! – pomyślała.

Wycofała się z powrotem za ścianę chroniącą ją przed wzrokiem mężczyzny. Wyjęła z torebki telefon i wybrała numer.

– Jakim prawem powiedziałaś mi, gdzie mieszkam? – syknęła ze złością w słuchawkę, gdy tylko usłyszała głos koleżanki.

– Szukał cię w firmie. – Tamara od razu wiedziała, o kogo chodzi. – Minęliście się dosłownie o minutę. Mówił, że jesteście umówieni...

– Kłamał – skwitowała. – Jak każdy facet. A teraz nie mogę wrócić do domu, bo czai się pod moją klatką. Wielkie dzięki!

– To może przyjeżdż do mnie? – Tamara poczuła się winna. – Naprawdę nie chciałam, myślałam...

– Dobra, stało się. – Wyjrzała ostrożnie i popatrzyła na Jana, po czym znowu cofnęła głowę. – Następnym razem zapytaj.

– To co? Przyjedziesz?

– Nie. Nie mam zamiaru się ukrywać. Nie będę uzależniać swoich planów od żadnego faceta. Zaraz go spławię, bo mam zamiar wziąć kąpiel. I nikt mi w tym nie przeszkodzi. Cześć!

Poprawiła włosy i wyprostowała plecy. A potem ruszyła na spotkanie z tym, jak go nazywała w myślach od kilku dni, irytującym angielskim szowinistą.

Próbowała minąć go bez słowa, ale oczywiście ją zatrzymał.

– Dobry wieczór – powiedział.

– Tak, do tej pory był dobry – potwierdziła. – Więc mi go nie psuj.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Gdybyś nie miał, toby cię tutaj nie było.

– Rozumiem, że nie chcesz mnie widzieć?

– Co za szczęście, że jesteś przynajmniej inteligentny – prychnęła. – Dobrze zrozumiałeś. A skoro już to wiesz, to możesz iść. Albo pozwól mnie przejść.

– Dobrze, pójdę. Nie będę ci się narzucał. Tylko... czy możesz dać mi trzy minuty? Nie proszę o więcej. Potem zrobię, co zechcesz.

Mimo obcasów musiała nieco unieść głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Chciała odmówić, ale popatrzyła w ten błękit i... nie potrafiła.

– Dobrze, masz trzy minuty.

– Przede wszystkim chciałem cię przeprosić. Przemyślałem to, co mówiłem i rzeczywiście wyraziłem się dość niezręcznie. Naprawdę nie to chciałem powiedzieć. Uwierz i przyjmij moje przeprosiny. I to.

Podał jej bukiet.

Niezręcznie się wyraziłem – pomyślała z przekąsem. – Dobrze sobie! Nie, to trzeba zakończyć jak najszybciej.

Wzięła kwiaty i powiedziała sucho:

– OK, przeprosiny przyjęte. Coś jeszcze? Bo mam plany na resztę wieczoru...

– Jeszcze tylko kilka zdań. – Jan starał się zachować oficjalnie i rzeczowo, ale gdy patrzył na drobne ramiona i sterczące rude włosy i zielone oczy, miał ochotę nic nie mówić, tylko przytulić tę denerwującą i nieprzewidywalną kobietę. Czuł jednak, że nie przyjęłaby tego z radością, więc zdecydował się po prostu powiedzieć to, co przygotował. – W środę wyjeżdżam. Muszę już wracać, bo miałem tu być tydzień, a jestem miesiąc. Co prawda pracuję u ojca, ale mam obowiązki...

Słuchała bez słowa. Żadnej reakcji.

– Tak jak radziłaś, sprawdziłem status dworku i nie ma go na liście zabytków. Mogę więc wprowadzić w życie plany dotyczące remontu u ciotek. Ponieważ, jak już mówiłem, muszę wyjechać, potrzebuję kogoś, kto zająłby się tym tutaj, na miejscu. Kogoś godnego zaufania, kto zna się na rzeczy i będzie wiedział, o co chodzi. Pomyślałem, że ty byłabyś najbardziej odpowiednią osobą. Nie znam nikogo, kto zrobiłby to lepiej. I dlatego chciałbym ci zaproponować współpracę.

Zobaczył, że Marzena nabiera oddechu, żeby coś powiedzieć, więc tylko dodał szybko:

– Oczywiście płatną. Dobrze płatną.

Tego to już naprawdę za wiele! – Marzena z każdym słowem Jana czuła coraz większą złość. A więc przyszedł z tymi kwiatami nie dlatego, że zrozumiał swój błąd, ale po to, żeby ją udobruchać i wykorzystać do realizacji własnych planów. A na koniec jeszcze ten tekst o dobrej zapłacie!

– Posłuchaj mnie uważnie, John. Bardzo uważnie. I zapamiętaj, co ci powiem. Mnie się nie da kupić. Za żadne pieniądze. Ja robię tylko to, co uważam za ciekawe i to, na co mam ochotę. A tak się składa, że nie mam najmniejszej na wykonywanie poleceń panicza z Londynu. Za to właśnie będę realizować niezwykle ciekawy projekt i to zupełnie za darmo. Na dodatek z kobietą. Bo taką mam fantazję!

Wcisnęła mu róże w dłonie i otrzepała ręce, jakby pozbyła się czegoś obrzydliwego.

– Trzy minuty minęły. Zresztą powiedziałaś chyba wszystko. Jeżeli nawet nie, dla mnie to już nawet zbyt dużo. Odsuń się więc i daj mi przejść, bo wezwę policję.

Jan popatrzył na Marzenę i pokręcił z niedowierzaniem głową. Odsunął się pod ścianę i patrzył w milczeniu, jak wchodzi po schodach.

Nie obejrzała się. Dopiero kiedy weszła do mieszkania, ze złością uderzyła ręką w szafkę na buty. Wyjeżdża w środę – pomyślała. – I bardzo dobrze. Niech jedzie i nie wraca. Palant!

Ale kiedy następnego dnia rano znalazła na wycieracze bukiet czerwonych róż, nie wyrzuciła go. Wstawiła kwiaty do wazonu i długo się im przyglądała.



Tamara szła niespiesznie, rozkoszując się chłodnymi powiewami wieczornego wiatru. Postanowiła przejść się, łącząc spacer z zaspokojeniem ciekawości. Celem był dworek hrabianek. Nigdy go nie widziała, a przecież teraz, kiedy Marysia miała zostać jego właścicielką, była najwyższa pora, żeby nadrobić te zaległości.

Ta cała historia jest tak nieprawdopodobna, że do końca nadal nie mogę uwierzyć – myślała. – Najpierw słyszę o zwariowanych staruszkach, potem o odnalezionym kuzynie, aż tu nagle okazuje się, że wszystko jest zupełnie inaczej, hrabianki nie są hrabiankami, babcia Róża nie jest Różą, a moja córka staje się dziedziczką arystokratycznej fortuny. – Uśmiechnęła się do tej ostatniej myśli, bo przecież doskonale wiedziała, choćby z opowiadań Marzeny, że ta fortuna jest mocno nadgryziona zębem czasu. No ale tak czy inaczej, było w tym wszystkim coś niesamowitego i nawet romantycznego.

Nie spieszyła się, chciała nacieszyć się śpiewem ptaków, szumem drzew i spokojem. Zatrzymywała się przy omszałych kamieniach, przyglądała się sosnowym pniom i podnosiła gałązki o interesujących kształtach. Po drodze zdążyła nazbierać cały bukiet ciekawych traw i planowała ususzyć je, a potem ułożyć z nich kompozycję do glinianego wazonu, który stał u babci Róży na kredensie.

To chyba pierwszy spokojny weekend od początku wakacji – stwierdziła. – I kto by pomyślał? A nic nie zapowiadało takich atrakcji.

Przypomniała sobie początek lipca i swój spacer nad zalewem. Wtedy spotkała Małgorzatę. I od tamtej pory ciągle coś się działo. Wspominała przyjazd Janka, jego kłótnie z Marzeną, wizytę ojca Łukasza, perypetie z wyjazdem Marysi, problemy z Leszkiem. A na koniec jeszcze ta historia z hrabiankami.

Nie można powiedzieć, żeby to były spokojne wakacje – stwierdziła. – Ale z pewnością bardzo interesujące. Wiele się działo, ale tyle jeszcze pozostało niewiadomych.

Zastanawiała się, czy Marzena w końcu jakoś dogada się z Jankiem, tak jak to sugerowała babcia Róża.

Staruszka nigdy się nie myliła, ale w tym przypadku Tamarze trudno było uwierzyć w dobre zakończenie. Martwiła się trochę o córkę, bo widziała, że dziewczyna jest zakochana. Pragnęła, by udało jej się uniknąć rozczarowania, aby nadal była szczęśliwa, ale przecież wiedziała, że z młodzieńczymi związkami bywa różnie, a rozstanie nie sprzyja ich trwałości. Myślała o Małgorzacie, jej szaliku, chęci zmiany życia. Cieszyła się, że żona wójta zbliżyła się do Marzeny, bo obie chyba czuły się samotne i potrzebna im była przyjaźń.

A ja? – zastanawiała się. – Co ze mną?

Przez ostatnie dwa miesiące ciągle uczestniczyła w jakichś wydarzeniach, ale właściwie nic w jej życiu się nie zmieniło.

Czy ja nie potrzebuję przyjaciółki? Czy mnie nie należy się jakaś radość, chwila szczęścia? Dlaczego moje życie jest wciąż takie samo, rutynowe, szare? Jeżeli nawet coś się dzieje, to są to wyłącznie problemy – z Marysią, z Leszkiem. A ja? Gdzie w tym wszystkim jestem?

Zrobiło jej się smutno. Poczowała się samotna. Może nie potrafię nawiązywać dobrych kontaktów z innymi? Może umiem jedynie udawać, jak w pracy, że jestem otwarta, sympatyczna, przyjacielska? – Niewesołe myśli przychodziły teraz jedna za drugą. – A tak naprawdę nie umiem ani się zaprzyjaźnić, ani stworzyć związku. Marzena ostatnio więcej czasu spędza z Gosią, Marysia częściej odwiedza babcię Ewę, a mnie trafia się albo tchórzliwy playboy, albo niezrównoważony leśniczy.

Pocieszała się, że przesadza. Tłumaczyła sobie, że przecież powinna się cieszyć. Pozbyła się Leszka, córka przestała sprawiać problemy, relacje z matką wreszcie zaczęły się układać. Miała pracę, weekendy w Borowej. Czy to mało? Z pewnością wiele osób mogłoby jej zazdrościć. A jednak czegoś jej brakowało. I ten brak nie pozwalał się cieszyć.

Chyba jednak jest lepiej, kiedy coś się dzieje – pomyślała, wzdychając. – Przynajmniej wtedy nie mam czasu na rozmyślanie.



– Słuchaj, mam pilną sprawę. Potrzebuję twojej pomocy.

Małgorzata właśnie skończyła spotkanie z właścicielem lokalu, w którym zamierzała otworzyć swoją sklepiko-kawiarnię, jak roboczo nazwała całe przedsięwzięcie. Była zadowolona, bo udało jej się nawet obniżyć nieco wysokość czynszu. I zobowiązać wynajmującego do zachowania tajemnicy. Miała nadzieję, że to, co naplotła o wielkim otwarciu i związanej z tym konieczności trzymania wszystkiego w sekrecie do ostatniej chwili, wypadło przekonująco.

Przez dwa dni była właściwie w ciągłym kontakcie z Marzeną, ustaliły mnóstwo szczegółów, dopracowały wizję wyposażenia i aranżacji wnętrza, koleżanka pomogła jej też wypełnić urzędowe formularze.

Od razu w poniedziałek zamówiła wszystko, co trzeba. Była zaskoczona, że wystarczy posiadać pieniądze, a nie ma problemu ani z dostawą, ani z terminem. Po południu przekaze klucze znajomej Marzeny, projektantce i plastyczce. Dziewczyna miała zająć się odbiorami zamówionych rzeczy i urządzaniem wnętrza. Małgosia nie mogła pokazywać się w lokalu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, więc obecność pośredniczki okazała się koniecznością. Na szczęście w dobie internetu i MMS-ów nie stanowiło to problemu i będzie mogła na bieżąco obserwować postęp prac.

Planowała otwarcie na pierwszą sobotę września, więc czasu było niewiele. Za to dużo do zrobienia. Telefon od Marzeny nie zdziwił jej, była pewna, że dzwoni w sprawie wspólnego projektu. Nie spodziewała się tego, że usłyszy prośbę o pomoc i to wyrażoną tak dramatycznym tonem.

– Oczywiście, pomogę. Co się stało? – zapytała.

– To nie jest rozmowa na telefon. Chciałabym się spotkać, najlepiej zaraz po pracy. Będziesz mogła? – Błagalny ton Marzeny nie pozostawiał wątpliwości, że sprawa naprawdę jest poważna.

– Jasne. Tylko powiedz gdzie?

– Najlepiej u mnie w domu.

– W porządku. Podaj adres.

Marzena podyktowała nazwę ulicy i numer bloku.

– Drugie piętro, drzwi po lewej.

– OK, wiem gdzie to jest. Na pewno trafię. Tylko uspokój mnie i powiedz, że nic ci nie jest.

– Na razie nic, ale obawiam się, że może być. – Marzena mówiła bardzo poważnie. – Może to nie sprawa życia i śmierci, ale samego życia to na pewno. Niestety.

– To może przyjechać od razu? – Małgorzata była mocno zaniepokojona.

– Nie, muszę siedzieć w pracy. Szef wrócił z urlopu, nie wyrwę się. Chociaż dzisiaj to i tak żaden ze mnie pracownik...

– To może coś trzeba załatwić w międzyczasie? Jeżeli tak, to tylko powiedz.

– Małgosiu, po prostu przyjedź – zniżyła głos. – Muszę kończyć...

– To do zobaczenia.

Małgorzata stała przy samochodzie i w zamyśleniu pocierała policzek. Nie miała pojęcia, w czym mogłaby pomóc Marzenie, ale wiedziała, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy.

– Dzień dobry, pani Kamińska – usłyszała. – Co pani taka zamyślona? Zapomniała pani listy zakupów?

Małgorzata uśmiechnęła się tym wystudiowanym uśmiechem dla, jak mawiał Kacper, elektoratu. Co za szczęście, że zaparkowałam przed Lewiatanem – pomyślała. – To nie wzbudza podejrzeń. Bo co innego może tu robić żona wójta, jeśli nie zakupy?

– Dzień dobry, pani Heleno – odpowiedziała uprzejmie. – Rzeczywiście, zgadła pani. Muszę dziś improwizować.



Walizka była już spakowana. Rano dołoży tylko przybory toaletowe i będzie gotowy do wyjazdu. Dwie godziny pociągiem do Krakowa, potem lotnisko, odprawa i po południu będzie już w domu. Powinien się cieszyć, a jednak jakoś nie potrafił.

Jan usiadł na brzegu łóżka i zamyślił się. Planował krótką wizytę, kilka spotkań z odnalezionymi ciotkami, żeby opowiedzieć dziadkowi o losach pozostałej w Polsce rodziny. Nic więcej. Sam był zdziwiony, że pobyt wciąż się przedłużał. W ogóle wszystko, co spotykało go tutaj od pierwszego dnia, było całkowicie nieplanowane, zaskakujące i nowe. Myślał, że jest dorosłym, poważnym mężczyzną, że życie pokazało mu już wszystkie swoje oblicza i że poradzi sobie w każdej sytuacji. Przez ostatni miesiąc przekonywał się, w jak wielkim był błędzie.

Zabierał ze sobą wiele wspomnień. Przyjaźń Tamary, życzliwość pani Zofii, ciepło pani Róży, która

niespodziewanie okazała się jego ciotką. Na pewno często też będzie myślał o mieszkankach dworku, które chociaż nie były prawdziwą rodziną, to znalazły miejsce w jego sercu. W Jagodnie i w Borowej poznał inny świat – prosty, naturalny, niepozbawiony problemów, ale pełen ludzkiej życzliwości i spontaniczności. Docenił wartość przyjaźni, przekonał się, że można liczyć na bezinteresowność innych i poczuł prawdziwą serdeczność. Musiał przyznać, że dobrze mu z tym było.

A jednak jego świat był gdzie indziej. W Londynie mieszkali jego rodzice i dziadek, tam pracował, mieszkał, miał znajomych. I uporządkowane, dobre życie. Dlaczego więc nie cieszy się z powrotu? Przecież załatwił tu wszystko, co wymagało załatwienia i mógł wyjechać z poczuciem spełnionej misji. Resztę będzie kontrolował z Londynu, żaden problem, w ten sposób współpracował z ludźmi z wielu krajów.

Dość tych rozmyślań – przywołał sam siebie do porządku. – Teraz prysznic i sen, bo jutro muszę wcześniej wstać. Dobrze, że dworzec jest po drugiej stronie ulicy, zdążę spokojnie zjeść śniadanie.

Wstał, żeby pójść do łazienki, ale cofnął się na dźwięk telefonu stojącego na biurku pod lustrem.

– Ma pan gościa – poinformował miły głos recepcjonistki.

– Proszę wpuścić na górę.

– Ta pani mówi, że nie będzie wchodzić. Pyta, czy zechce pan zejść na dół.

– Tak, oczywiście. Zaraz zejść.

Nie spodziewał się nikogo. Jediną kobietą, która przyszła mu do głowy była... Tę myśl natychmiast odrzucił, uznając za niemożliwą. A może? Nie, na pewno nie.

Wyszedł z pokoju i podszedł do windy. Gdzie ona jest? Dlaczego jedzie tak powoli? Poirytowany uderzył pięścią w drzwi i wybrał schody. Zbiegał szybko, pokonując po kilka stopni naraz, dopiero na pierwszym piętrze zwolnił, żeby uspokoić oddech.

Powoli podszedł do recepcji.

– Ktoś na mnie czeka...

– Tak. – Dziewczyna uśmiechnęła się i wskazała na stolik w głębi pomieszczenia. Jan odwrócił się, zrobił kilka kroków we wskazanym kierunku... i stanął.

Kobieta na jego widok wstała i również podeszła bliżej. Gdy Jan się zatrzymał, ona zrobiła to samo. Stali w milczeniu naprzeciwko siebie.

Jan patrzył z zachwytem. Był oczarowany tym, co widział. Zwiewna sukienka na cienkich ramiączkach odsłaniała drobne ramiona kobiety. Dekolt zwracał uwagę na biust, ale nie odsłaniał zbyt wiele. Jasnopomarańczowy materiał, który kojarzył mu się z promieniami zachodzącego słońca, spływał wzdłuż linii bioder i kończył się tuż nad kolanami. Jasne sandały przyciągały uwagę do kształtnych stóp, a obcasy podkreślały zgrabne łydki. Dłonie o długich palcach zaciskały się na niewielkiej torebce w tym samym kolorze, co buty. Nie wiedział, co zrobiła, ale dziś jej oczy były jeszcze bardziej zielone niż zwykle, a twarz nabrała delikatnego blasku. I włosy! Z tyłu sterczały, jak zwykle, ale z przodu wszystkie kosmyki leżały grzecznie, okalając twarz i łagodząc rysy. Przed nim stał ideał!

– Powiedz coś, bo jestem bardzo speszona – odezwała się tak cicho, że ledwie usłyszał.

Szybko zrobił dwa kroki i znalazł się tuż przy niej. Poczł słodko-kwiatowy zapach i dostrzegł delikatny łańcuszek na lewej kostce.

– Bardzo się cieszę, że przyszłaś – powiedział, chociaż miał ochotę mówić zupełnie co innego.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zapytała.

– Oczywiście, z przyjemnością. Może przejdziemy do barku?

– Nie, nie trzeba. Nie zajmę ci wiele czasu, wiem, że jutro wyjeżdżasz. Usiądźmy tutaj.

Pokiwał głową na znak, że się zgadza.

– Powiem wprost. Myślałam o twojej propozycji i zdecydowałam się ją przyjąć. O ile oczywiście jest jeszcze aktualna.

Jan popatrzył w zielone oczy, a potem na nerwowo splecione palce Marzeny.

– Tak, jest aktualna. Jednak pod jednym warunkiem.

Kobieta spojrzała badawczo, ale natychmiast wbiła wzrok w blat stolika.

– Jakim?

– Musimy jeszcze przed moim wyjazdem omówić przynajmniej wstępnie plan remontu. I chciałbym to zrobić przy kolacji.

– Oczywiście, rozumiem.

– Ale kolacji, za którą ja zapłacę.

Widział, że zacisnęła szczęki. Czekał na reakcję.

– Dobrze – usłyszał cichy głos.

– W takim razie wjedziemy tylko na górę po plany dworku i potem ustalimy wszystko w restauracji. Podają tu świetną gęś i królika.

Po drodze zagadnął Marzenę o jej wizję zagospodarowania otoczenia wokół dworku. Odpowiedziała, z początku niepewnie, ale temat ją wciągnął i zanim dotarli do pokoju, już z entuzjazmem mówiła o metamorfozie różanego zakątka i wykorzystaniu miejsca wokół studni.

Gdy tylko wyciągnął z walizki dokumenty, natychmiast otworzyła teczkę i rozłożyła plany na biurku.

– Zobacz, miałam na myśli to miejsce – wskazała coś na planie.

Jan pochylił się, żeby zobaczyć, o czym mówi i jego twarz znalazła się tuż przy jego policzku. Usłyszał, że wstrzymała oddech. Odwróciła głowę, ich spojrzenia się spotkały i Jan utonął w zieleni jej oczu, a ona w jego ramionach.

Kolację zamówili do pokoju. Leżeli w łóżku, czekając na przyjście kelnera.

– Mam nadzieję, że nie podarłeś mi sukienki – uśmiechnęła się Marzena. – To moja najlepsza i jedyna, w której mogę próbować udawać damę.

– Tak, wyglądasz w niej pięknie, ale przyznam ci się, że jeszcze piękniej bez niej. – Jan pocałował ramię kobiety. – No, ale muszę wyznać, że tam, przy recepcji, po prostu mnie, jak to się mówi? A, замуrowało. Wyglądałaś zjawiskowo.

Marzena w duchu dziękowała Małgosi, która natychmiast zrozumiała dylematy koleżanki i nie tylko pomogła jej podjąć decyzję, ale jeszcze za pomocą szczotki do włosów i zasobów własnej kosmetyczki przeobraziła ją w tę, jak to pięknie określił Jan, zjawiskową Marzenę.

– Wyłumacz mi tylko, dlaczego to musiało tak długo trwać? – zapytał.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? – Marzena przeciągnęła się powoli. – Może dlatego, że byłeś nie do wytrzymania.

– To ty byłaś nie do wytrzymania – zaprotestował.

– To może się pokłócimy? Dawno tego nie robiliśmy? – uśmiechnęła się Marzena.

– Wolałbym coś innego. Też dawno tego nie robiliśmy. – Popatrzył na stojący na nocnej szafce budzik.

– Już jakieś pół godziny.

– Nie wiem, nie wiem... Powinieneś się wyspać przed podróżą...

– Wyśpię się w pociągu. Albo w samolocie – powiedział Jan, całując ją w ucho. – Albo kiedy indziej...

Marzena jakoś nie miała ochoty dłużej się opierać. Odłożyła na bok kobiecą niezależność i poddała się

męskiej dominacji. Z rozkoszą.



- Mamo, musimy porozmawiać. – Kasia wpadła z impetem do kuchni białego domku. – Przepraszam – zmytygowała się, widząc przy kuchni Różę. – Dzień dobry, mamy nie ma?
- Jest, jest, tylko dzisiaj ja mam dyżur przy kuchni. Tak zarządziłam, bo Zofii znowu dokuczają nogi, a sama to przecież nigdy nie zrezygnuje z obowiązków.
- Racja, mamę od roboty ciężko odgonić – przyznała Kasia.
- Dzień dobry, pani babciu. – Nikola dogoniła matkę.
- Samo „babciu” wystarczy – uśmiechnęła się Róża.
- Bez „dzień dobry”? – zdziwiła się dziewczynka.
- Bez „pani” – wyjaśniła staruszka.
- Bardzo nam miło. Nikola, podziękuj pani Róży, że pozwala tak do siebie mówić – pouczyła córkę Kasia.
- Dziękuję. To będę miała teraz dwie babcie?
- Nawet trzy. Bo jest jeszcze babcia Józia, mama taty.
- Ale ona mnie nie lubi – wyznało szczerze dziecko.
- To gdzie znajdę mamę? – Kasia zapytała szybko, chcąc zatuszować ostatnią uwagę córeczki.
- W sadzie. O ile nie znalazła sobie jakiegoś zajęcia.
- Pani Różo, czy ja mogłabym tutaj Nikolę na chwilę zostawić? Bo mam do mamy taką sprawę, że wolałabym...
- Zostaw, zostaw. – Róża machnęła przyzwalająco dłonią. – Znajdziemy tu jakieś ciasteczka albo kompocik.
- A kotek gdzie? – zapytała dziewczynka.
- A kto go tam wie. Chodzi własnymi drogami, jak to kot.
- Kasia zostawiła córkę zasypującą Różę pytaniami o kocie zwyczaje i poszła do matki. Wahała się, jeszcze nie była pewna, czy to co chce zrobić ma sens i liczyła, że matka pomoże jej zdecydować.
- Zofia ucieszyła się na widok córki, ale natychmiast dostrzegła jej zdenerwowanie.
- Znowu? – zapytała z lękiem.
- Co? A, nie, nie denerwuj się. Ja w innej sprawie.
- No to chociaż tyle – odetchnęła Zofia. – Siadaj, córuś, i mów, z czym przychodzisz.
- Bo widzi mama, pojechałam dzisiaj z małą na zakupy. Chłopaki nie chcieli, mają nowe gry, zresztą nieważne. O co innego chodzi. – Mówiła szybko, widać było, że jest przejęta.
- Spokojnie, dziecko, po kolei mów. I napij się może? – zaproponowała Zofia.
- Później – machnęła ręką Kasia. – No to pojechałam po zakupy i po drodze wpadłam do Danusi, fryzjerki, wie mama, tej co pracuje u Tomka, odkąd Renata dzieci zabrała i za Niemca poszła.
- Zofia wiedziała, o kim mówi córka. Tomek i Renata Borkowie mieszkali w Jagodnie od dziecka i byli parą już chyba w szkole podstawowej. Pobrali się potem, mieli dwóch synów. Tomek prowadził warsztat samochodowy, sprowadzał też auta. Ciężko pracował, ale dom postawił, a na dole zrobił zakład dla Renaty, która była fryzjerką. Tylko że ten zakład zysków jakoś nie przynosił, więc Renia wymyśliła, że

pojedzie do Niemiec, żeby trochę zarobić, a dziećmi zajmie się jej matka.

Pojechała na trochę dłużej, a po dwóch latach wróciła, wzięła synów, złożyła papiery o rozwód i wyszła za swojego pracodawcę. Tomek został sam i nikt nie wiedział, co o tym wszystkim myśli, bo był bardzo skryty i nikomu się zwierzać nie chciał. Zakładu fryzjerskiego nie zamknął, tylko zatrudnił tam Danusię z Bartkowa. Ludzie mówili, że czeka i wierzy, że Renata wróci.

– I wchodzę ja do zakładu – kontynuowała swoją opowieść Kasia – a tam akurat Danusia Tomka obcina. No to zaczęliśmy rozmawiać, trochę wspominać, bo on przecież tylko rok starszy, to się jeszcze ze szkoły znamy. Tak słowo do słowa i ja mówię, że dobrze, że ten zakład jest, bo na miejscu można farbę zrobić, ale na paznokcie to już muszę do Kielc jeździć. I szkoda, że w Jagodnie nie ma. A Tomek mi na to: „To zrób kurs, naucz się te paznokcie robić, a ja ci tu kawałek lokalu podnajmę”. Zaśmiałam się, ale widzę, że on na poważnie.

Kasia przerwała, bo zabrakło jej tchu. Sięgnęła po szklanę z kompotem, dwoma haustami wypić zawartość naczynia, nabrała powietrza i dokończyła:

– I tak sobie pomyślałam, że może to dobry pomysł? Taki kurs robienia paznokci, a potem spółka z Tomkiem? Co ty, mamó, o tym myślisz?

– Na paznokciach to ja się nie znam – powiedziała szczerze Zofia. – Ale widzę, że tobie się to podoba. A to najważniejsze. I jakby się udało, to miałabyś parę groszy. Swoich własnych.

– Właśnie! Też tak pomyślałam. A jakby dobrze szło, to mogłabym inne kursy też zrobić, takie kosmetyczne. I swój zakład otworzyć, nie?

Zofia dawno nie widziała córki tak zadowolonej. Cieszyła się więc jej szczęściem. I tym, że może się coś w życiu Kasi na lepsze odmieni.

– Tylko, widzi mama, jest jeden problem.

– Jaki, córciu?

– Na razie to ja bym nie chciała nic Jarkowi mówić o tym kursie. On by się na pewno zdenerwował i nie zgodził. Chciałam w sekrecie zrobić i dopiero potem mu powiedzieć.

– Jak uważasz, że tak będzie lepiej, to tak zrób.

– No tak, tylko że miałabym zajęcia przed południem, jak Jarka nie ma. Chłopaki to do szkoły już we wtorek idą, ale Nikola... Nie dostanę miejsca w przedszkolu, bo ja nie pracuję, zresztą co Jarkowi powiem? Że dlatego dziecko chcę oddać do przedszkola?

– Kasiu, przecież ja się mogę dzieckiem zająć, jakież to problem. Pomogę ci, a i dla mnie to będzie samo szczęście, że więcej czasu z wnuczką spędzę.

– Naprawdę? Mogłaby mama? Tylko ja jeszcze nie wiem, ile to potrwa, jak często i w ogóle...

– Ile by nie trwało, Nikolkę do mnie będziesz przywozić i nie ma o czym gadać.

Kasia podeszła do matki i ucałowała ją w policzki.

– Kochana jesteś, mamó. Naprawdę!

– Daj spokój, nic przecież nie zrobiłam. Kto ma ci pomóc, jak nie ja. Ja się cieszę, że jeszcze mogę się przydać. – Zofia była wzruszona okazaną przez córkę czułością.

– Jeszcze tylko jedno, mamó. – Kasia, zachęcona dobrym stosunkiem matki do jej pomysłu, postanowiła poruszyć ostatnią kwestię. – Bo będę musiała opłacić ten kurs, wiadomo. A jak Jarkowi nie powiem, to nie będę miała z czego. I chciałam zapytać, czy mama nie mogłaby mi pożyczyć. Ale naprawdę tylko pożyczyć. Spłaciłabym wszystko, jak już zaczęłabym pracować – patrzyła na matkę prosząco. – Ale jak mama nie ma, to żaden problem. Pożyczę od kogoś innego. Poradzę sobie, naprawdę.

Zofia spojrzała na córkę uważnie. Z jednej strony obiecała sobie, że więcej do jej małżeństwa

dokładać nie będzie, ale z drugiej – widziała, że Kasia naprawdę pragnie zrobić ten kurs. I czuła, że to dla niej ważne. Nigdy dotąd jej córka nie chciała sama nic robić, zawsze czekała, aż wszystko da jej matka, a potem Jarek. Teraz było inaczej.

– A ile ci potrzeba? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem, muszę sprawdzić.

– To sprawdź i przyjdź. Ile będę mogła, to dam. Zapracujesz i oddasz.

Kasia aż podskoczyła z radości. Zupełnie jak mała dziewczynka. Zofia z rozczeniem patrzyła na zachowanie córki. Niech jej się powiedzie, co tam zaplanowała – pomyślała. – Dam jej, co mam. W końcu do grobu tych pieniędzy ze sobą nie zabiorę. Niech lepiej jej się przysłużą.



Marzena, z właściwą sobie energią, wyczuwała na powitanie obie starszuszki i Marysię.

– Jak miło was widzieć! Piękniejecie z każdym dniem!

– Co też pani, do starych takie rzeczy – roześmiała się Zofia.

– Do starych, do młodych, do wszystkich. A co! – Widać było, że jest w doskonałym humorze. – A ty, droga koleżanko – zwróciła się do Tamary – zbieraj szlachetne cztery litery i do samochodu. Muszę ci coś pokazać!

– Ty coś piłaś? – zainteresowała się Tamara. – Albo na innych wspomagaczach jedziesz? Nie chce mi się nigdzie jechać. Weekend mam, odpoczywam i korzystam z ostatnich słonecznych dni tego lata.

– Tak, najbardziej z nich korzystasz tutaj, w kuchni. Nie wymyślaj, tylko się zbieraj. Nie możemy się spóźnić, mamy bardzo odpowiedzialne zadanie.

– O czym ty gadasz? – próbowała dowiedzieć się Tamara, ale zamiast odpowiedzi poczuła, że ręce koleżanki siłą unoszą ją z krzesła i popychają w stronę drzwi.

– Oddam ją na obiad! – krzyknęła Marzena z sieni. – Jak się nie będzie opierać, to nawet nieuszkodzoną!

– Dokąd mnie wiesz? – zapytała Tamara, gdy ruszyły z piskiem opon. – Mam nadzieję, że to nie porwanie w zemście za napuszczenie na ciebie niechcianego adoratora.

– Adorator jest już chciany – roześmiała się Marzena. – Nawet bardzo. I już używany. Ale to inna historia. Jak zobaczysz, to oniemiejesz ze zdziwienia.

Rzeczywiście, miała rację. Kiedy Tamara weszła do lokalu, który dotychczas wydawał jej się opuszczony, nie mogła ukryć zdziwienia.

Małgorzata zaadaptowała na swoje potrzeby dwa pomieszczenia będące kiedyś fragmentem restauracji „Bartek”. Większą część budynku zajmował chiński market, ale pozostała część idealnie nadawała się na potrzeby Gosi.

Nie miała czasu na generalny remont, ale to, co wymyśliła Marzena we współpracy ze swoją koleżanką zupełnie wystarczyło, żeby pustą i zimną powierzchnię zamienić w bardzo przytulne i klimatyczne miejsce. W głównej części stało biurko dla właścicielki, a za nim, przy ścianie, kilka regałów. Inne półki wypełniały puste miejsca między oprawionymi w antyramy zdjęciami, na których Tamara rozpoznała okoliczne lasy i zalew. Trzy niewielkie stoliki nakryte kolorowymi serwetami i wiklinowe krzesła zachęcały do spędzenia tu kilku chwil.

Jasnożółte ściany stanowiły idealne tło dla kolorowych dodatków i dobrze eksponowały to, co Małgosia zamierzała sprzedawać – wazoniki w wesołych kolorach, fantazyjne kubki, artystyczne ramki i wiele innych drobiazgów. Na stole pod oknem królował duży ekspres do kawy, termos z wrzątkiem i patery z ciastami.

– Popatrz do góry – szepnęła Marzena. – Tam jest najlepsze.

Tamara uniosła głowę. Pod sufitem fruwały dziesiątki kolorowych balonów, a między nimi wisiał, niczym wielka ośmiornica, wielobarwny szalik.

– A tam jest część dla maluchów – wskazała Marzena drugie pomieszczenie. – Wiesz, stoliki, klocki, samochody, maskotki i takie tam duperele. Też kolorowo. Zobaczysz później, bo teraz pora przywitać się z gospodynią i do roboty.

– Jakiej roboty?

– Dzisiaj jesteśmy tu za hostessy. No co? – wzruszyła ramionami, widząc minę Tamary. – Ograniczone środki, trzeba korzystać z zasobów własnych.

– I niby ja jestem tym zasobem?

– A co? Nie pomożesz?

– Pewnie, że pomogę.

I już po chwili wręczały zakupowiczom parkującym przed Lewiatanem ulotki reklamujące sklepikokawiarnię „Kolorowy szalik”, a dzieciom rozdawały baloniki.

W środku szczęśliwa Małgorzata pełniła honory gospodyni. Częstowała ciastem, opowiadała historię sprzedawanych przedmiotów, doradzała, do czego mogą pasować. W krótkich przerwach patrzyła na siedzących przy stolikach ludzi i bawiące się na kolorowej wykładzinie dzieci, i czuła, że nigdy wcześniej nie była taka szczęśliwa.

Kacper Kamiński wjechał na parking akurat wtedy, gdy Marzena podawała Tamarze kolejny pęk balonów. Zauważył je od razu.

Powinienem się domyślić, kto tak namieszał. Ta, pożałuj Boże, specjalistka od wizerunku – zaklął pod nosem. – I ta ruda też tu jest – rozpoznał w Marzenie towarzyszkę żony z parku. – Świetnie, nie ma co! No nic, trzeba zobaczyć, co tu się dzieje.

O całej sprawie dowiedział się przypadkiem. Ponieważ Małgorzata znowu gdzieś wyjechała z samego rana, postanowił pojechać do urzędu i przejrzeć zaległe sprawozdania. Na korytarzu spotkał sprzątaczkę.

– To pan wójt nie na otwarciu?

– Jakim otwarciu?

– Jakże to? Żona w dawnej knajpie klub jakiś podobno otwiera. I sklep. Przecież ogłoszenia były – zdziwiła się pani Lidka.

Nie wiedział, o czym ta kobieta mówi, ale przecież nie mógł się do tego przyznać. Uśmiechnął się więc czarująco.

– Żartowałem, pani Lidko. Zaraz jadę, tylko wpadłem po dokumenty.

I pojechał. A teraz patrzył z daleka na to, co się dzieje. Nie zamierzał poprzestać na obserwacjach, szczególnie, że wyglądało na to, że sprzątaczką mówiła prawdę. Wysiadł z samochodu i pewnym krokiem poszedł do lokalu, z wyuczonym uśmiechem odpowiadając na pozdrowienia mijanych mieszkańców.

– Dzień dobry państwu – powiedział głośno, wchodząc do środka. – Przepraszam za spóźnienie, ale obowiązki zawodowe...

Podszedł do żony i pocałował ją w policzek. Nie protestowała, ale poczuł, że zeszywniała.

– Co tu się dzieje? – wysyczał jej do ucha. – Co ty wyprawiasz?

– Chyba widzisz – odpowiedziała. Drżała ze zdenerwowania, ale patrzyła mu prosto w oczy. – Otwieram sklepiko-kawiarnię.

– Przecież to idiotyczne.

– Nie mam zamiaru o tym z tobą dyskutować. Przepraszam, ale jestem zajęta. – Chciała odejść, ale Kacper chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– A skąd miałaś na to wszystko pieniądze? – powiedział to z uśmiechem tak, że ktoś patrzący z boku mógł zobaczyć po prostu rozmawiających ze sobą małżonków. Ale głos miał lodowaty.

Odwzajemniła uśmiech.

– Przecież jestem bogatą kobietą. Żoną wójta. Prawda?

I odeszła.

Kacper stał jeszcze chwilę, ukrywając wściekłość. Zamienił kilka zdań z właścicielem pobliskiego zakładu stolarskiego, wreszcie stwierdził, że nic tu po nim.

– Życzę państwu miłej zabawy – pożegnał gości „Kolorowego szalika” i wyszedł.

W drodze do samochodu podszedł jeszcze do stojącej na skraju parkingu Tamary.

– Wiem, że to twoja sprawka. Mieszasz, odkąd się tutaj pojawiłaś. Ale miarka się przebrała i zapłacisz mi za to – powiedział do kobiety.

– Może balonik dla wójta? – odpowiedziała Tamara, udając że nie obeszły jej słowa Kamińskiego. Jednak, gdy odchodził z zaciśniętymi ze złości szczękami, nie mogła pozbyć się przeczucia, że nie odpuści i będzie się mścił.



Marysia przyglądała się zabawie Kamila z psem. Podziwiała cierpliwość chłopaka, bo Kronos większą ochotę miał na swawolne bieganie niż na naukę. A jednak do tej pory Kamil nauczył go siadać i podawać łapę, a przede wszystkim wracać na komendę. Teraz wyznaczył sobie ambitne zadanie – Kronos miał aportować.

– Coś mi się wydaje, że to się nie uda – pokręciła z powątpiewaniem głową.

– No co ty! Zobacz, połowę już potrafi. Rzucam patyk, a on biegnie i go znajduje. Teraz tylko muszę go przekonać, żeby wracał i oddawał – śmiał się chłopak.

– No to chyba będzie ta trudniejsza połowa. – Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, bo Kamil miał minę jak mały chłopczyk, który z zapałem szykuje jakąś psotę. Wiatr rozwiewał mu włosy, oczy się śmiały, nawet nie zauważył rozwiązanego sznurowadła.

– Hrabianka we mnie wątpi? – wykonał przed nią głęboki ukłon. – Upraszam się łaski jaśnie pani, zrobię wszystko, co w mej mocy.

– Wariat! – Klepnęła go w czubek pochylonej głowy. – Przecież ci mówiłam, że żadna ze mnie hrabianka.

– No ale z papierów wynika, że jednak.

– Z papierów to wynika, że Zuzanna i Julia są hrabiankami.

– No dobra, wygrałaś. Ale nawet jeśli nie hrabianka, to z pewnością dziedziczka.

– To też jeszcze nie. I już przestań z tymi wygłupami, dobrze?

– Po prostu martwię się, że teraz, kiedy jesteś już bogata, nie zechcesz prostego chłopaka – śmiał się

Kamil, ale Marysia dostrzegła w jego oczach jakiś cień smutku.

A więc on też nie czuje się pewnie – stwierdziła ze zdziwieniem. – Czyżby bał się tego samego, co ja? Czy to możliwe?

– Przecież wiesz, że zawsze będę cię chciała – powiedziała czule i przytuliła się do dzinsowej kurtki.

Poczuła, że Kamil ją obejmuje. Stali tak przez chwilę, dopóki Kronos głośnym szczekaniem nie przypomniał, że czeka na kolejny patyk.

Kamil rzucił psu kawałek gałęzi i kucnął.

– A jak nowa szkoła? – zapytał.

– Nie jest źle – przysiadła obok niego. – Na razie powoli wszystkich poznaję, więc trudno powiedzieć.

Wiesz, oni są razem już rok, a ja jestem nowa...

– Na pewno cię polubią. Inaczej być nie może.

– Na razie okazałam się przydatna do sprawdzania prac domowych z anglika. Okazuje się, że jednak jestem w tym dobra. Na coś się ta wielce ambitna klasa jednak przydała – roześmiała się. – W ramach wdzięczności mam zaproszenie na pizzę w przyszły piątek po lekcjach.

– A kto zaprasza? Kolega? – zainteresował się Kamil.

– A jeśli tak?

– Jeśli tak, to będę zazdrosny.

– Bardzo?

– Nie, tylko troszkę.

– Nie musisz być wcale – pocałowała go w policzek. – Idę z Patrycją. To co? Próbujesz dalej czy rezygnujesz? – wskazała na Kronosa, który znowu wrócił bez rzuconego patyka.

– Ja nigdy nie rezygnuję. Zwłaszcza, jeżeli na coś mi bardzo zależy. Przecież wiesz – powiedział poważnie.

– Tak, wiem – potwierdziła i zarumieniła się.



W poniedziałek rano Kacper Kamiński zamiast do urzędu, pojechał do Samsonowa. I nie w sprawie służbowej, a przeciwnie, w jak najbardziej prywatnej. I niecierpiącej zwłoki. Przynajmniej jego zdaniem.

Chciał w sobotę wieczorem porozmawiać z żoną. Przygotował się, otworzył wino. Miał nadzieję, że uda mu się wytłumaczyć spokojnie Małgosi, że jej pomysł nie ma szans, że to się nie może udać i że naprawdę nie powinna była podejmować takich decyzji bez konsultacji z nim. Jeszcze nie było za późno, żeby wycofała się ze wszystkiego, zamknęła ten chybiony interes i wróciła do domu. Zanim stanie się pośmiewiskiem całego Jagodna, a on razem z nią.

– Nie mam ochoty na wino ani na rozmowę – usłyszał od żony. – Będiesz miał obiady i kolacje, dom nie zarośnie brudem, stanę przy tobie na kolejnym festynie. Czyli zrobię wszystko, czego oczekujesz od żony. A resztę czasu poświęcę na to, co chcę.

Próbował jeszcze, ale Małgorzata zamilkła, a potem poszła do łazienki i nie wychodziła przez godzinę. Zrozumiał, że po dobroci niczego nie osiągnie. Musiał działać tak, jak to miał w zwyczaju – szybko, konkretnie i nie przebijając w środkach.

Całą niedzielę rozmyślał i wynotował sobie wszystko, co przyszło mu do głowy – kontrola sanepidu,

skarbowki, straży pożarnej i wszystkich innych możliwych instytucji. To na początek, a potem się zobaczy. I wtedy przypomniał sobie o pieniądzech. Jak ona to powiedziała? Że jest bogatą kobietą? Przecież nie ma ani grosza. Wreszcie zrozumiał słowa żony i aż go podrzuciło z wściekłości. Nie, tego nie mogła zrobić! – pomyślał. – Nie posunęłyby się aż tak daleko!

Jednak miał złe przeczucia i musiał to sprawdzić. Właśnie dlatego w poniedziałkowy poranek zaparkował przed Bankiem Spółdzielczym w Samsonowie.

– Dzień dobry, pani Aniu – przywitał się z kasjerką. – Proszę mi dać wyciąg z konta mojej żony – polecił z uśmiechem, który działał na wszystkie kobiety.

– Nie mogę – pokręciła głową kasjerka.

– Niech pani nie żartuje. – Kacper zaczynał tracić cierpliwość.

– Nie żartuję. To konto żony. Nie mogę dać wyciągu nikomu innemu – upierała się kobieta.

– Przecież pani doskonale wie, że mam upoważnienie – zirytował się mężczyzna.

– Niestety. Już nie. Na początku zeszłego tygodnia pani Małgorzata przyszła wypłacić pieniądze i przy okazji cofnęła upoważnienie. Upewniałam się, ale potwierdziła. Myślałam, że pan wie... – wyjaśniała z przepaszającą miną. – No i dlatego nie mogę. Straciłabym pracę...

Kacper poczuł się tak, jakby ktoś dał mu w twarz. Opanował się jednak. Nie będę przecież robił awantury – pomyślał. – Zaraz całe Jagodno huczałoby od plotek.

– Rzeczywiście, zupełnie zapomniałem – machnął ręką. – Muszę powiedzieć Małgosi, żeby sama podjechała. Do widzenia, pani Aniu.

– Do widzenia, panie wójcie. Miłego dnia.

Tak, już jest bardzo miły – pomyślał wściekły Kacper.

Usiadł w samochodzie i próbował zebrać myśli. Spodziewał się różnych rzeczy, ale tego nie przewidział. Do głowy mu nie przyszło, że Małgorzata może wpaść na taki pomysł.

Sama tego nie wymyśliła – stwierdził. – Ktoś jej musiał podpowiedzieć. No jasne, to na pewno ta Sokołowska. Dobrze, chcą wojny, to będą ją miały. Nikomu nie uda się skompromitować Kacpra Kamińskiego. Najpierw zajmę się tą Sokołowską, a Małgorzata jak to zobaczy, wtedy sama zrozumie, co powinna zrobić. I zacznę natychmiast.

Sięgnął po telefon.

– Pani Basiu – poinformował sekretarkę. – Dzisiaj będę w urzędzie dopiero po południu. Wypadło mi ważne spotkanie. Kto ma przyjść? Ten z Belna? To proszę do niego zadzwonić i przesunąć na czternastą. Dziękuję.

Odpalił silnik i po kilku minutach był już na drodze prowadzącej do Kielc.



Marek potracił w korytarzu Tamarę, ale albo tego nie zauważył, albo nie chciał zauważyć. Szybkim krokiem wszedł do swojego gabinetu i trzasnął drzwiami z taką siłą, że zadrżały ściany starej kamienicy.

– O, będzie dym – stwierdził jeden z grafików, wychodząc z socjalnego.

– To ja dam chłopakom sygnał do wyjazdu – zdecydował Darek, handlowiec, wychylając głowę z pokoju. – Może się wyciszy do naszego powrotu.

W tym momencie, stukając obcasami, do agencji wbiegła Andżela.

– Co się dzieje? – zapytała Tamara. – Wiesz coś?

– Ktoś zadzwonił do pana prezesa – rzuciła Sexy Doll przez ramię. – Chyba jakaś bardzo ważna sprawa.

Tyle to i ja się domyśliłam – stwierdziła Tamara. – Od razu było widać, że ważna i do tego nic dobrego. Sexy Doll na pewno wie więcej, tylko nie chce się przyznać. Ciekawe komu się oberwie?

Nie przypominała sobie, żeby coś zaważyła albo żeby jakiś klient ostatnio miał pretensje, więc była względnie spokojna. Względnie, bo kiedy Marek był zły, strzelał złością na ślepo i nigdy nie wiadomo było, kogo te pociski dosięgną i kto oberwie rykoszetem. Cóż, na razie trzeba czekać i nie wchodzić mu w drogę. Zabrała więc kubek z kawą i schroniła się za monitorem.

Jednak coś nie dawało jej spokoju. Jakieś skojarzenie, niejasne, ale uparte. Ten zapach... Wyszła ponownie na korytarz. Mimo że Andżela przeszła tędy już kilka minut temu, to wciąż w powietrzu pozostała woń jej perfum. Inny niż zwykle, bardziej intensywny, korzenny, z mocną kwiatową nutą.

Skąd ja znam ten zapach? – zastanawiała się Tamara. Nie mogła sobie przypomnieć, więc wróciła z powrotem do biurka.

Ledwie zdążyła usiąść, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Ktoś pchnął je gwałtownie, aż skrzydło uderzyło o ścianę.

To pewnie ten wściekły klient – pomyślała i z ciekawością zerknęła na korytarz. Postać mignęła szybko, nie zdążyła zauważyć dokładnie.

Próbowała zająć się pracą, ale spokoju nie dawała jej zagadka zapachu perfum sekretarki. Może kiedyś wahała je w perfumerii i tak zapadły jej w pamięć? A skoro tak, to może powinna je kupić. Ciekawe, jak się nazywają i czy są drogie? Może byłyby sposobem na gorszy ostatnio nastrój? Postanowiła zapytać Andżelę.

Sekretarka siedziała na swoim miejscu i widać było, że jest w pełnej gotowości.

– Andżela, czy ty masz nowe perfumy? – zapytała.

– A coś nie tak? Brzydko pachną? – zaniepokoiła się kobieta.

– Przeciwnie. Bardzo mi się podobają. Tylko nigdy wcześniej ich chyba nie miałaś. Przynajmniej ja nie zauważyłam. I dlatego pytam, czy nowe.

Chociaż sekretarka była wyraźnie zdenerwowana, to podjęła temat. Zawsze zresztą chętnie mówiła o ciuchach i kosmetykach.

– Nie są nowe, mam je od jakiegoś czasu. Tylko bardzo drogie. Ja dostałam w prezencie od... no, dostałam i używam tylko na specjalne okazje. – Trochę się zmieszala, mówiąc o prezencie.

Myślisz, że nie wiem, od kogo dostałaś? – powstrzymała uśmiech Tamara. – Widać Marek jest zadowolony, skoro robi takie kosztowne podarunki.

– Dzisiaj wzięłam, bo wiedziałam, że jest bardzo ważna sprawa – wyjaśniała Andżela, zerkając na drzwi gabinetu szefa. – No i chyba naprawdę nie jest dobrze. Kamiński był taki zły, jak przyszedł...

– Kamiński tam jest? – przerwała jej Tamara.

– Tak. Nie słyszałaś, jak przyszedł? Myślałam, że drzwi rozwali. I teraz czekam, co z tego będzie. Aż się boję, bo jeszcze pana prezesa nie widziałam takiego zdenerwowanego.

Chyba ja bardziej czekam – pomyślała Tamara. – Ale o tym nie musisz wiedzieć.

Popatrzyła na koleżankę. Nawet pod grubą warstwą makijażu widać było, że jest spięta. Tak bardzo przejmują się nastrojami Marka – zastanawiała się Tamara – czy po prostu się go boi, jak wszyscy?

– Dzięki – powiedziała.

– Za co? Przecież ci nawet nie powiedziałam, jak się te perfumy nazywają – zdziwiła się Andżela. –

Jutro ci powiem, bo to oryginalne z Francji i nie pamiętam. Sprawdzę i zapiszę.

– Dobrze – zgodziła się Tamara, ale myślami była już gdzie indziej.

Przeczuwała, że wójt Jagodna przyjechał, żeby spełnić obietnicę o zemście. Na pewno nie będzie łatwo i czeka ją przeprawa z Markiem. Wszystko zależy od tego, co mu naopowiada – pomyślała. – Za bardzo nie ma się czego czepiać, bo przecież ostatnio nic nie robiliśmy dla gminy, zastój wakacyjny dopadł także ten projekt.

Nie miała wyjścia, musiała czekać. Gdyby jeszcze była Marzena, ale dziś akurat przychodziła później, bo odbierała nadgodziny. Pewnie załatwia jakieś sprawy dla Małgorzaty – domyślała się.

I w tym momencie coś zaskoczyło. Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Perfumy Andżeli, Kamiński, Małgorzata i jej opowieść...

Zapomniała o swoim problemie, gwałtownie odsunęła się od blatu i prawie biegiem wróciła do sekretariatu.

– Słuchaj, coś mi się jeszcze przypomniało. Ty chyba miałeś kiedyś taki fajny puchaty szalik. Czerwony. Bardzo sexy – blefowała, ale czuła, że trop jest dobry. – Powiesz mi, gdzie kupiłaś?

– No, miałam – potwierdziła Andżela. – Też mi się podobał. Kupiłam specjalnie na świętowanie tych wygranych wyborów. Pamiętam, bo zaraz go zgubiłam. Na tej imprezie chyba. – Widać było, że bardzo żałuje zguby. – I już raczej go nie kupisz, bo to przecież model z zeszłego sezonu – spojrzała na Tamarę zaskoczona, że koleżanka nie wie o tak podstawowych rzeczach. – Zresztą chyba jeszcze za wcześnie na szaliki, zimowe kolekcje będą za jakieś dwa tygodnie.

– Szkoda, był naprawdę fajny. Trudno – zakończyła Tamara.

Wiedziała, była pewna! – triumfowała w duchu. – To Sexy Doll zostawiła szalik w samochodzie wójta. Rozwiązałam tę zagadkę. Muszę to powiedzieć Małgorzacie!

Postanowiła, że do niej zadzwoni, kiedy tylko jej mąż wyjdzie od szefa, a ona dowie się, co nagadał Markowi. Na spokojnie wszystko opowie, żeby Gosia nie musiała się już denerwować.



Tymczasem w gabinecie Marka trwały rozmowy. Szef agencji wiedział, że czeka go trudne spotkanie.

Właśnie się golił, gdy usłyszał dźwięk telefonu z głębi mieszkania, a zaraz potem drobne krocзки i w drzwiach stanęła Andżela. Dzwonił Kamiński. Normalnie nie odebrałby, bo wyznawał zasadę, że musi mieć spokojny poranek, żeby nabrać siły do całodziennej pracy. Bardzo tego przestrzegał. Brał długi prysznic, powoli kończył toaletę, bez pośpiechu jadł śniadanie i wypijał poranną kawę. Dopiero kiedy był gotów do wyjścia, uznawał, że zaczyna dzień i może rozmawiać z klientami.

Jednak wójt Jagodna był szczególnie cenny. Nie dosyć, że „Marex” wygrywał przetargi na wszystkie gadżety, to jeszcze miał zapewnione opracowanie i druk materiałów promocyjnych. A na tym Kamiński nie oszczędzał. Nie mówiąc już o kwocie, jaka zasiliła konto Marka przed wyborami i premii „od sukcesu”, którą otrzymał po wygranej.

To jednak nie były jedyne zalety tego klienta. Jego znaczenie dla firmy potęgował też fakt, że miał wielu znajomych – przedsiębiorców i polityków – którzy przyszli za nim do agencji Marka. Proces ten trwał nieustannie, bo Kamiński, zadowolony ze współpracy, polecał jego usługi nowym kolegom, z którymi prowadził interesy.

Ktoś taki miał prawo dzwonić nawet zaraz po ósmej rano i Marek wiedział, że dla niego warto złamać poranne zasady.

Kiedy więc Andżela zapukała do drzwi łazienki i przez uchylone drzwi podała mu telefon, szeptać nieśmiało:

– Kamiński...

Marek nie zdenerwował się, tylko odłożył maszynkę i odebrał.

– Jadę do pana. Będę za pół godziny – usłyszał tylko i wójt rozłączył się.

To jednak właścicielowi agencji reklamowej zupełnie wystarczyło. Nawet w tym krótkim komunikacie wyczuł ogrom wściekłości klienta. I zrozumiał, że musi być w swoim gabinecie za dwadzieścia pięć minut. Głodny, bez porannej dawki kofeiny, ale po prostu musi.

Najszybciej, jak potrafił, dokończył golenie i wyszedł z łazienki, rzucając krótko:

– Garnitur.

– A śniadanie? Kawa będzie za dwie minuty – powiedziała zdezorientowana Andżela.

– Za dwie minuty to ty masz być gotowa do wyjścia.

– Ale...

– Żadnego „ale”! – wrzasnął. – Tak ma być, jeżeli chcesz jechać ze mną, a nie zasuwać na pieszo. Czy to jasne?!

Kobieta tylko pokiwała głową i pobiegła do pokoju, gubiąc po drodze różowy kłapek na obcasie ozdobiony pomponem z futerka. Wiedział, że będzie gotowa na czas.

Wysadził ją, jak zawsze, kilka przecznic od firmy. Nigdy nie przyjeżdżali razem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy pracownicy wiedzą o ich związku, ale nie miał zamiaru oficjalnie przyznawać się do romansu z własną sekretarką. Wolał, żeby przychodziła i wychodziła sama.

– Postaram się być jak najszybciej – powiedziała, wysiadając.

– Ja myślę. Musisz zdążyć, zanim on przyjdzie.

Był wściekły. Z wielu powodów. Dlatego że nie wypił kawy, dlatego że był głodny i dlatego że miał złe przeczucia.

A teraz okazało się, że intuicja go nie zawiodła.

– Nie mogę pozwalać na to, żeby pracownicy firmy, z którą współpracuję, byli wobec mnie nielojalni – zakończył swój wywód Kamiński. – Nie wyobrażam sobie dalszego prowadzenia interesów w takiej atmosferze. Ufałem „Marexowi” i polecałem go swoim przyjaciołom. Obawiam się, że to ulegnie zmianie.

Marek poczuł, że pocą mu się dłonie. Rozumiał, że za chwilę straci potencjalne wpływy, i to bardzo wysokie wpływy. Trzeba było działać.

– Rozumiem pańskie zdenerwowanie, ale przecież każdy problem można jakoś rozwiązać. Jesteśmy poważnymi ludźmi i potrafimy przecież wypracować jakiś kompromis. Po co później żałować, że daliśmy się ponieść chwilowym emocjom?

– Ja z pewnością żałować nie będę – ostro odpowiedział wójt. – Gorzej nie będzie. Po raz pierwszy spotykam się z przypadkiem, żeby pracownicy odpowiedzialni za mój wizerunek podejmowali działania odwrotne do zakładanych. To niedopuszczalne!

– Proponuję dobry koniak na uspokojenie. – Marek podszedł do barku i wyjął z niego pękata butelkę. – Jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia. A jeśli jeszcze dodamy do tego dobrą kawę, na pewno za chwilę będzie po problemie.

– Andżela, dwie kawy! – krzyknął, nie otwierając nawet drzwi. Wiedział, że kobieta usłyszy polecenie

i natychmiast je wykona.



Marzena nawet nie weszła do pokoju. Od razu pobiegła do sekretariatu. Spotkanie z klientem poszło nawet lepiej niż zakładała, udało jej się przekonać go do projektu, który pozwolił agencji sporo zaoszczędzić. Na dodatek jeszcze podchwycił jej wizję akcji promocyjnych. Szefowi zależało, bo mleczarnia planowała ekspansywny rozwój i niedługo mogła stać się prawdziwą kopalnią zysków. Chciała od razu przekazać mu dobre wieści, zresztą sam o to prosił.

Andżeli nie było na swoim miejscu, więc nie czekała, tylko dla formalności stuknęła raz w drzwi i wsadziła głowę do gabinetu.

– Szefie, chciałam tylko powiedzieć, że z tą mleczarnią załatwione – oznajmiła radośnie, ale na widok siedzącego na skórzanej kanapie Kamińskiego dobry humor diabli wzięli. – Przepraszam, nie wiedziałam, że szef ma gościa.

– Później – warknął Marek i odprawił ją gestem.

Wycofała się natychmiast i pełna złych przeczuć poszła do pokoju.

– Kamiński jest u szefa – oznajmiła Tamarze.

– Wiem – krótko odpowiedziała koleżanka.

Nic więcej nie musiały mówić. Obie zdawały sobie sprawę, że właśnie teraz, w gabinecie szefa, ważą się ich zawodowe losy. Nie było o czym rozmawiać, pozostawało tylko czekanie.



– Ta też u pana pracuje? – zapytał Kamiński, gdy ruda głowa zniknęła za drzwiami.

– Tak, to specjalistka od marketingu wizualnego.

– Pozazdrościć takich specjalistek – skomentował z przekąsem wójt. – Razem z tą Sokołowską tworzą udany duet.

– Są naprawdę niezłe, proszę mi wierzyć.

– Skoro takie dobre, to na pewno sobie poradzą. Proszę zwolnić obie.

– Borecką też? – Marek dolał sobie koniaku.

– Też.

– Panie Kamiński, naprawdę szkoda tracić takich fachowców. Znają się na robocie, mają na koncie wiele udanych projektów...

– Tak, właśnie miałem okazję jeden z nich zobaczyć. – Ironia w głosie wójta była oczywista.

– Porozmawiam z nimi ostro, postawię ultimatum. Z pewnością będą wiedziały, jakiego dokonać wyboru. – Marek próbował załagodzić sprawę.

– Wykluczone. – Wójt był nieubłagany. – Ultimatum stawiam ja. I albo one stąd znikną, albo zmieniam agencję. A wyboru musi dokonać pan. Teraz.

Marek zrozumiał, że dalsza dyskusja niczego nie zmieni. To nie były negocjacje. Kamiński wiedział, po

co przyjechał i nie zamierzał ustąpić. Był na wygranej pozycji, to jasne. I zdawał sobie z tego sprawę. Nie przewidywał kompromisów.

– Rozumiem, chociaż muszę powiedzieć, że nie jestem przekonany co do słuszności tej decyzji. Jednak w biznesie, wiadomo, nasz klient – nasz pan. Spełnię pana oczekiwania i mam nadzieję, że nasza współpraca...

– Niech pan sobie daruje te przemowy. – Kamiński wstał z kanapy i zapiął marynarkę. – Spieszę się do gminy. Pan je zwalnia, a ja będę nadal wspierał pańskie poczynania biznesowe. Sprawę uważam za załatwioną. Do widzenia.

Nawet nie podał Markowi ręki na pożegnanie. Właściciel agencji zacisnął zęby. Nie znosił poczucia porażki i lekceważenia. Był wściekły, że Kamiński tak go upokorzył i musiał tę wściekłość jakoś rozładować.

Stanął w drzwiach gabinetu i nawet nie spojrzawszy na Andżelę, wydał dyspozycje:

– Zabierz naczynia, a potem Sokołowska i Borecka do mnie. Jak najszybciej.

– Oczywiście, panie prezesie – odpowiedziała oficjalnie, jak zawsze, gdy ich rozmowę mogli słyszeć pracownicy.

– Zanim przyjdą, zrób mi jeszcze jedną kawę – powiedział, gdy zbierała filiżanki ze stolika.

– Jesteś zdenerwowany, zaszkodzi ci – zaprotestowała sekretarka.

– Jeszcze ty chcesz mi mówić, co mam robić?! Daj tę kawę i nie dyskutuj!

Andżela zamilkła.

Przynajmniej ta zna swoje miejsce – pomyślał Marek.



Małgorzata była bliska płaczu. Przyjechała do Kielc zaraz po zamknięciu „Kolorowego szalika”. To, co zrobił Kacper, uważała za wielkie święństwo. Znała tego człowieka od szesnastu lat, wiedziała, że bywa twardy i nieugięty, ale nie wiedziała, że jest zdolny do czegoś tak podłego!

Z daleka zobaczyła koleżanki siedzące przy kawiarnianym stoliku. Podeszła do nich i usiadła.

– Naprawdę bardzo mi przykro... – zaczęła, ale Marzena jej przerwała.

– Daj spokój, przecież to nie twoja wina.

– W pewnym sensie moja. Ale uwierzcie, tego nie przewidziałam. Liczyłam się z tym, że Kacper spróbuje mi przeszkodzić, ale nie sądziłam, że będzie się mścił na was.

– Cóż, stało się – wzruszyła ramionami Tamara. – To nie jest nasz dobry dzień. Za to mam wiadomość, która powinna cię ucieszyć. Zupełnie przypadkiem rozwiązałam tajemnicę czerwonego szalika.

– Tego szalika? – upewniła się Małgorzata. – Jakim cudem?

– Mówiłam: przypadkiem. Szalik jest własnością sekretarki naszego szefa. To znaczy, byłego szefa. Zgubiła go w dniu imprezy organizowanej przez twojego męża po wygranych wyborach. Sama się przyznała.

– Czy to znaczy, że ona i Kacper...? – Małgorzata była gotowa usłyszeć nawet najgorszą prawdę. Dziś już nic mnie nie zaskoczy – pomyślała.

– Właśnie nie. Andżela od dawna jest z Markiem. Wszyscy to wiedzą.

– A może jest z tym Markiem i jednocześnie... – powątpiewała Małgorzata.

– Mowy nie ma! – zdecydowanie stwierdziła Marzena. – Sexy Doll jest tak zapatrzona w szefa, że świata poza nim nie widzi. Głowę sobie daję uciąć, że za nic by go nie zdradziła.

– Możesz się cieszyć – dodała Tamara. – Akurat w tym względzie twój mąż jest w porządku.

– W sumie to niczego nie zmienia. Jasne, dobrze wiedzieć, że ten czerwony szalik nie jest dowodem zdrady. Z przyjemnością go spalę. – Marzena zamyśliła się na chwilę. – Ale zdradzić można w różny sposób, niekoniecznie fizycznie. I ja czuję się zdradzona...

Marzena pogłaskała ją po ramieniu. Za to Tamara jakoś nie potrafiła znaleźć w sobie współczucia.

– Ty czujesz się zdradzona, a ja zostałam bez środków do życia. Trudno powiedzieć, kto ma gorzej, prawda?

Małgorzata popatrzyła na Tamarę.

– Mówiłam ci już, że bardzo mi przykro.

– Tylko ja tym Marysi nie nakarmię.

– Wiem. Ale przecież jesteście dobre, na pewno szybko znajdziecie coś nowego.

– Tamara, nie jest najgorzej. – Marzena starała się poprawić koleżance nastrój. – W sumie chociaż Marek zachował się w miarę OK. Nie dosyć, że formalnie zwalnia nas dopiero na koniec miesiąca i zapłacił za wrzesień, to mamy potem miesiąc wypowiedzenia, też płatny. Nie musiał, a jednak...

– Może ma wyrzuty sumienia – stwierdziła Tamara. – Uważasz, że mam mu być wdzięczna? Że taki ludzki pan?

– Nie wiem, co masz myśleć, ale przynajmniej przez najbliższe trzy miesiące masz za co żyć. A w tym czasie coś znajdziemy.

– Marzena, na jakim świecie ty żyjesz? – Tamara pokręciła głową. – Mieszkasz w Kielcach, masz czterdzieści lat i uważasz, że znajdziesz pracę? Proszę cię, nie żartuj sobie!

Marzena zwiesiła głowę. Trudno być optymistką w obliczu przedstawionych przez przyjaciółkę faktów. A prawda była taka, że Tamara miała rację. Przyszłość rysowała się raczej w ciemnych barwach.

– To może razem poprowadzimy „Kolorowy szalik”? – zaproponowała Małgorzata.

– Dzięki, kochana. – Marzena uśmiechnęła się blado. – Ale z tego nie wyżyjemy. Sama dopiero zaczynasz, więc nie masz co nawet marzyć o pracownikach.

– To zróbcie to, co sama mi radziłaś.

– Niby co?

– Zaczynajcie robić to, co lubicie i niech wam za to płacą.

– Ja już robiłam, co lubię i właśnie otrzymałam zapłatę – przypomniała Tamara.

– Ale ja miałam na myśli to, żebyście robiły to same. Tak jak ja.

Marzena uważnie spojrzała na Małgorzatę. Jej słowa nasunęły jej pewien pomysł.

– To nie jest zła myśl – stwierdziła. – Tamara, posłuchaj! A gdybyśmy tak założyły własną agencję reklamową? Jakby nie patrzeć, to byłoby dobre w tej robocie. Co ty na to?

– Marek nas wykończy w dwa miesiące. Nie dostaniemy żadnego zlecenia. Szkoda czasu. Wiesz dobrze, że obstawia większość rynku w mieście.

– Jeśli chodzi o druk i reklamę, to masz rację. – Marzena nie dała się zbić z tropu. – Ale jest pewna nisza, której jeszcze nie zauważył i możemy to wykorzystać.

Była coraz bardziej zapalona do swojego pomysłu. W jej głowie już nabierał realnych kształtów.

– Słuchaj! – zwróciła się do Tamary. – Będziemy robić eventy, spotkania integracyjne, szkolenia i akcje promocyjne. Tym się „Marex” nie zajmuje. Targami też nie. Co o tym myślisz?

– Nie zajmuje się, bo nie ma klientów – wzruszyła ramionami Tamara.

– Może słabo szuka. Bo ja już pierwszego chyba mam. Tę mleczarnię, w której rano byłam. Chcieli akcje promocyjne w supermarketach. Szczęście w nieszczęściu, że nie zdążyłam o tym powiedzieć szefowi. To co? Wchodzisz w to?

– Nie wiem. Muszę się zastanowić. Na razie myślę o tym, jak powiedzieć o wszystkim Marysi. – Tamara popatrzyła na koleżanki i zacisnęła wargi. Była rozżalona, bo ze sprawą lokalu Małgorzaty miała najmniej wspólnego, a czuła, że ponosi największą karę. One sobie poradzą. Gosia ma pieniądze, Marzena swoje fuchy, a ona? Nic. I córkę na utrzymaniu.

– Chyba już pójdę – powiedziała. – Nie mam nastroju na pogaduszki.

Położyła na stoliku banknot, zabrała torebkę i odeszła ze spuszczoną głową.

– Chyba ją to podłamało – stwierdziła Małgorzata ze smutkiem.

– Dziwisz się? Martwi się nie tylko o siebie – odpowiedziała Marzena. – Ale przemyśli wszystko i jej przejdzie. To twarda babka, nie podda się tak łatwo. Niejedno już w życiu przeszła. Zresztą jutro do niej zadzwonię i pogadamy na spokojnie. Nie martw się, będzie dobrze.

– To raczej ja powinnam cię pocieszać – zauważyła Małgorzata.

– Nie ma takiej potrzeby – uśmiechnęła się Marzena. – Dobrze nie jest, ale to nie powód, żeby siedzieć i płakać. Coś się wymyśli. W końcu jesteśmy fajnymi kobietami, które mogą wszystko, prawda?

– Tak, to już kiedyś ustaliliśmy – potwierdziła Małgorzata.



Marysia z każdym dniem coraz bardziej niepokoiła się o matkę. Z początku rozumiała jej zły nastrój, bo przecież zdawała sobie sprawę, że utrata pracy to dla niej duży problem. Sama też zastanawiała się, jak sobie poradzą. W głębi duszy liczyła na to, że matka znajdzie nową pracę i wszystko wróci do normy. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej.

Jednak minął tydzień, a nie widać było, żeby Tamara robiła cokolwiek. Owszem, w pierwszych dniach wstawała, chodziła po zakupy, gotowała i chociaż Marysia widziała, że jest smutna, to traktowała to jako stan przejściowy. Liczyła też, że humor poprawi matce Marzena, która dwa razy ją odwiedziła i dziewczyna słyszała, jak opowiada coś o nowej firmie. Ale matka nie wydawała się zainteresowana. Na wszystkie pytania odpowiadała tak samo:

– Nie zwracaj sobie tym głowy.

Tylko jak Marysia miała to zrobić, skoro widziała pogarszający się stan matki. Kiedy doszło do tego, że dwa dni chodziła po domu w piżamie i większość czasu spędzała, stojąc przy oknie, paląc i bezmyślnie wpatrując się w dal, dziewczyna zdecydowała się powiedzieć o wszystkim Kamilowi.

– Coś chyba powinnam zrobić? – zapytała.

– Sama to raczej niewiele zdasz. Nie znam się na tym, ale nie wygląda to dobrze.

Liczyła raczej na dobrą radę. O tym, że jest źle, wiedziała sama.

– Przecież nie powiem jej, żeby poszła do lekarza. Zresztą i tak mnie nie posłucha. Wczoraj nie zjadła kolacji, a w nocy płakała, słyszałam.

– Moim zdaniem powinnaś powiedzieć o tym babci – zdecydował Kamil.

– Której?

– Na początek babci Ewie. Coś mi się wydaje, że tu potrzebna jest stanowczość. Może we dwie jakoś

jej pomożecie?

Marysia uznała propozycję Kamila za dobry pomysł. Sama też wcześniej o tym myślała, ale wahała się. Wiedziała, jak układa się między babcią a mamą i trochę się bała, że znowu dojdzie do kłótni. Ale teraz, skoro Kamil myślał podobnie, zdecydowała się zadzwonić.

– Babciu, mamy problem.

– My, to kto? – Chociaż czasami rzeczowość babci Ewy ją denerwowała, to teraz poczuła, że właśnie tego jej potrzeba.

– My to ja i mama. I teraz też chyba ty.

– Skoro ja też, to opowiadaj, dziecko.

– Mamę zwolnili z pracy.

– Nic nie wiedziałam! Dlaczego Tamara do mnie nie zadzwoniła? – oburzyła się Ewa. – Dobrze, to teraz nieważne. I co? Martwisz się? Może nie ma powodu? To się zdarza. Mama na pewno już szuka czegoś nowego.

– Właśnie w tym problem, że nie szuka. I wydaje mi się, że nie zamierza.

– Nie rozumiem...

– Nie wiem, babciu – Marysi załamał się głos – ale chyba coś się z nią dzieje. Nie odzywa się, nie ubiera, tylko albo leży w łóżku, albo patrzy przez okno. Martwię się...

– Spokojnie, Marysiu. Od kiedy tak jest?

– Już ponad tydzień. Nawet do Borowej w weekend nie pojechała. Powiedziała, że jest zmęczona.

– Dobrze zrobiłaś, że dałaś mi znać. Tydzień to jeszcze nie tragedia. Muszę spokojnie pomyśleć. Zadzwonię do ciebie za kilka godzin, dobrze? A ty w tym czasie postaraj się uspokoić.

– Pomożesz mamie?

– Oczywiście – zapewniła Ewa, bo wiedziała ze swojej wieloletniej praktyki, że tego zawsze oczekiwała od lekarza rodzina. Pewności siebie. Chociaż tak naprawdę w głębi duszy czuła, że trudno o tę pewność, gdy w grę wchodzi ktoś najbliższy.

Po rozmowie z wnuczką przez chwilę zastanawiała się, co robić. Czy jechać do Tamary i z nią porozmawiać? Zrobiłaby to bez wahania, ale czy przyniosłoby to jakiś skutek? Tego nie była pewna i zasmucała ją ta konkluzja. Matka powinna umieć porozmawiać z córką tak „od serca”. Ona tego nadal nie potrafiła. I ta świadomość nie była miła. Jednak mimo to musiała spróbować jakoś pomóc. Mogła dać pieniądze, posprzątać, ugotować, ale chyba nie tego trzeba było teraz Tamarze. A przynajmniej nie najbardziej.

Może Róża potrafiłaby jakoś z nią porozmawiać? Mają taki dobry kontakt – pomyślała. – Tylko trzeba ją uprzedzić o całej sytuacji, a potem skłonić Tamarę, żeby pojechała do Borowej.

Sięgnęła po słuchawkę.

– Pół roku leżał bezużyteczny, a teraz ciągle ktoś dzwoni – zażartowała babcia Róża. Była, jak zawsze, w dobrym nastroju.

– Różo, dzwonię, bo musimy coś wspólnie wymyślić. Tamara przeżywa chyba załamanie nerwowe. Zwolnili ją z pracy i nie może się pozbierać. Przed chwilą dzwoniła Marysia i powiedziała mi o wszystkim. Na szczęście trwa to dopiero od kilku dni, więc mam nadzieję, że uda się wszystko zdusić w zarodku. Nie chciałabym, żeby popadła w depresję...

– Czułam, że coś jest nie w porządku. Mnie powiedziała, że chyba jest przeziębiona i zostanie w domu, żeby nie rozchorować się na dobre. Ale jeśli jest tak, jak mówisz, to niedobrze – zmartwiła się Róża. – Wiesz, co powinniśmy zrobić? Jak się leczy coś takiego?

– Myślę, że na razie nie ma potrzeby jakiegoś konkretnego leczenia. Taką przynajmniej mam nadzieję. Pomyślałam, że na początek rozmowa z tobą mogłaby pomóc. U ciebie Tamara czuła się ostatnio najlepiej, więc jeżeli to nie problem...

– Jaki problem? Ewuniu, przecież wiesz, jak traktuję Tamarę. Oczywiście chętnie z nią porozmawiam, jak zawsze. Jeżeli uważasz, że to może pomóc...

– To i jeszcze kilka innych rzeczy – powiedziała Ewa i przedstawiła Róży swoją koncepcję.

Dyskutowały jeszcze przez chwilę i ustaliły plan działania. Teraz pozostało tylko mieć nadzieję, że uda się go zrealizować. I że Tamara zgodzi się na to, co miały jej do zaproponowania.

– Marysiu, dzwoniłam do babci Róży – poinformowała Ewa wnuczkę. – Mamy kilka pomysłów, żeby pomóc mamie. Czy mogłabyś do mnie przyjechać?

– Jasne, babciu. Nawet zaraz.

– Tylko może nie mów nic na razie mamie.

– Nie muszę. Ona i tak mnie o nic nie pyta. Po prostu wyjdę.

Ewa z niecierpliwością czekała na przyjazd wnuczki. Żeby mogło się powieść to, co z Różą zaplanowały, potrzebna była także zgoda Marysi. I jej pomoc. Ewa liczyła na zrozumienie i rozsądek wnuczki i miała nadzieję, że się nie zawiedzie.



Kacper wrócił do domu i od pół godziny siedział na kanapie, próbując oglądać telewizję. Nalał sobie whisky z lodem, podwinął rękawy koszuli, a nogi położył na szklanej ławie.

Cisza, spokój – myślał. – Nikt nie jęczy za uszami. Można się wreszcie zrelaksować.

A jednak wcale nie był spokojny. Przeciwnie, z każdą chwilą narastało rozdrażnienie. Wstał, przeszedł do kuchni, wrócił do salonu, otworzył drzwi od tarasu, ale zaraz je zamknął.

Cholera jasna! Jak w grobie – stwierdził. – Zwariować można!

Chętnie wyjechałby gdzieś, ale akurat dziś nie miał nic do roboty. Zresztą od kilku dni szukał sobie zajęcia wręcz na siłę, bo nie chciało mu się wracać do pustego domu.

Musiał przyznać, że Małgorzata dotrzymała słowa. Było posprzątane, a w lodówce zawsze czekał obiad. Opanował już sztukę podgrzewania, ale samotne siedzenie przy stole wprawiało go w zły nastrój. Wolał wrócić, gdy żona już spała, bo wtedy przynajmniej miał świadomość, że nie jest sam. Co prawda od czasu, gdy doprowadził do zwolnienia tych jej przyjaciółek, nie odezwała się do niego ani słowem, to jednak sama jej obecność w jakiś dziwny sposób czyniła dom bardziej przyjaznym.

Poprzedniego wieczoru długo przyglądał się twarzy śpiącej Małgorzaty. Nie zmieniła się, nadal była piękną kobietą, musiał to przyznać. Nie potrafił tylko zrozumieć, dlaczego to wszystko robi. Nie wyczytał z jej twarzy żadnej odpowiedzi, ale długo nie mógł zasnąć.

A dzisiaj czekało go co najmniej kilka samotnych godzin do jej powrotu. Zamykała ten swój sklepik o osiemnastej, a potem robiła jeszcze zakupy.

A mogło być tak wspaniale, gdyby nie była uparta i rozumiała, że to dla niej tak się staram – pomyślał ze złością. – Przecież nie było jej źle. Musiała tak namieszać?

Na razie nie mógł niczego zrobić. Sprawdził dokładnie, ale miała wszystkie papiery w porządku. Pozostało czekać, robić dobrą minę do złej gry, udawać przed ludźmi, że akceptuje poczynania żony

i czekać, aż ten idiotyczny interes zbankrutuje. Co prawda Małgorzata dysponowała wszystkimi ich oszczędnościami, ale i one kiedyś muszą się skończyć.

A wtedy wróci do domu z podkulonym ogonem – pomyślał. – I wszystko będzie jak dawniej. Bo Kacper Kamiński zawsze wygrywa.

Tylko nie wiadomo, dlaczego jakoś nie umiał wykrzesać w sobie radości, wyobrażając sobie powrót pokornej żony. I ciągle wracało wspomnienie uśmiechniętej i szczęśliwej Małgorzaty, która siedzi obok niego na kanapie z podkulonymi nogami i wtula się w jego koszulę.

Cholera jasna! – pomyślał powtórnie. – Zwariować można!



– Mamo, muszę pochodzić z Kronosem. Obiecałam, że będę pomagać hrabiankom, a już w zeszłym tygodniu ich nie odwiedziłam. Przecież wiesz, że on musi się wybiegać. Mamo! Proszę!

Marysia tak długo męczyła matkę, aż ta wreszcie uległa.

– Dobrze, niech ci będzie. Pojedziemy. Pójdę do lasu i może wreszcie będę miała trochę spokoju.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, bo już zaczynała wątpić, czy uda jej się przekonać matkę do wyjazdu. A od tego przecież zależało powodzenie całego planu. Wierzyła, że rozmowa z babciami sprawi, że Tamara wreszcie ocknie się, przestanie smuć i znowu będzie taka jak dawniej – silna, gotowa do walki z przeciwnościami. Będzie po prostu jej mamą.

Jednak kiedy weszły do białego domku i Tamara zobaczyła siedzące przy stole matkę i babcię Różę, nie chciała nawet z nimi rozmawiać.

– Róbcie, co chcecie. Zgadzam się na wszystko, tylko dajcie mi spokój. Muszę się położyć, jestem zmęczona.

I poszła do pokoiku Marysi.

Dziewczyna spojrzała na babcię bezradnie.

– Nie jest źle, Marysiu – powiedziała babcia Róża. – Skoro nie protestuje, to będzie nam nawet łatwiej. Mama zostanie u mnie, a ty wrócisz z Ewą do Kielc. Jutro przywieziecie jej jakieś rzeczy. I powoli, bez pośpiechu będziemy działać dalej. Nie takie kłębki rozplątywałyśmy, prawda? – uśmiechnęła się do dziewczyny.

– A teraz biegnij do tego psa, bo za dwie godziny przyjeżdża po nas Józik – dodała Ewa.



Wrzesień powoli się kończył. W Borowej widać już było jesień. Co prawda grzyby w tym roku nie obrodziły, ale kolorowe liście i mgły ścielące się na polach tworzyły malowniczą scenerię do spacerów.

Tamara nadal mieszkała w Borowej. Marysia przeprowadziła się do babci Ewy i była całkiem zadowolona. Od niej miała łatwiejszy dojazd do szkoły, a rozmowy z babcią okazały się mniej nudne, niż do tej pory uważała. Może dlatego, że obie się zmieniły?

Mieszkanie Tamary zostało wynajęte trzem miłym studentkom, które lada dzień miały się wprowadzić.

Właścicielka zgodziła się na takie rozwiązanie, zresztą przeprowadzkę córki też przyjęła spokojnie i bez protestów. Zaczęła wstawać z łóżka, chodziła na długie spacery, ale nadal niewiele jadła i prawie się nie odzywała.

Babcia Róża z właściwą sobie cierpliwością przyjmowała jej zachowanie. Do niczego nie namawiała, nic nie tłumaczyła.

– Tak, właściwie bez zmian – mówiła właśnie do słuchawki. – Wczoraj była u niej Marzenka, długo rozmawiały.

– Czy to mama dzwoni? – zapytała Tamara, wchodząc do kuchni.

– Tak – potwierdziła babcia Róża.

– Powiedz, żeby się nie martwiła.

– Tamara mówi, żebyś się nie martwiła. Dobrze, przekażę, do widzenia, Ewuniu. – Rozłączyła się i odłożyła telefon. – Mama cię całuje i pozdrawia.

– Dużo wam kłopotów narobiłam?

– Nie przypominam sobie żadnych.

– Nie oszukuj mnie, babciu. Przecież wiem. – Położyła ręce na blacie stołu i oparła brodę na dłoniach.

– Wiesz, dziś w nocy przyszło mi do głowy, że jednak jestem jak ten kłębek, pamiętasz, ten, który wtedy pokazywałam. Taka czarna i poplątana. Tak się czuję.

– To bardzo dobry kłębek – odpowiedziała babcia. – W sam raz na coś ciepłego i przytulnego na zimę. Może szalik dla Marysi? Nauczę cię szydełkować i spróbujesz coś z niego zrobić? Zobaczymy, co wyjdzie. Już Marysi mówiłam, że każdy kłębek ma jakiś koniec.

– A co jest na końcu mojego?

– Tego nie wiem. Też już to mówiłam. Może szczęście? Trzeba sprawdzić. Ale żeby się przekonać, to do tego końca trzeba dojść. Po nitce.

– Po nitce do szczęścia? – Tamara uśmiechnęła się słabo. – Zastanowię się. A na razie to może znalazłoby się dla mnie coś prostszego na początek? Jakaś pomoc przy babeczkach?

– A z tym to już do Zofii. Ja się na babeczkach nie znam. Zaraz powinna wrócić z lasu. Uparła się, że dziś będzie zalewajka z prawdziwkami.



– Dobry wieczór, jak ci minął dzień?

– Dobry wieczór, Janku. Jestem zmęczona, ale zadowolona.

– W takim razie powinnaś odpocząć, rozmyślając o tym, co dobrego cię spotkało.

– Taki mam zamiar – uśmiechnęła się Marzena. – Ale muszę jeszcze trochę popracować. Pojawił się pomysł na bardzo ciekawy projekt.

– A co to takiego?

– Na razie ci nie powiem, ale niedługo się dowiesz. Tym bardziej, że jego powodzenie będzie zależało także od twojego wsparcia.

– Muszę przyznać, że rozbudziłaś moją ciekawość...

– Dobrze, że chociaż ciekawość u ciebie rozbudzam – roześmiała się.

– Dobrze wiesz, że nie tylko. I dlatego planuję przyjazd w przyszłym miesiącu.

- Do tego czasu z pewnością zdążę się przygotować.
- Mówisz o nowym projekcie?
- Też.
- Już nie mogę się doczekać. Zadzwoń jutro, to o tym pomówimy.
- O projekcie?
- Też.
- W takim razie do jutra, Janku.
- Dobranoc.

Marzena odłożyła telefon i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Przez chwilę nie myślała o pracy, ale potem wróciła przed monitor, na którym widniał projekt bramy z tabliczką „Stacja Jagodno”.

KONIEC

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[***](#)